



Polskie imperium
Jak Naczelnik Państwa próbował
stworzyć potężną federację

Walczyłem dla gangu
Sensacyjny wywiad z byłym
członkiem Hells Angels

Policjanci i Żydzi
Ostry spór o działania granatowej
policji w trakcie Holocaustu

NR 5(87)/2020 MAJ 2020

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY
MIESIĘCZNIK LIŚCICKIEGO

1920: wyprawa Piłsudskiego POLACY W KIJOWIE



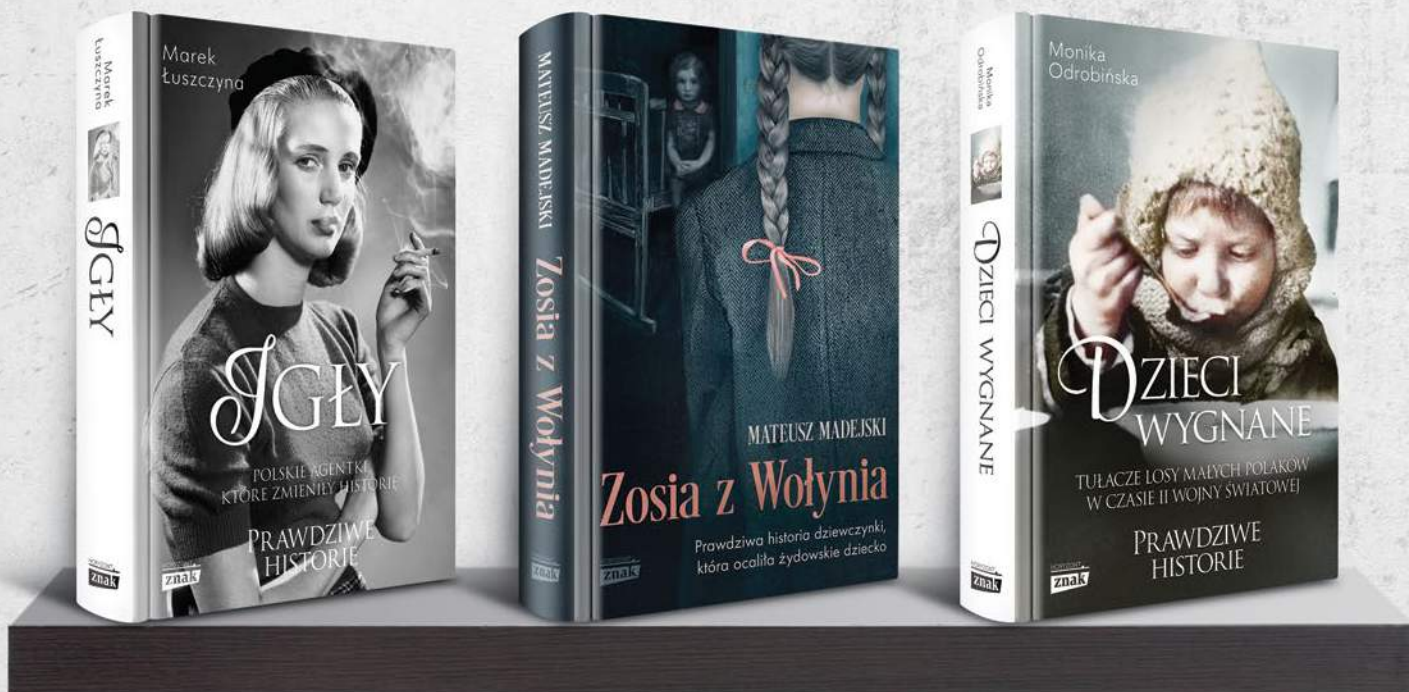
ISSN 2299-5515

DO RZECZY HISTORIA

Nr indeksu 265 031

0.5

Losy cichych bohaterów historii



Polskie agentki szpiegowały, aby uratować to, co dla nich najważniejsze. Ojczyznę, ukochanego albo własne rodziny. Swoją działalność niejednokrotnie przypłaciły życiem. A jeśli przetrwały – historia skazała je na zapomnienie.

Ucieczka przed bandami UPA mordującymi Polaków na Wołyniu, uratowanie żydowskiego dziecka, uniknięcie transportu do Auschwitz, wyjazd na Ziemie Odzyskane i małżeństwo z Żołnierzem Wyklętym. Życie Zofii Hołub to historia XX-wiecznej Polski w pigułce.

Polskie dzieci, którym wydarto dzieciństwo, pamiętają wojnę inaczej niż dorośli. Lektura ich wspomnień z Syberii porusza, budzi sprzeciw wobec sowieckiego zbydlęcenia i podziw dla heroizmu małych Polaków.

HORYZONT
znak

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL

PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: **Maciej Rosalicki, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gać** (zastępca), **Bianka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Marek Budzisz**

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: **Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska**

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedają egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, 3 maja 1934 r.

Pochód dzieci podczas szkolnego święta wiosny



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Duch przygody

W latach 1937–1938 bolszewicy wymordowali 200 tys. Polaków mieszkających w Związku Sowieckim. Mowa o operacji polskiej

NKWD przeprowadzonej na rozkaz Józefa Stalina i Nikołaja Jeżowa. Było to pierwsze ludobójstwo dokonane na narodzie polskim.

Sowieci mordowali Polaków tylko dlatego, że byli Polakami. Strzelali im w tył głowy, a następnie zakopywali ich szczątki w masowych, bezimiennych grobach. Do największych miejsc straceń w trakcie operacji polskiej należą: Kamieniec Podolski, Winnica i Kijów. Zamordowano tam dziesiątki tysięcy naszych rodaków.

Co łączy te trzy miasta? Otóż wszystkie znajdują się w tej części Rusi, która w trakcie wojny 1920 r. została wyzwolona przez Wojsko Polskie. Następnie zaś – zgodnie z zamiślem Józefa Piłsudskiego – miała wejść w skład sfederowanej z Polską Ukrainy. Gdyby plan Naczelnika Państwa się powiódł i udało się zbudować potężną polsko-ukraińską federację, wszyscy ci ludzie by przeżyli.

To tylko jedna z wielu korzyści, jaką przyniosłaby Polsce federacja. Związek Sowiecki – arcywróg Rzeczypospolitej i całej cywilizacji – zostałby poważnie osłabiony i odepchnięty daleko na Wschód. W polskiej strefie wpływów znalazłby się najbardziej

żyźne, urodzajne ziemie Europy. Polska – sfederowana z Ukrainą – byłaby więc znacznie potężniejsza i klęska roku 1939 mogłaby nigdy się nie wydarzyć.

Oczywiście nie byłoby to małżeństwo idealne. Dochodziłoby zapewne do napięć i kłótni. Kością niezgody byłyby zapewne Galicja Wschodnia i Wołyń. Wspólnota interesów i zagrożeń, jaka niewątpliwie łączyła Polaków i Ukraińców, pozwoliłaby jednak na pewno przezwyciężyć te trudności.

Wyprawa kijowska – której 100-lecie właśnie obchodzimy – była więc ostatnim polskim wzlotem do wielkości. W 1920 r. Polska stanęła na rozdrożu. Jeden szlak prowadził ku mocarstwu, drugi – ku upadkowi. Niestety, wybraliśmy ten drugi. Koncepcja federacyjna Józefa Piłsudskiego się załamała. I stało się to w dużej mierze z winy samych Polaków.

Odbrązawianie Sienkiewicza – pisał wybitny pisarz Michał K. Pawlikowski – zaczęło się nie dlatego, że wybielił jakiegoś wodza polskiego i oczernił jakiegoś wodza kozackiego, lecz dlatego, że w psychice polskiej załamał się duch przygody. Wyprawa kijowska, która po dziś dzień irytuje pewnych naszych polityków, zdobycie Mińska, Borysowa i Bobrujska – to ostatnie podrygi ducha przygody. Od roku 1920 jesteśmy w defensywie.

Tak, niestety jesteśmy w defensywie. Być może jednak kiedyś odwrócimy ten trend.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

/ TEMAT NUMERU

.06 PIOTR ZYCHOWICZ

**Wielki plan
Piłsudskiego**.12 MACIEJ ROSALAK
Marsz na Kijów.16 MICHAŁ MACKIEWICZ
Broń na bolszewika.18 TOMASZ STAŃCZYK
Józewski: patriota dwóch
narodów.71 PIOTR SEMKA
Dwudziestu z Wilna.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Katyński kat

/ KRESY

.72 TOMASZ STAŃCZYK

**Wokół grodu
Batorego**

/ CZASY I LUDZIE

.26 PIOTR WŁOCZYK

**Byłem
w Hells
Angels**.30 JAKUB
OSTROMĘCKI
Lawrence
z Arabii.58 PIOTR WŁOCZYK
Przeżył własną śmierć.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Od „trupiego jadu” do wirusa/ BATALIE
I WODZOWIE

.76 MACIEJ ROSALAK

**Lubomirski:
Talent wodza
i grzech rodaka**.36 ARKADIUSZ
KARBOWIAK**Policjant
granatowy:
oprawca i ofiara**.40 ŁUKASZ CZARNECKI
Mumia Aleksandra.44 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Frankenstein z Dolnego Śląska.47 MAREK GAŁĘZOWSKI
Żuliński: twórca POW.50 MIKOŁAJ IWANOW
Żydzi dla Stalina.53 SŁAWOMIR KOPER
Koniec świata Bruderferajn

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ

**Wiech – „Homer
i jezioro Warszawy”**

/ FELIETONY

.68 JACEK BARTOSIAK

**Biedny bogaty
kraj**.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Kopernik niepodległości

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI**1939. Z Pomorza
nad Bzurę**



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020



1920 r. /

Wielki plan

Wielka federacja Polski i Ukrainy

Wojciech Kossak
„Apoteoza Wojska
Polskiego” FOT. EAST NEWS

Piłsudskiego

Józef Piłsudski i Symon Petlura
w Stanisławowie, 1920 r.

FOT. JPILSUDSKI.ORG



Piotr Zychowicz

/ Federacja z Ukrainą miała być imperialną Rzeczpospolitą w nowej formule. Miała przywrócić Polsce hegemonię w regionie

Historia Europy Wschodniej to historia rywalizacji dwóch mocarstw. Rzeczypospolitej Obojga Narodów i Rosji. Jej stawką była regionalna hegemonia.

W początkowej fazie tych zmagani przezwagę miała Rzeczpospolita. W 1610 r. wojska hetmana Żółkiewskiego zdobyły Moskwę i dyktowały warunki bojarom w ich własnej stolicy.

Potem karta się odwróciła. Rosja za triumfowała, a Rzeczpospolita zniknęła

z mapy. Dziś różnica potencjałów między obydwoma państwami jest kolosalna. Momentem zwrotnym w polsko-rosyjskiej rywalizacji był roku 1654. Doszło wówczas do zawarcia ugody perejasławskiej, na mocy której lewobrzeżna Ukraina oddała się we władanie moskiewskiego cara Aleksego I.

Następnie (1658) ostatecznie załamał się projekt unii hadziackiej, czyli utworzenia Rzeczypospolitej Trojga Narodów. Sytuacja geopolityczna unii polsko-litewskiej pogorszyła się drastycznie. Moskale zajęli Kijów. Był to moment, w którym wszystkie procesy rozkładowe drążące Rzeczpospolitą przyspieszyły w zawrotnym tempie. Polska i Litwa wkroczyły na drogę do upadku i rozbiorów.

Podstawowe prawidło geopolityczne naszej części świata brzmi bowiem tak: do kogo należy Ukraina, ten jest hegemonem Europy Wschodniej.

Doskonale rozumiał to Józef Piłsudski w momencie, gdy w 1917 r. upadł carat, a z chaosu rewolucji i wielkiej wojny zaczął wykuwać się nowy ład. Naczelnik Państwa uznał, że Polacy stanęli przed

dziejową szansą na cofnięcie zegara historii do XVII w. Do momentu sprzed perejasławskiej katastrofy.

Jego receptą na wskrzeszenie imperialnej Rzeczypospolitej i odepchnięcie Rosji daleko na Wschód była koncepcja federacyjna.

Uznając – a może nawet przeceniając – zmiany, które w ostatnich kilkudziesięciu latach zaszły na Litwie i Rusi, Piłsudski zamierzał pomóc tym młodym narodom zbudować własne państwa, a następnie połączyć je unią z Polską.

Na przełomie 1919 i 1920 roku – pisał bliski współpracownik Piłsudskiego Bogusław Miedziński – dojrzała w myśleniu Piłsudskiego koncepcja Rzeczypospolitej federacyjnej. Była ona nawrotem do starych tradycji jagiellońskich i do ich, niewykonanego niestety, przedłużenia, jakim była Umowa Hadziacka.

Jego plany, gdyby się urzeczywistniły, dałyby ten sam efekt, do którego zmierzały Pakty Hadziackie. Gdyby Pakty Hadziackie weszły w życie, nie powstałaby nigdy imperialistyczna potęga Rosji Katarzyny Wielkiej i Dynastii Romanowów. Gdyby w 1920 roku udało się stworzyć federacyjną Rzeczpospolitą, nie zastąpiłby imperializmu Romanowów czerwony imperializm bolszewicki.



ka Boska Ostrobramska, Jagiellonowie. Za federacją Polski z Ukrainą przemawiały ważne względy ekonomiczne, a w konsekwencji i polityczne. Jej bogactwa: czarny węgiel, żelazo, węgiel. Jej kilkudziesięciomilionowa ludność.



My, Polska i Ukraina, powinniśmy osiągnąć porozumienie, by oprzeć się Rosji – mówił. – Interes życiowy Polski zmusza ją, by mieć niepodległą Ukrainę. Walka prowadzona

być winna przeciwko Rosji. Wymóg ten wypływa z całej historii stosunków ukraińsko-rosyjskich, wnioski i nauka, które mówią nam, że Moskwa jest i pozostanie na wieki naszym historycznym, nieprzejednanym wrogiem.

Negocjacje między Polakami a Ukraińcami w sprawie zawarcia sojuszu rozpoczęły się jesienią 1919 r. w Warszawie. Szły jednak jak po grudzie z powodu niechęci do ustępstw terytorialnych ze strony ukraińskiej. Przełom przyniosła dopiero dramatyczna pięciogodzinna rozmowa w cztery oczy między Piłsudskim a Petlurą.

Naczelnikowi Państwa udało się wymusić na Petlurze zrzeczenie się na rzecz zachodniej Polski części Wołynia i Galicji Wschodniej. W tym leżała kolejna słabość idei federacyjnej. Otóż Piłsudski rozmawiał z Petlurą z pozycji siły, z pistoletem przystawionym do głowy ukraińskiego przywódcy. Petlura ustąpił, bo znajdował się w sytuacji rozpaczliwej, ale ta sytuacja mogła się zmienić.

Na razie jednak, w nocy z 21 na 22 kwietnia 1920 r., zawarta została polsko-ukraińska umowa sojusznicza. Trzy dni później – 25 maja – wojska polskie pociągnięty na Kijów.

Jak oceniać ten sojusz? Zarówno apologety Piłsudskiego (którzy próbują przedstawiać go jako altruistę tworzącego Ukrainę z miłości do tamtejszego ludu), jak i jego endecy krytycy (którzy oskarżali go o zdradę polskich interesów na rzecz ukraińskich) mijają się z prawdą.

Podczas rozmów w Warszawie otwarto bowiem drogę do rewindykacji wielkiej polskiej własności ziemskiej. Zapowiadał to szósty artykuł układu polsko-ukraińskiego. A o pomyślne załatwienie tej sprawy miał dbać Stanisław Stempowski. Był to polski ziemianin z Rusi, właściciel majątku Huta Czernielewiczka na Podolu, który na żądanie strony polskiej został mianowany ministrem rolnictwa rządu URL.

Stempowski nie był jedynym Polakiem osadzonym w rządzie Petlury przez Piłsudskiego. Drugim był Henryk Józewski. Również szlachcic polski z Rusi, szef siatki Polskiej Organizacji Wojskowej w Kijowie i zaufany człowiek Naczelnika Państwa. Jemu z kolei

Utrata Litwy nie miałyby wpływu na stanowisko mocarstw Rosji. Natomiast utrata Ukrainy pozabawiłaby ją pozycji europejskiego mocarstwa. Federacja Polski z Ukrainą uwolniłaby wreszcie oba kraje od supremacji Rosji. Połączenie Polski z Ukrainą węzłem federacyjnym w 1919 r. stanowiłoby nawrót do historii.

Piłsudski partnera do zrealizowania swojego planu wybrał nieszczęśliwie szczęśliwie. Zamiast szukać sojusznika w kołach konserwatywnych – takich jak Niemcy, którzy w 1918 r. osadzili w Kijowie hetmana Pawła Skoropadskiego – zwrócił się do kół socjalistyczno-radykalnych. Czyli do atamana Symona Petlury, przywódcy Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Już sama nazwa tego tworu dużo o nim mówi. Podobnie jak nawiązujący do tradycji rewolucji francuskiej Dyktatoriat, na którego czele stał Petlura. Władze URL wprowadziły na terenie Ukrainy wiele radykalnych „reform”. Część z nich uderzała w mieszkających tam Polaków. Szczególnie dotkliwy był dekret o konfiskacie ziemi należącej do „obszarników”. Czyli polskich ziemian.

Dlatego właśnie hrabia Hipolit Korwin-Milewski z pewną przesadą nazwał atamana „katem ziemiaństwa polskiego”. Z rządów Petlury niespecjalnie zadowoleni byli również Żydzi. Kierowane przez lokalnych watażków luźne oddziały, z których składała się armia URL, lubowały się bowiem w grabieżach i pogromach.

Na tym właśnie polegała pierwsza słabość idei federacyjnej. Młode wschodnie nacjonalizmy – litewski i ukraiński – były zielono-czerwone. Czyli chłopskie i lewicowe. Postulaty narodowe wiązały z postulatami walki klas. Domagały się odebrania ziemi polskiej szlachcie i oddania jej w ręce litewskich, białoruskich i ukraińskich włościan.

Ta zasadnicza sprzeczność sprawiała, że współzycie w ramach jednej federacji byłoby niezwykle trudne. Co oczywiście nie oznacza, że nie można było znaleźć jakiegos satysfakcjonującego obie strony kompromisu. Najważniejsze było bowiem to, że geopolityczne koncepcje Petlury były zbieżne z programem Piłsudskiego.

Jak konkretnie wyobrażał sobie federację Piłsudski? Podstawowym jej rdzeniem miały być: Polska, Ukraina oraz Wielkie Księstwo Litewskie. W skład federacji miały wejść również Estonia i Łotwa. Wśród jej bliskich sojuszników miały się zaś znaleźć Finlandia (na lewej flance), Rumunia (na prawej flance) oraz Azerbejdżan, Gruzja i Armenia (miękkie podbrzusze Rosji).

Przewodnią rolę w całym związku Piłsudski przewidywał, ze względu na największy potencjał, dla Polski. Tak, była to bez wątpienia wizja zapierająca dech w piersiach. Niestety, miała ona jednak swoje słabe strony.

Na Kijów!

Do rozgrywki o Ukrainę Piłsudski przystąpił wiosną 1920 r. Był to bez wątpienia najważniejszy etap budowy federacji.

Za wznowieniem związku federacyjnego z Litwą – pisał Mieczysław Pruszyński – przemawiały tradycje historyczne i sentymenty. „Litwa, ojczyzna moja!”, Mat-



Oddziały ukraińskie w Kijowie. Symon Petlura w głębi, drugi z lewej. FOT. WIKIMEDIA

■ przypadła teka wiceministra spraw wewnętrznych.

To, że Piłsudski wprowadził do rządu ukraińskiego dwóch Polaków, najlepiej świadczy o tym, że nie mieliśmy do czynienia z układem partnerskim, ale z układem senior partner – junior partner.

Naczelnik Państwa pisał zresztą o tym otwarcie w liście do premiera Leopolda Skulskiego z 6 maja 1920 r. Zapowiadał w nim, że polskie wojska długo pozostaną na Rusi, aby zapewnić miejscowym Polakom jak największy wpływ na państwo Petlury. Ich obecność miała być gwarancją, że ukraiński rząd pozostanie uzależniony od Polski. „Cały świat musiałby się liczyć z Ukrainą jako z tworem naszym – pisał – zatem szedłby do tej Ukrainy via Warszawa”.

Wątpliwości nie pozostawia również wydźwięk komunikatu politycznego dowództwa frontu wołyńskiego z 1 marca 1920 r.

Rząd polski zamierza poprzeć ruch narodowy ukraiński – napisano w tym dokumencie – aby stworzyć samodzielne państwo ukraińskie, a przez to znacznie osłabić Rosję, odbierając jej okolice najbogatsze w zboże i skarby ziemne.

Idea przewodnią stworzenia samodzielnej Ukrainy jest stworzenie przegrody między Polską a Rosją i oddanie Ukrainy pod wpływy polskie, i zabezpieczenie tym samym ekspansji Polski na wschód tak pod względem ekonomicznym dla stworzenia sobie rynku zbytu, jak i politycznym.

Jaka szkoda, że wyprawa kijowska zakończyła się klęską!

Jałta '21

Chociaż Polakom udało się zająć Kijów, to długo nie zagrzali tam miejsca. Piłsudski popełnił bowiem katastrofalny błąd i pozwolił Armii Czerwonej czmychnąć

za Dniepr. Po czterech tygodniach bolszewicy przeszli do kontrofensywy i – na skutek kolejnych błędów polskiego dowództwa – przełamali front.

Ukraińcy otrzymali zbyt mało czasu na stworzenie własnego państwa i potężnej armii. Niestety, nie wystarczyło czasu...

O przebiegu i klęsce wyprawy kijowskiej szczegółowo pisze na naszych łamach Maciej Rosalak (s. 12–15). W tym miejscu należy jednak odnotować, że mimo iż wyprawa kijowska zakończyła się niepowodzeniem, u boku Wojska Polskiego do końca wojny były się dzielnie oddziały ukraińskie. Zapisaly piękną kartę m.in. w zaciętych walkach o Zamość, gdzie ramię w ramię z Polakami broniły miasta przed bolszewickimi hordami.

Koncepcja federacyjna załamała się jednak wraz z klęską wyprawy kijowskiej. Józef Piłsudski, dla którego odwrót spod Kijowa i podejście bolszewików pod Warszawę były szokiem, zrezygnował z federacji. Porzucił swoje wielkie marzenie o oderwaniu Ukrainy od Rosji.

Było to o tyle zaskakujące, że jesienią 1920 r. Polska mogła bez trudu zdobyć Kijów po raz drugi. 8 października płk Juliusz Rómmel, w wyniku brawurowego zagonu kawaleryjskiego, zajął Korosteń. Miasto to stanowiło kluczowy węzeł komunikacyjny zachodniej Ukrainy, nazywany „ostatnim przystankiem przed Kijowem”.

Zdemoralizowane sowieckie dywizje piechoty niemal nie stawiały oporu nacierającym polskim wojskom. W sztabie Korpusu Jazdy, który dokonał tego wyczynu, przygotowany był już plan zajęcia Kijowa. Z Korostenia do stolicy Rusi było bowiem zaledwie... 140 km. A siły bolszewickie na tym odcinku frontu miały znikomą wartość bojową.

Niestety, rozkaz marszu na Kijów nie nadszedł. Wojsku kazano się wycofać i wkrótce do płk. Rómmela dotarła hiena wieść – polska delegacja pokojowa 12 października 1920 r. zawarła w Rydze z bolszewikami zawieszenie broni. Rozpędzonej armii polskiej ściągnięto cugle.

W ten sposób docieramy do ponurego zakończenia tej opowieści. Do jednej z najbardziej haniebnych kart w dziejach Polski. Otóż polscy delegaci w Rydze sprzedali swojego ukraińskiego sojusznika bolszewikom dokładnie w taki sam sposób, w jaki w 1945 r. Brytyjczycy i Amerykanie sprzedali Polskę.

Podobieństwa obu wydarzeń są uderzające. Konsekwencją ustaleń jałtańskich było wycofanie uznania przez Londyn i Waszyngton prawowitego rządu Rzeczypospolitej i uznanie marionetkowego „rządu” Edwarda Osóbki-Morawskiego. W Rydze stało się to samo. Stanisław Grabski i jego koledzy wycofali poparcie dla sojuszniczego rządu Symona Petlury i uznali stworzony z agentów Czecha „rząd” sowieckiej republiki Ukrainy.

Przedstawiciel prawdziwego rządu Ukrainy, który zjechał do Rygi, nie został nawet wpuszczony na salę obrad. W ten sposób złamany został czwarty punkt polsko-ukraińskiego paktu z 21 kwietnia 1920 r., w którym obie strony zobowiązywały się do niezawierania żadnych umów wymierzonych w partnera.

Zdaniem rosyjskiego historyka Gienadija Matwiejewa był to wielki sukces bolszewików.

Warszawa bez targów – pisał – nawet bez jakichkolwiek oznak sprzeciwu porzuciła swego ukraińskiego sojusznika, z którym pięć miesięcy wcześniej podpisała porozumienie polityczne oraz konwencję wojskową. A miało to miejsce wówczas, gdy Polacy prowadzili z powodzeniem ofensywę na Białorusi i Ukrainie. W perspektywie międzynarodowej fakt ten oznaczał

zaprzestanie uznawania przez Polskę URL i utratę przez Symona Petlurę głównego sojusznika.

Polacy przychyliłi się do stanowiska Sowietów, którzy ogłosili, że Petlura i jego żołnierze są „buntownikami”. Od tej pory polscy delegaci prowadzili rozmowy z „przedstawicielami Ukrainy”, którzy nawet nie byli Ukraińcami, tylko bolszewickimi aparaczkami oddelegowanymi „na odcinek ukraiński”.

Podczas sporządzania dokumentów kończącej konferencji pokojowej doszło do żenującej sytuacji. Prawdziwego skandalu. Żaden z owych panów nie potrafił bowiem pisać po ukraińsku i wersję traktatu w tym języku musiał sporządzić Leon Wasilewski.

W najcięższych godzinach narodowych i państwowych nieszczęść – pisał Symon Petlura na łamach „Syna Ukrainy” – Ukraina uczciwie i wiernie była z Polską. Niosła ona na sobie jej ciężar, dała jej do boju swoich najlepszych synów, ukraińskich kozaków-rycerzy. Swoją krwią umyła ona i broniła polskie granice. Dlaczego w tej chwili, na konferencji pokojowej, żaden z polskich przedstawicieli ani słowem nie wspominał o tym, że Ukraina jest sojusznikiem Polski?

Na początku Ukraińcy łudzili się, że być może zaszła jakaś straszliwa pomyłka. Wszystkie protesty i apele do polskich władz pozostawały jednak bez odpowiedzi. Rozbijały się o mur obojętności.

Opuściliśmy, zdradziliśmy Petlurę w Rydze – pisał Tadeusz Hołówka. – Zdradziliśmy Ukraińców, którzy wiernie dotrzymywali nam braterstwa w dniach tragicznych. A tylko dwa tygodnie dalszej wojny i wojska Petlury byłyby w Kijowie i szef sowieckiej delegacji zgodziłby się prowadzić rokowania wspólnie z nami i delegatami Petlury, uznałby niepodległą Ukrainę, gdyż chodziłoby mu wówczas o ratowanie samego bytu bolszewików.

Podobną opinię po latach wyraził znakomity historyk prof. Jan Jacek Bruski:

Ukraińscy sojusznicy oczekiwali na zdecydowane poparcie przez Polaków sprawy dopuszczenia przedstawiciela URL do obrad. Liczyli, że z polską pomocą uda się wymusić przynajmniej częściowe wycofanie oddziałów sowieckich z terytorium Ukrainy. Wbrew pozorom nie były to rachuby książkowe. Dzisiaj już wiemy, jak poważnie osłabiona była strona bolszewicka w październiku 1920 r. i z jaką natarcywością domagał się Lenin natychmiastowego podpisania preliminariów pokojowych. Posiadanej przewagi Polacy nie wykorzystali jednak, idąc na zbyt poważne kompromisy.

Żupełnie inaczej mogłyby potoczyć się losy II Rzeczypospolitej, gdyby polscy delegaci wykazali przy stole obrad większą nieustępliwość, a działania wojenne przeciw bolszewikom nie zostały zbyt wcześnie zawieszone. Kontynuowanie ofensywy z pewnością nie osłabiłoby polskich pozycji przetargowych, w sprzyjających zaś

okolicznościach mogło to doprowadzić do finału, który przepowiadał Hołówka.

Po klęsce roku 1920 rząd ukraiński przeniósł się z oddanego czerwonym Kamieńca Podolskiego do Tarnowa. Długo jednak nie zagrażał tam miejsca. Wkrótce, na żądanie Moskwy, Polacy kazali się mu wynosić. Wyrzucony z Polski został również Symon Petlura, który musiał schronić się we Francji.

Było w dziejach świata wiele wypadków, że sojusznik porzucał sojusznika, układał z wrogiem separaty-styczne układy pokojowe, starał się ratować dla siebie maksimum w nowo stworzonej sytuacji – pisał Iwan Kedryn-Rudnycki, ukraiński dziennikarz i żołnierz Petlury. – Ale było tak zawsze w razie przegranej. Rozbiór Ukrainy w Rydze pomiędzy Polskę a Rosję nastąpił po wybranej polsko-ukraińskiej wojnie przeciwko Rosji sowieckiej. Dlatego była to zdrada w klasycznym rozumieniu.

Pod wpływem tej traumy wielu Ukraińców porzuciło orientację propolską. Ludzie ci uznali, że to „perfidne, zdradzieckie Lachy”, a nie Związek Sowiecki, są wrogiem numer jeden ich narodu. Traktat ryski został nam zapamiętany na zawsze.

Ryga – pisał Jan Jacek Bruski – sprawiła, że przekreślony został definitywnie w oczach ukraińskich romantyczny wizerunek Polski walczącej za „Naszą i Waszą”. Pryśł mił, który starano się odrodzić w dobie wyprawy kijowskiej, o historycznym braterstwie polsko-ukraińskim, a świadomość istnienia wspólnoty interesów silniejszej niż egoizmy narodowe została poważnie nadwierzona.

Oficerowie armii URL zostali zamknięci w obozach internowania. Między innymi w Szczypiornie pod Kaliszem. Tam odwiedził ich marszałek Piłsudski i wypowiedział słynne słowa: „Ja was przepraszam, panowie, ja was bardzo przepraszam. Tak nie miało być”.

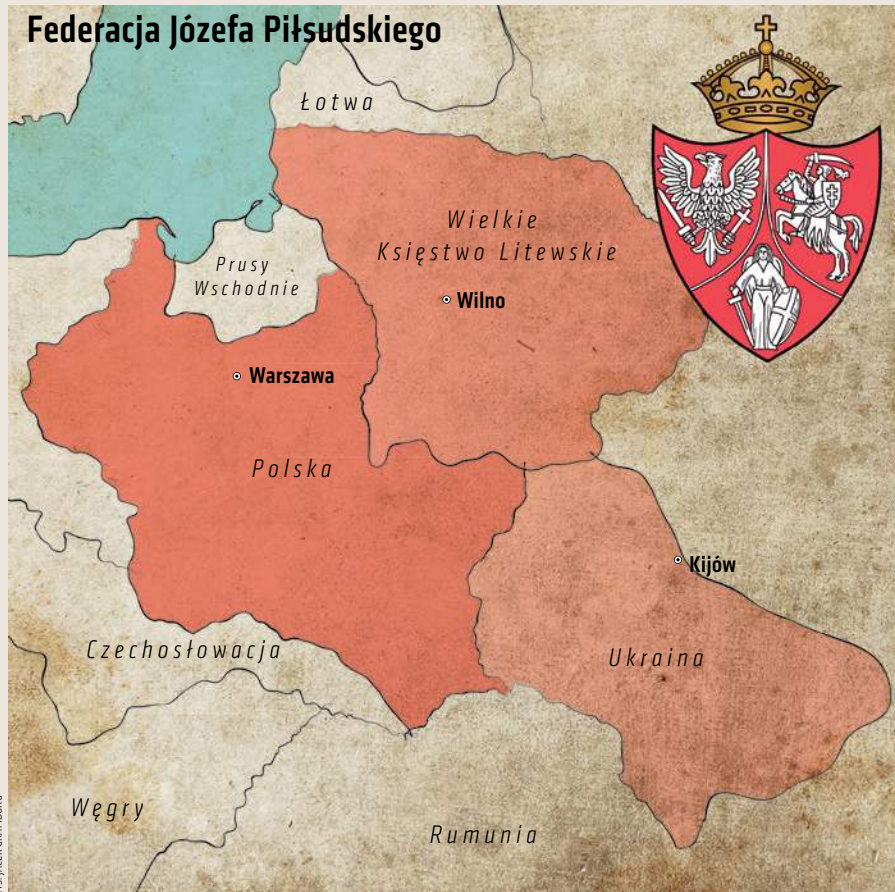
Był to ładny gest. Pozostał jednak tylko gestem.

A po latach Piłsudski dodawał: „Ja przegrałem życie. Nie udało mi się stworzyć federacji, z którą Europa musiałaby się liczyć”.

Niestety, miał rację. Niepowodzenie roku 1920 – którym było fiasko wyrwania bolszewikom Ukrainy – było podwaliną dla katastrofy roku 1939.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Federacja Józefa Piłsudskiego





100 lat temu

Polskie wojska zdobyły Kijów błyskawicznie.
Nie udało się jednak całkiem rozbić Armii Czerwonej

Marsz na Kijów



Maciej Rosalak

/ Polskie wojska zdobyły Kijów błyskawicznie. Nie udało się jednak całkiem rozbić Armii Czerwonej

Wyprawa na Kijów ruszyła nocą z 24 na 25 kwietnia 1920 r. Pewien epizod z tej nocy, wydawałoby się nic nieznaczący, do tej pory potrafi poruszyć czytelnika. Oto marszałek Józef Piłsudski odprawiał przy moście na Słuczy 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich, złożony z synów ziemiańskich niesprzyjających dotychczas „czerwonemu” obozowi piłsudczyków. Ówczesny dowódca plutonu w 1. Szwadronie Franciszek Skibiński wspominał: „Jechałem w szpicy pierwszej pułkowej czaty. Nocny mrok jeszcze się nie rozjaśnił, przed mostem na Słuczy stała

grupka ludzi. Schyliłem się na Minasa, dużego konia pełnej krwi, żeby zobaczyć, kto to taki, a tam – nastroszone brwi, opadający wąs, maciejówka. Marszałek wypuszczał swoje wojsko na Koziatyn. Dałem komendę: – Baczność! Na prawo patrz! A on tylko: – Jazda, chłopcy, jazda! Tym kupił nasz »biały« pułk, który go nie kochał... Piłsudski był po prostu nie nasz, ale od tamtej nocy z 24 na 25 kwietnia pułk go pokochał miłością absolutną. Mógł robić z nami, co chciał. Wojsko wierzyło mu bezgranicznie – mieliśmy przecież wtedy po dwadzieścia lat...”

Strategicznym celem ofensywy polskiej wiosną 1920 r. było zadanie imperializmowi bolszewickiemu ciosu wystarczająco mocnego, by przestał zagrażać Polsce. Droga do tego celu wiodła przez Kijów. Józef Piłsudski chciał tu sprowokować wroga do stoczenia walnej bitwy na prawym brzegu Dniepru, całkowicie rozgromić jego wojska i zapewnić dzięki temu sojuszniczej Ukrainskiej Republice Ludowej czas i możliwości zorganizowania swego państwa i sił zbrojnych. To z kolei pozwoliłoby Ukraincom na zajęcie Lewobrzeża Dniepru, a w przyszłości – zabezpieczyć nas przed agresją z południowego wschodu. Polacy

mogliby zaś przerzucić siły na północ od Prypeci, gdzie Piłsudski spodziewał się zwycięskiego dokończenia konfliktu polsko-sowieckiego, rozpoczętego już w styczniu 1919 r. napaścią bolszewików na Wilno.

Wedle gen. Juliana Stachewicza, szefa Oddziału Operacyjnego Sztabu Ścisłego NW, „cały plan operacji i jej przygotowanie były osobistym dziełem Naczelnego Wodza; do współpracy przy jej układaniu nie był powołany żaden z dowódców armii” (J. Stachewicz, „Działania zaczepne 3. Armii na Ukrainie...”). Zgodnie z wytycznymi Marszałka plan opracowywali: sam Stachewicz oraz adiutanci – Bolesław Wieniawa-Długoszowski i Stanisław Radziwiłł.

Piłsudskiego dręczyły groźne niewiadome, mogące pokrzyżować jego plany. Jeśli bolszewicy wybiorą doskonale im znany wariant Kutuzowa z 1812 r. i odejdą, rezygnując ze stoczenia walnej bitwy, to czeka go pat napoleoński: podążanie po zagładę na wschodnie bezkresy lub niesławny odwrót. Czy zdąży zlikwidować obydwa działające na Ukrainie armie sowieckie, zanim odejdą za Dniepr? Czy Petlura zdoła dostatecznie szybko



Szarża polskiej jazdy pod Komarowem. U góry z prawej: hełm typu Adrian FOT. EAST NEWS

Sformowano już w Brześciu 6. Siczową Dywizję Strzelców pod dowództwem płk. Marka Bezruczki, a 2. Dywizję Strzelców – dowodzoną przez płk. Oleksandra Udowyczenkę – w Kamieńcu Podolskim. Wiosną 1920 r. liczyły one łącznie niespełna 5 tys. jeźdźców i piechurów, co równało się jednej polskiej dywizji piechoty i brygadzie kawalerii. Miały, przynajmniej, bitnych oficerów i żołnierzy.

Wojska polskie na ziemiach ukraińskich liczyły wiosną ok. 60 tys. jazdy i piechoty. Najdalej na północ stała 3. Armia dowodzona początkowo przez samego Piłsudskiego, składająca się z jednej ukraińskiej i czterech polskich dywizji piechoty oraz dywizji kawalerii. Siły te podzielono między grupę operacyjną gen. Józefa Rybaka działającą od Mozyrza na Polesiu do wołyńskiego Olewska oraz grupę uderzeniową gen. Edwarda Śmigłego-Rydza na Wołyniu od Olewska do Połonnego. Dalej na południe – od Połonnego do Płoskirowa – zajęła pozycje 2. Armia gen. Antoniego Listowskiego (dwie polskie dywizje piechoty), a 6. Armia gen. Wacława Iwaszkiewicza-Rudoszańskiego miała uderzyć w pasie od Płoskirowa do granicy rumuńskiej (trzy polskie dywizje piechoty i jedna ukraińska).

Na Ukrainie stał front południowo-zachodni Armii Czerwonej pod dowództwem Aleksandra Jegorowa. Składał się z armii 12. i 14., a każda obejmowała po cztery dywizje piechoty i jedną kawalerii. Liczebnie siły polskie nieco górowały nad sowieckimi, zwłaszcza że jedna dywizja piechoty i jedna jazdy z 14. Armii ubezpieczały sowiecki front od strony rumuńskiej. Jegorow miał pod komendą również 13. Armię, ale ta znajdowała się jeszcze dalej na południu, blokując Armię Ochotniczą gen. Piotra Wrangla na Krymie.

Pułkownik Tadeusz Kutrzeba – wówczas szef sztabu 3. Armii – zauważał („Wyprawa kijowska 1920 roku”), że „przewaga była w pełni po naszej stronie, szczególnie jeżeli się zważy, że w miejscu decydującym – na froncie grupy gen. Śmigłego (1. i 7. dywizja piechoty oraz 3. brygada jazdy) – przewaga liczbowa była jeszcze większa, gdyż naprzeciw rozrzuconych w osłonie sił sowieckich stanęło zwarte i wypoczęte zgrupowanie wojsk polskich”. Grupę „Śmigłego” określał jako „klin przeznaczony do wyrzucenia go z impetem w przód, we

front sowiecki, w prostym kierunku przez Żytomierz na Kijów. Jądro tego klina stanowiła 1. Dywizja Piechoty Legionów”.

Tydzień blitzkriegu

Pierwszy tydzień wyprawy kijowskiej pod pewnymi względami przypominał blitzkrieg. Oddziały polskie szybko posuwały się na wschód, na ogół bez większego kłopotu rozbijając siły Armii Czerwonej. „Początek bojowego działania w kierunku na Żytomierz – pisał T. Kutrzeba – był dużo łatwiejszy, niż się spodziewano. Stało się to dlatego, że przeciwnik wycofał z frontu swoją 58. dywizję, stojącą dotąd rozrzuconą w osłonie frontu, do Żytomierza”. Osłonę na tym odcinku stanowiły oddziały jazdy i jedna brygada strzelców siczowych (dwie dalsze brygady – dawniej należące do armii halickiej w Galicji – stały dalej na południu). I tak „przełamanie frontu zamieniło się w forsowny marsz na Żytomierz”.

Polskie wojska brały do niewoli setki i tysiące jeńców; również 11 tys. żołnierzy (z 44 działami) tych trzech brygad siczowych. Jedna poddała się 1. Dywizji Jazdy pod Koziatynem, a dwie kolejne – naszej 6. Armii w jej marszu na Winnicę. Błyskawicznemu zwycięstwu sprzyjała przewaga w powietrzu, bo Wojsko Polskie dysponowało wtedy 20 eskadrami lotnictwa (ok. 200 samolotów) przy czterech eskadrach po stronie sowieckiej. Samoloty służyły głównie rozpoznaniu wrogich sił lądowych. W walce z nimi albatrosy czy spady nie miały jednak możliwości nurkujących szturmowych stukasów z drugiej wojny światowej. Również ówczesnym samochodom pancernym i tankietkom – francuskim, zdobycznym lub własnej roboty – daleko było do panzerkraftwagen III i IV. Dodajmy, że radiowa łączność bolszewików niemal stale znajdowała się pod polską kontrolą.

Charakter wojny błyskawicznej zyskały dwa zagony z początku ofensywy – na Żytomierz i Koziatyn.

W pierwszym – pod wodzą ppłk. Stefana Dęba-Biernackiego – uczestniczyła wyborowa 1. Dywizja Piechoty Legionów, której 1. Brygada (cóż za skojarzenia się nasuwają!) skorzystała z transportu samochodowego i ubezpieczenia kilku samochodów pancernych. Wprawdzie piaszczyste drogi, na które ppłk Dąb – dla pełniejszego zaskoczenia – skierował

zbudować na tyle silne ukraińskie struktury państwowe i oddziały wojskowe, aby samodzielnie opierać się bolszewikom?

Jaka jednak byłaby alternatywa? Czas – przy ogromnym potencjale sowieckim i faktycznym braku liczących się sojuszników – nie pracował dla Polski. Niewykorzystanie nadarzającej się szansy na polu bitwy oznaczałoby również klęskę...

Ordre de Bataille

Rozkaz rozbicia oddziałów Armii Czerwonej stojących przed naszym frontem na Wołyniu i Podolu polski Naczelnik Wódz wydał 17 kwietnia – tydzień przed podpisaniem konwencji wojskowej z atamanem Symonem Petlurą. Przyjęte wcześniej w ścisłej tajemnicy przed opinią publiczną wojskowe ustalenia polsko-ukraińskie w kwestii wspólnej ofensywy przewidywały, że jednostki ukraińskie, zaopatrywane w broń i sprzęt przez Polskę, będą walczyły pod operacyjnym dowództwem polskim, natomiast władze URL zobowiązały się do żywienia Wojska Polskiego na Ukrainie oraz zapewniania mu transportu kolejowego.

■ zmotoryzowaną kolumnę, okazały się dla niej nieprzejezdne i żołnierze wrócili na szosę, ale zaskoczenie i tak się powiodło. Po przebyciu 80 km legioniści rozbili 58. Dywizję Strzelców – w szeregach jej pułków zostało po kilkudziesięciu żołnierzy. Żytomierz – ważny węzeł kolejowy, odległy o 80 km na wschód od linii frontu – został zajęty w ciągu niespełna dwóch dni. Polacy w tej operacji stracili trzech poległych i 48 rannych, wzięli do niewoli kilkuset jeńców, zdobyli 10 dział, kilkadziesiąt ckm-ów, samochód pancerny, 12 samochodów i 280 wagonów ze sprzętem wojskowym. 6. Pułk Piechoty Legionów odparł próby kontrataku 17. Dywizji Jazdy sowieckiej, a także uchwycił most drogowy nad Teterewem pod Korostyszewem.

Nasza 3. Brygada Jazdy dotarła w tym czasie do Czerniachowa, a 7. Dywizja Piechoty – bez kontaktu z nieprzyjacielem – 28 kwietnia do Radomyśla nad Teterewem. 4. Dywizja Piechoty z grupy gen. Rybaka zajęła w tych pierwszych dniach ofensywy Owruć i Korosteń.

Przejściowe – ale mające fatalne skutki – niepowodzenie zanotowała 7. Brygada Kawalerii idąca aż 180 km z Polesia na Malin. Zaatakowała tę miejscowość słabymi, bardzo rozproszonymi siłami, zajęła ją, wzięła nawet tysiąc jeńców, ale szybko spotkała się z potężnym atakiem – wspartym kilkoma pociągami pancernymi – Sowietów wypartych właśnie z Korostenia. Wtedy to zginął rtm. Stanisław Radziwiłł, a ciężko ranny został szef sztabu brygady mjr Gustaw Orlicz-Dreszer. W końcu nasza brygada ustąpiła... otwierając bolszewikom drogę za Dniepr! 28 kwietnia

Malin odbiła piechota podhalańska z grupy gen. Rybaka, ale – zalił się Kutrzeba – „brakowało tylko kilku godzin wytrwania kawalerii, brakowało przyspieszenia marszu choćby części piechoty, wreszcie brakowało więcej ogłędnego i skupionego użycia jazdy, aby bitwa pod Malinem stała się pełną przegraną sowiecką”.

Pełnym sukcesem zakończył się natomiast 27 kwietnia zagon na Koziatyn. Wykonała go 1. Dywizja Jazdy, znakomicie dowodzona przez gen. Jana Romera, mająca w składzie pułki o wspaniałych tradycjach bitew pod Krechowcami, Jazłowcem i Rokitną. To tu po 130-kilometrowym marszu dotarł wieczorem 26 kwietnia 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich z cytowanym we wstępie młodym ułanem. W czasie, gdy 15. Dywizja Piechoty nacierała frontalnie na oddalony o 30 km na zachód Berdyczów, nasi kawalerzyści zdobyli Koziatyn wraz z ważnym węzłem kolejowym. Co więcej, dywizja bolszewicka wyparta z Berdyczowa wpadła na naszą 13. Dywizję Piechoty z 2. Armii i po zaciętej walce pod Holendrami musiała się poddać. W całej tej operacji w polskie ręce dostało się 8 tys. jeńców, 27 dział, 176 ckm-ów. W obecności Marszałka zwycięstwa gratulował gen. Romerowi szef francuskiej misji gen. Paul Henrys. Oczywiście kolosalna różnica skali dzieli zmagania w latach 1920 i 1941, ale mimo to wynik bitwy koziałyńskiej przypomina „kocioł ukraiński” późniejszy o ponad 20 lat.

Zdobycie Żytomierza oraz Koziatyna zachwiało frontem bolszewickim na Ukrainie. 12. Armia straciła wartość bojową, ale nie została całkowicie zlikwidowana, co było celem kampanii. Pobite resztki wy-

cofały się za Dniepr i po miesiącu leczenia ciężkich ran ów związek operacyjny znów został użyty przeciw nam...

9. Dywizja Piechoty z Grupy Poleskiej gen. Władysława Sikorskiego – która już w marcu zdobyła Mozyrz – uderzyła 27 kwietnia na równie ważny strategicznie Czarnobyl leżący u ujścia rzeki Uż do Prypeci. Zdobyla Czarnobyl wraz z portem, doszła do Dniepru, a Flota Pińska (okręt „Pancerny 1” i cztery motorówki) zwyciężyła znacznie silniejszą Flotyllę Dnieprzańską. „Pancerny 1” zatopił kanoierkę „Gubitielnyj” wraz z załogą i uszkodził dwie inne. Kolejne uciekły Prypecią na Dniepr, a najprostszy kontakt frontu bolszewików na Ukrainie z ich frontem na Białorusi został przerwany.

28 kwietnia pod Kijów dotarła w pościgu 3. Armia, zdobywając Stawyszcze, a następnie Fastów. 6. Armia zdobyła na południu Winnicę, Bar i Żmerynkę. W ciągu kilku dni kwietniowych walk wzięliśmy łącznie 30 tys. jeńców oraz 150 dział i 500 karabinów maszynowych. W rozbitych oddziałach bolszewickich pozostało ok. 25 tys. żołnierzy – mniej więcej dwie piąte stanu wyjściowego dwóch armii wroga.

Do Kijowa...

Armie sowieckie nie przyjęły dalszej walki, a w polskich zarządzono odroczynek i reorganizację. Pozostawiono dwa związki operacyjne: wzmocnioną 3. Armie pod dowództwem gen. Śmigłego-Rydza oraz 6. Armie nadal dowodzoną przez gen. Iwaszkiewicza. Jej prawe skrzydło z 2. Dywizją ukraińską urosło: akurat armia URL gen. Mychajła Omelianowycza-Pawlenki wróciła z gigantycznego „marszu zimowego” po Ukrainie. Siły sojusznika wzrosły do kilkunastu tysięcy ludzi w linii. Jednak atamanowi URL zabraknie czasu, aby zbudować choćby zręby silnej armii i państwa.

Z końcem pierwszego tygodnia maja polski patrol pojechał z przedmieścia Kijowa do centrum miasta... tramwajem i wziął do niewoli kilku bolszewików. Sowietów jakby na to czekali i... opuścili stolicę Rusi, tracąc też wkrótce przyczółek na lewym brzegu Dniepru. Piłsudski wkroczył do Kijowa niemal bez walki, ale też bez zdruzgotania Armii Czerwonej na Ukrainie. Strategiczny cel militarny i polityczny nie został osiągnięty.



Defilada polskich oddziałów w Kijowie, 9 maja 1920 r. FOT. WIKIPEDIA

Sam Piłsudski frasował się, co dalej nastąpi... Próba sowieckiej kontrofensywy nastąpiła 14 maja na froncie zachodnim, którym dowodził Michaił Tuchaczewski. Była nieudana, natomiast na przełomie maja i czerwca ze złowieszczym skutkiem powiodła się sowiecka kontrofensywa na Ukrainie.

... i z powrotem

W ciągu miesiąca liczba czerwonoarmistów w linii wzrosła tu o 120 tys., aczkolwiek nocą z 31 maja na 1 czerwca na naszą stronę przeszła 3. Brygada kozaków, byłych denikinowców, siłą wcielonych do Armii Czerwonej. Odbudowano armie 12. i 14., a poza tym dołączono do frontu południowo-zachodniego silną grupę Jakira i najmocniejszą pięć bolszewików – 1. Armię Konną Siemiona Budionnego. Liczyła ona 38 tys. żoł-

nierzy, 30 tys. koni, kilkaset mobilnych ckm-ów na taczankach, 100 dział, pociągi i samochody pancerne.

O jej przemieszczaniu się ze wschodu donosił wcześniej wywiad, a 25 maja ogromną falę tysięcy koni i ludzi, zbliżającą się do polskich wojsk w rejonie Humania, dostrzegli – niezależnie od siebie – dwaj lotnicy: Tomasz Turbiak z 5. Eskadry oraz George Crawford z 7. Eskadry Kościuszkowskiej, w której pod dowództwem Cedrica Fauntleroya i Meriana Coopera walczyło ok. 20 pilotów amerykańskich. Ogółem w 1920 r. eskadra ta wykonała 462 loty bojowe, spędzając w powietrzu 682 godziny. Zrzucając bomby i siekąc z karabinów maszynowych, lotnicy potrafili rozpuścić kawaleryjskie zgrupowania i stali się zmurą dla kozaków Budionnego. A ci bywali odważni do szaleństwa i skuteczni w boju, ale bestialsko mordowali jeńców oraz mieszkańców.

5 czerwca Budionnemu udało się przerwać polski front pod Samhorodkiem po 10-dniowych atakach 12. Armii Grupy Jakira oraz 1. Armii Konnej, która w następnych dniach zajęła Żytomierz i Berdyczów, mordując, gwałcąc i grabiąc. Naczelne Dowództwo nakazało



odwrot z Ukrainy dopiero
8 czerwca.

Wyprowadzenie naszych wojsk ze śmiertelnego okrążenia zawdzięczamy mężnym i ofiarnym w marszach, obronie i kontratakach żołnierzom Edwarda Śmigłego-Rydza (ich trzon stanowili weterani – legioniści), lotnikom polskim i amerykańskim oraz takim metodom walki jak strzelanie szrapnelami pod końskie kopyta podczas szarży kozaków. Rykoszety obalały konie w pierwszych szeregach. Opowiadał mi o tym ówczesny artylerzysta konny, mój śp. stryj, który wraz z całą klasą gimnazjum w Częstochowie zaciągnął się na ochotnika do wojska. Inicjatywę bojową wykazywał słynny „Kmicicowy” oddział Stanisława Bułaka-Bałachowicza skierowany na Kijowszczyznę właśnie podczas polskiego odwrotu. 11 lipca bałachowcy pobili bolszewików w Owrczu, gdzie więźniów Czeka.

Nasze wojska cofały się bez paniki, w sposób zorganizowany, z częstymi kontratakami, ale i z bolesnymi stratami. Wśród wielu starć do historii przeszła m.in. bitwa pod Borodzianką, gdzie 3. Armia z niezłomną 1. Dywizją Legionów na czele przerwała 11–13 czerwca okrążenie i przeszła po brzuchach piechoty bolszewickiej. Miesiąc później 18. Dywizja Piechoty stoczyła heroiczny bój pod Dubnem i Chorupaniem, na tydzień zatrzymując pochód 1. Armii Konnej.

Wojska polskie i ukraińskie broniły kolejno linii Zbrucz, Seretu i Dniestru, zatrzymały się za Styrem i utrzymały Lwów. Pod Beresteczkiem i Brodami dojdzie na przełomie lipca i sierpnia do próby osaczenia 1. Armii Konnej. Zadane jej straty czasowo wyeliminują ją z walki oraz umożliwią przerzucenie znacznych sił na front północny, gdzie z początkiem lipca rozpoczęła się ofensywa Tuchaczewskiego, grożąca unicestwieniem Polski. W połowie sierpnia śmiertelne niebezpieczeństwo zostanie zażegnane pod Warszawą, a końcu sierpnia 1. Armia Konna zostanie zdruzgotana pod Komarowem i Wojsko Polskie znów ruszy na wschód.

© ® Wszelkie prawa zastrzeżone



Broń na bolszewika



Michał Mackiewicz

pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ Niegdyś koszmar dla logistyków, dzisiaj temat fascynujący dla historyków

Na początku 1919 r. sytuacja w zakresie uzbrojenia Wojska Polskiego była krytyczna. Oddział I Sztabu Generalnego informował: „Brak materiału wojennego i amunicji dla organizującego i prowadzącego wojnę wojska. Zapasy pozostałe po okupantach starczyły na niewielką zaledwie liczbę żołnierzy”. Wobec braku przemysłu zbrojeniowego Polska musiała liczyć przede wszystkim na pomoc zagraniczną. Broń pochodziła z demobilu lub magazynów ze zdobyczą wojenną. Mozaika typów, wzorów i rodzajów była przeogromna, a część sprzętu nie najnowsza i zużyta frontową służbą. Znacząca poprawa nastąpiła latem 1919 r., z chwilą połączenia się z wojskiem wielkopolskim, stosunkowo jednolicie wyposażonym na wzór niemiecki, oraz

w związku z przybyciem do kraju Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera, uzbrojonej w broń francuską. Od tej pory sprzęt francuski i niemiecki zaczął dominować w WP, ale sam proces przebrojenia okazał się wielce kłopotliwy.

Przykładem niech będzie meldunek dotyczący wojsk Frontu Litewsko-Białoruskiego sporządzony w Naczelnym Dowództwie dla Ministerstwa Spraw Wojskowych jesienią 1919 r.: „Mimo usilnych starań ze strony Nacz. Dow. i dow. frontu jest ujednastajnienie uzbrojenia na tym froncie dotąd nieprzeprowadzone z następujących powodów: a) brak karabinków krótkich francuskich dla K.K.M. [kompanii karabinów maszynowych – przyp. M.M.] i komp. techn. [kompanii technicznych – przyp. M.M.], b) brak łódek do naboju franc. mimo wyrobu tychże w Wilnie, c) poszczególne

dywizje zajmowały odcinki ogromnych rozmiarów, a oddziały z powodu akcji były często przerzucane, d) prawie bezustanna akcja bojowa przeszkadzała przebrojeniu [...]”. Trafiająca na front broń pozbawiona była części zamiennych, zdekompletowana i słabej jakości. Żołnierze nie byli przeszkoleni w jej użyciu – dotyczy to zwłaszcza tak zaawansowanej konstrukcji jak ckm-y. Wzrost ilościowy okazał się znaczący.

Z Hallerem trafiło do nas m.in. 120 czołgów Renault FT, które były wielokrotnie wykorzystywane przeciwko bolszewikom, a ich pojawienie się na linii frontu decydowało zazwyczaj o lokalnych sukcesach. Rzucano je do walki w sile plutonu/kompanii, rzadko kiedy decydując się na tworzenie większych zgrupowań. Ważną rolę odegrała Polska Misja Wojskowa Zakupów w Paryżu (1919–1920). Za jej pośrednictwem uzyskano m.in. ponad 700 doskonałych armat polowych wz. 1897 kal. 75 mm: „Szybkostrzelne armaty Schneidera [prywatne zakłady Schneider były jednym z producentów tego wzoru – przyp. M.M.] działają doskonale – pisał Aleksander Kiersnowski w »Historii rozwoju artylerii« (Toruń 1925) – już po pierwszych dwóch–trzech strzałach, gdy leziesz i klocki zagłębia się w ziemię, całe łóże staje się nieruchomem, prawie że nie drgnie tak, że moneta położona na obręczy koła nie spada przy strzale; linia wizowania prawie że nie zmienia zasadniczego kierunku [...], szybkość strzelania może być doprowadzona do 16 i nawet więcej na minutę”.

Wśród broni strzeleckiej wymienić należy przede wszystkim francuskie karabiny powtarzalne Lebel wz. 1886/93, Berthier wz. 1907/15 (3-nabojowy) i 1916 (5-nabojowy) oraz rkm-y Chauchat wz. 1915 i ckm-y Hotchkiss wz. 1914. Broń była dostosowana do amunicji kal. 8 mm. Bardziej ceniono wzory niemieckie: przede wszystkim karabiny Mauser wz. 1898 i ckm-y Maxim wz. 1908 kal. 7,92 mm, również licznie reprezentowane. W 1920 r. nadal używano w wielu pułkach, a nawet całych dywizjach broni austriackiej i rosyjskiej, także zdobyczej. Na zdjęciu polscy żołnierze przy austriackim ckm-ie systemu Schwarzslose wz. 1907/12 kal. 8 mm; hełmy francuskie, niektórzy w amerykańskich i francuskich bluzach z demobilu (1919–1920). ©



Na Kowel!

W 1920 r. obie strony dość licznie wykorzystywały samochody pancerne, różnych zresztą wzorów. W przypadku WP był to sprzęt zarówno zdobyczny, jak i zaimprovizowany, z krajowych warsztatów. Warto w tym kontekście odnotować dwa błyskotliwe rajdy przeprowadzone przez nasze oddziały. Pierwszy przeprowadzono w celu opanowania Żytomierza (wiosenna ofensywa na Kijów). Wydzielona grupa bojowa złożona głównie z żołnierzy z 1. Pułku Piechoty Legionów, dysponująca kilkudziesięcioma samochodami ciężarowymi Fiat i Packard, armatami kal. 75 mm podczepionymi do ciągników artyleryjskich, dokonała kilkudziesięciokilometrowego rajdu, zajmując ważny węzeł komunikacyjny.

W akcji wziął udział zdobyty na bolszewikach samochód pancerny Garford.

Zbudowany na podwoziu amerykańskiej 4-tonowej ciężarówki pojazd należał do najcięższych i największych samochodów pancernych epoki i uzbrojony był w armatę 76,2 mm oraz trzy karabiny maszynowe Maxim. Jego przeciwieństwem był samochód pancerny Ford FT-B (na zdjęciu) opracowany przez inż. Tadeusza Tańskiego i produkowany w warszawskich zakładach Spółki Akcyjnej „Gerlach i Pulst”. Miał masę 1,2–1,4 tony, pancerz z nitowanych płyt walcowych o grubości 8 mm, a uzbrojenie stanowił karabin maszynowy Maxim zamontowany w obrotowej wieżyczce. Pojazdy te wykorzystano w rajdzie na Kowel we wrześniu 1920 r. Grupa bojowa licząca tysiąc żołnierzy, 8 armat kal. 75 mm, kilkanaście karabinów maszynowych oraz 54 samochody i 9 wozów pancernych (w tym 7 fordów) dokonały głębokiego zagonu na tyły przeciwnika, dezorganizując jego obronę. ©©

Zdobyczna armata

W Muzeum Wojska Polskiego eksponowana jest angielska armata 60-funtowa (kal. 127 mm) zdobyta na bolszewikach w 1920 r. Wzór ten opracowano w 1904 r. w zakładach Elswick Ordnance Company (koncern Armstronga) na podstawie doświadczeń kampanii w południowej Afryce (wojna burska 1899–1901) z przeznaczeniem dla baterii artylerii ciężkiej wchodzących w skład dywizji piechoty. W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej walczący we Francji Brytyjski Korpus Ekspedycyjny posiadał mniej niż 30 tych armat. Dopiero w trakcie konfliktu zwiększono produkcję w prywatnych zakładach Armstronga, Vickersa oraz w królewskim arsenale w Woolwich; dostarczono łącznie 1,7 tys. luf i 1,4 tys. lawet. Sojusznicza armia carska otrzymała z Anglii w latach 1916 i 1917 w sumie 52 sztuki, spośród których 48 dział przeznaczono na uzbrojenie 12 4-działowych baterii wchodzących w skład ciężkiej artylerii specjalnego przeznaczenia. ©©



Z białą-czerwoną szachownicą



W początkowym okresie zdecydowanie przeważały samoloty wywiadowcze, myśliwskich było niewiele. Z czasem, dzięki zakupom, stan tych ostatnich wyraźnie się zwiększył. Używano m.in. austriackich albatrosów D.III, niemieckich fokkerów D.VII, francuskich spadów 7C1 i 13C1, a także włoskich ansaldo A.1 Balilla (na zdjęciu, źródło: NAC). Były to samoloty nie najnowocześniejsze i obciążone rozmaitymi wadami, ale sprawdzone podczas walk pierwszej wojny światowej. Obok rozpoznania prowadzono akcje stricte bojowe, np. pomyślne ataki eskadr III

Dywizjonu przeciwko Armii Konnej Budionnego pod Lwowem. Ofiarności naszych pilotów podkreślał mjr Adam Ajdukiewicz-Brzechwa, szef Oddziału Operacyjnego 6. Armii: „Co kwadrans startował z lotniska jeden samolot, co kwadrans jeden wracał z linii frontu. Zszywano podarte skrzydła...naprawiano silniki, łatano potraskane kulami części konstrukcji i ruszano ze świeżym zapasem benzyny i amunicji do walki na złamanie karku... efekty: 14 samolotami wykonano 72 loty bojowe, zrzucono około 4000 kg bomb, wystrzelono około 25 000 naboju do ckm”. ©©

1914–1938 / Opowieść o Henryku Józewskim

Patriota dwóch narodów



Tomasz Stańczyk

Zaufany człowiek Józefa Piłsudskiego i admirał Symona Petlury, zasiadał w 1920 roku w ukraińskim rządzie

W kwietniu 1920 r. 28-letni Henryk Józewski został wezwany do Belwederu. Dowiedział się od Józefa Piłsudskiego, że ma zostać wiceministrem spraw wewnętrznych w rządzie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Było to zapewne tuż przed podpisaniem przez Polskę i Ukrainę konwencji wojskowej, w przededniu ofensywy na Kijów. Konwencja była podstawą polsko-ukraińskiego sojuszu, a jego celami były: wyzwolenie Ukrainy Naddnieprzańskiej spod bolszewickiej władzy i odbudowa państwowości ukraińskiej. Józewski, jako osobisty delegat Piłsudskiego, miał być w tym pomocny.

„Nie byłem »narzędziem« Polski w ukraińskim rządzie, nie byłem agen-

tem albo wtyczką. Polska mogła mieć do mnie zaufanie – stwierdzał Józewski we wspomnieniach. – W mierze nie mniej-szej mogła mieć zaufanie do mnie Ukraina. I tu, i tam byłem sobą, a zarazem byłem spotkaniem się dwóch światów patrzących sobie w oczy ufnie i wiernie. Jak mówiłem wtedy, byłem »mężem zaufania obu narodów«. To określało stan rzeczy. Czułem się w tym dobrze, odświeżnie. Patriotyzm i patriotyzm Ukrainy stanowiły jedno. Jest to jakiś zaklęty w Polsce skarb, o czym wielu Polaków może nie wiedzieć, ale nie zmienia to stanu rzeczy” (H. Józewski, „Zamiast pamiętnika”).

Tak mógł pisać i wspominać jedynie ktoś nie tylko urodzony na styku dwóch narodów, polskiego i ukraińskiego, lecz także czujący i rozumiejący aspiracje

narodu, do którego nie należy. Henryk Józewski urodził się w 1892 r. w Kijowie, a trzeba przypomnieć, że miasto to było kiedyś stolicą jednego z województw przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

POW nad Dnieprem

Historia, jeśli nawet nie musi się powtarzać, jest źródłem inspiracji. Józewski, student kijowskiego uniwersytetu, założył z kolegami tajną samokształceniową, patriotyczną organizację Filarecja, o której wiele lat później napisze, że wzorowali się na Filarecji wileńskiej czasów Mickiewicza.

Polsko-ukraiński wątek, który zdominował polityczne życie Józewskiego, zaczął się od podpisania zaraz po wybuchu pierwszej wojny światowej wspólnej odezwy Filarecji i organizacji ukraińskiej młodzieży akademickiej. „Tekst polski wydrukowany był z tekstem ukraińskim na jednym arkuszu. Ślubowano wzajemnie braterską pomoc i braterstwo broni w walce o wyzwolenie od obcego jarzma

Polski i Ukrainy. Ze strony polskiej odezwę podpisał ja, jako prezes »Filarecja«, ze strony ukraińskiej podpisał ją Wołodymyr Szulgin, brat znanego potem Ołeksandra Szulgina, ministra spraw zagranicznych Centralnej Rady, mego starszego kolegi z Pierwszego Gimnazjum».

Kijowska Filarecja związała się z obozem niepodległościowym Józefa Piłsudskiego. Józewski przyjechał do Krakowa, by zameldować się u Komendanta i zdać mu sprawozdanie z działalności kijowskiej organizacji. Było lato 1914 r. Trwała mobilizacja, a zaraz po wybuchu wojny zaczęły powstawać Legiony Polskie. Józewski pragnął wstąpić w ich szeregi, ale rozkaz Piłsudskiego przekazany mu przez Walerego Sławka był nieodwołalny: Józewski ma wracać nad Dniepr i być łącznikiem między Kijowem a Legionami. Józewski najpierw założył tajną Wojskową Organizację »Dniepr«, która później wraz z Filarecją weszła w skład Polskiej Organizacji Wojskowej. Józewski został zastępcą dowódcy POW w Kijowie, potem dowodził okręgiem saratowskim, następnie, od 1918 r., był szefem Wydziału Politycznego Komendy Naczelnej III POW i w końcu ostatnim jej dowódcą. To stanowisko było – jak wspominał Józewski – najbardziej zaszczytnym, jakie piastował.

Marek Gałęzowski oceniał, że Józewski »odegrał znaczącą rolę w akcji wywiadowczej, dostarczał wielu informacji dotyczących sytuacji wojennej oraz działalności władz ukraińskich, bolszewików, »białych«, nawiązał również kontakt z rządem Ukraińskiej Republiki Ludowej oraz wywiadem francuskim i niemieckim» (M. Gałęzowski, »Wierni Polsce. Ludzie konspiracji piłsudczykowskiej 1939–1947»).

Józewski był świadkiem stwarzania się państwa ukraińskiego w 1917 r., wstrząsów, które powodowały kolejne zmiany władzy, i wreszcie agresji sowieckiej Rosji. »Przed ostatecznym zapadnięciem bolszewickiego mroku dane nam było przeżyć rzeczy wzniosłe, podnoszące na duchu – wspominał Józewski. – Rewolucja nazwana wielką rewywocją niosła falę entuzjazmu, lepszego jutra. Już w pierwszych dniach rewolucji powstała sprawa wolnej Ukrainy. »Wybuch Ukrainy« był czymś olśniewającym. Ukraina stała się błyskawicznie... W mgnieniu oka pojawiło



się państwo ukraińskie, wyposażone we wszystkie państwowe atrybuty, inaczej tego nazwać nie można».

Władze ukraińskie zapowiedziały autonomię kulturalną dla Polaków, utworzyły też ministerstwo do spraw polskich, a na jego czele stanął kijowski adwokat o nazwisku Mickiewicz.

Na Ukrainie zadnieprzańskiej, podczas okupacji bolszewickiej, Józewski, działając w Komendzie Naczelnej III POW, zajmował się wywiadem. Pisząc wspomnienia w czasach Polski Ludowej (ujęty w 1953 r., skazany na dożywocie za antysowiecką i antykomunistyczną działalność, opuścił więzienie w 1956 r.), podkreślał, że – niestety – pełna poświęcenia i bohaterstwa historia działań na tym odcinku musi pozostać nienapisana. Żyjąc w komunistycznym państwie, zdawał sobie sprawę, że jego zapiski mogą wpaść w ręce bezpieki. Oddawał hołd bohaterstwu i poświęceniu peowiaków z Kijowa, z ziem Ukrainy Naddnieprzańskiej, ale podkreślał, że historia wywiadu nie nadaje się do publikacji.

Napisał jednak o spektakularnym wyczynie POW znad Dniepru, który spowodował, że Galicja Wschodnia została przyznana Polsce, choć Zachód bardzo długo się temu przeciwstawiał. W jego ręce wpadły bowiem zapisy rozmów przeprowadzonych przez Jewhena Petruszewycza, przywódcę Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, z przedstawicielami władz bolsze-

wickich. Józewski natychmiast przekazał Warszawie sensacyjne szczegóły tych rozmów. »Nie były to raporty i referaty sugerujące niebezpieczeństwo aliansu ukraińsko-bolszewickiego, był to realny dowód tworzenia się aliansu, materiał najbardziej autentyczny, był to głos faktów i polityków« – stwierdzał Józewski.

A zapisy rozmów przynosił mu »obywatel Dragomir«, bolszewicki komisarz nadzorujący pracę czekistów... Józewski zachował dyskretność i nie wyjaśnił, skąd znał Dragomira i dlaczego ten zdecydował się na współpracę z Polakami.

Józewski oceniał, że wywiad POW był może jedynym z najbardziej ideowych na świecie, pracował jedynie za żołąd pozwalający uchronić się przed śmiercią głodową.

Członków wywiadu POW czekała jednak często śmierć od kuli. Bolszewicka okupacja Ukrainy Naddnieprzańskiej przyniosła ogromne straty wśród członków POW, ponad stu z nich zostało rozstrzelanych przez czekistów, którzy nie oszczędzali także kobiet. Istnienie POW, której działalność musiała bardzo dać się we znaki bolszewikom, odbiło się tragicznym echem w latach 30. Podczas tzw. operacji polskiej NKWD jednym z najczęściej stawianych i najcięższych zarzutów była rzekoma przynależność do POW. W istocie organizacja ta przestała działać na sowieckiej Ukrainie najpóźniej w 1921 r., co nie przeszkadzało stworzyć na potrzeby aktu oskarżenia fikcji jej działalności w Związku

■ Sowieckim w latach 20. i 30. minionego wieku. A sam zarzut przynależności do POW oznaczał wyrok śmierci.

Ukraiński wiceminister

W styczniu 1920 r. Henryk Józewski przyjechał z Ukrainy okupowanej przez sowiecką Rosję do Warszawy. W Belwederze spotkał się z Józefem Piłsudskim. Pierwsza nocna rozmowa trwała od godz. 23 do 5. Takie wielogodzinne spotkania powtarzały się. Jan Kęsik, biograf Józewskiego, pisał, że musiał on zaimponować Piłsudskiemu nie tylko wiedzą, lecz także sposobem ujmowania spraw polsko-ukraińskich, jak najbardziej zbliżonym do jego własnych. Dalego Józewski stał się wykonawcą polskiej polityki w sprawie Ukrainy i został skierowany do rządu ukraińskiego na stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych. Ministrem rolnictwa był Stanisław Stempowski, tak jak Józewski, pochodzący z ziem ukraińskich.

Rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej miał swą siedzibę w Kamieńcu Podolskim, co upamiętnia dziś tablica na budynku, w którym zbierali się ministrowie. „Nasza polskość – pisał Józewski o Stempowskim i o sobie – nie raziła – była jakąś »polskością ukraińską«, miłą ukraińskiemu sercu i bliską”. Żył wówczas w przeczuciu stającej się dziejowej chwili. Wspominał: „Do historii dziejów polsko-ukraińskich dochodziła jeszcze jedna pozycja wielkiej i najbardziej realnej wagi – ukraińsko-polskie braterstwo w walce o wolność Ukrainy”.

Z polecenia atamana Symona Petlury Józewski pojechał do Kijowa, by przejąć władzę nad miastem z rąk gen. Edwarda Śmigłego-Rydza, którego wojska zajęły stolicę Ukrainy. Polak, ale przecież kijowianin z urodzenia, student kijowskiego uniwersytetu, brał od drugiego Polaka władzę nad miastem. „Niezwykłość sytuacji odczytywałem w zdumionych oczach moich znajomych i przyjaciół [...]. Największe wrażenie robiły na mnie ukazujące się tu i ówdzie w ulicznym tłumie mundury polskie. Powszechny nastrój był ożywiony i wesoły. Wesołość ta szła od polskich żołnierzy, od tych postaci dziarskich i niefrasobliwych. Tańczono



Symon Petlura (drugi z lewej) w rozmowie z gen. Antonim Listowskim FOT. NAC

na skwerach, placach i placykach z kijowiankami. Tego Kijów jeszcze nie widział, pomimo że niejedna armia przez Kijów maszerowała. Nawet żołnierze ukraińscy nie mieli takiego powodzenia, a raczej takich objawów powodzenia” – relacjonował Józewski dni wolności w Kijowie.

Te dni trwały, niestety, krótko. Za krótko było na Ukrainie Naddnieprzańskiej polskie wojsko, by dać osłonę przed bolszewikami odradzającemu się państwu ukraińskiemu. Zabrakło czasu, by okrzepło, zmobilizowało żołnierzy. Ruszyła ofensywa Armii Czerwonej, zatrzymana dopiero na przedpolach Warszawy. I choć wojna z bolszewicką Rosją zakończyła się militarnym zwycięstwem Polski, to wielki historyczny plan polityczny, którego powodzenie mogło zmienić losy Polski i Europy, nieodwołalnie runął. Józewski podkreślał, że plan ten nie byłby możliwy, nie doszłoby do polsko-ukraińskiego zbliżenia, gdyby nie dwie wielkie postaci: Piłsudski i Petlura. O atamanie Józewski miał wybitnie dobrą opinię. Przed laty pisał: „Historia doceni kiedyś etap stawiania się Ukrainy. Wśród tych postaci wysuwa się na czoło to, co się łączy z osobą Atamana Symona Petlury. Jest on symbolem walki o wolność Ukrainy, jest najbardziej ukraińską ze wszystkich ówczesnych postaci, którym sądzone było odegrać taką czy inną rolę w dźwiganiu się Ukrainy do niepodległego bytu. Walka o wolność Ukrainy kojarzy się z osobą Atamana Petlury. Petlura stał się synonimem tej walki. Dlatego też Petlura i petlurowszczyzna są tak zajadle tępione przez sowiecką Rosję. Właśnie dlatego”.

A dziś, po latach od napisania tych słów? Można odnieść wrażenie, że to Polacy bardziej doceniają Petlurę, jego rolę w zbliżeniu polsko-ukraińskim, w walce o niepodległość Ukrainy niż sami Ukraińcy. I o ile nie dziwi, że Pe-

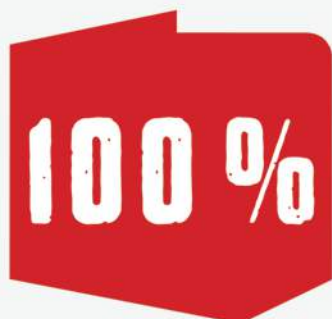
tlura nie jest bohaterem dla Ukraińców zamieszkujących dawne ziemie II Rzeczypospolitej, którzy uczynili nim prowadnika Stepana Bandę, o tyle szkoda, że Ukraińcy znad Dniepru tak małą rolę przypisują osobie atamana Symona Petlury.

Koniec marzeń

Józewski, który obejmował władzę nad Kijowem z upoważnienia ukraińskiego rządu, w pierwszej połowie sierpnia 1920 r., z polecenia Piłsudskiego, który cenił go jako wytrawnego konspiratora, objął stanowisko dowódcy działań dywersyjnych na wypadek, gdyby Warszawę zajęła Armia Czerwona. A potem był traktat ryski i koniec nadziei na utworzenie federacji zdolnej przeciwstawić się czerwonej Rosji, zabezpieczającej niepodległość Polski i Ukrainy. I były słowa marszałka Piłsudskiego do internowanych w Polsce oficerów i żołnierzy ukraińskich, którzy ramię w ramię z Polakami walczyli przeciw bolszewikom, za wolność obu narodów: „Ja was, panowie, przepraszam, ja was bardzo przepraszam”. Kto wie, gdyby Piłsudski był wówczas dyktatorem, sprawa wojny i pokoju z bolszewicką Rosją potoczyłaby się może inaczej, lepiej, dla Polaków i Ukraińców? Piłsudski miał jednak, jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz, obok siebie, o ile nie nad sobą, Sejm i zdawał sobie sprawę ze zmęczenia oraz z wyczerpania Polaków wojną.

W 1928 r. Marszałek powołał Henryka Józewskiego na stanowisko wojewody wołyńskiego. Na tym stanowisku Józewski prowadził politykę przyciągania Ukraińców do państwowości polskiej, narażając się na opinię narodowej prawicy, że ich faworyzuje kosztem Polaków. Działał w myśl „ideologii roku 1920”, kontynuacji sojuszu polsko-ukraińskiego. Mawiał, że ze swojego gabinetu w Łucku widzi Kijów. Wyprawa nad Dniepr w 1920 r. nie miała być ostatnią, a Wołyń miał stać się ukraińskim Piemontem, z którego wyjdzie impuls walki o niepodległą Ukrainę. Józewski był wojewodą 10 lat, do 1938 r. Zabrakło czasu, by przekonać wołyńskich Ukraińców do Polski, jeśli w ogóle było to możliwe. A potem była rzeź wołyńska...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**polski
produkt**

**V EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER GŁÓWNY



Miedzy



Piotr Zychowicz

/ Istnienie niepodległej Ukrainy leży w interesie Polski – przekonywał Adolf Bocheński. Oslabia to bowiem i odsuwa od polskich granic Rosję

Czy w interesie Polski leży istnienie Ukrainy? O tę kwestię w dwudziestolecie międzywojennym toczył się zażarty spór między polskimi politykami i publicystami. Toczy się on również dzisiaj, choć – z oczywistych względów – w sposób mniej otwarty i szczerzy. Ograniczają go bowiem polityczna poprawność i autocenzura, którą stosuje wielu uczestników debaty publicznej.

W dyskusji tej zarysowują się jednak dwa stanowiska. Według pierwszego – wyznawanego głównie przez endeków i ich ideologicznych spadkobierców – istnienie Ukrainy jest sprzeczne z racją stanu Rzeczypospolitej. Państwo ukraińskie zajmuje bowiem obszary, które powinny należeć do Polski (na czele ze Lwowem), a poza tym łatwo może dostać się pod wpływy niemieckie. Lepiej więc rozebrać Ukrainę do spółki z Rosją.

Druga strona dyskursu – reprezentowana w II RP przez piłsudczyków i konserwatystów – miała dokładnie



Koncepcje młodego konserwatysty

Polską a Rosją

odwrotny pogląd: istnienie Ukrainy leży w żywotnym interesie państwa polskiego. Wycięcie tak dużego obszaru z imperialnego cielska Rosji poważnie osłabia bowiem wschodniego kolosa. A Polska zyskuje bezcenny bufor oddzielający ją od Moskali. Lepiej mieć Rosję o kilkaset kilometrów od swoich granic niż tuż za miedzą.

Nie ukrywam, że znacznie bliżej jest mi do drugiego stanowiska. Zdaję sobie oczywiście sprawę z wysokiego rachunku obopólnych krzywd, który obciąża tragiczne relacje polsko-ukraińskie. Na czele z ludobójstwem naszych rodaków dokonany przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Pamięć o ofiarach rzezi sprzed 77 lat nie może jednak rzutować na geopolityczną strategię państwa.

Mój pogląd na temat Ukrainy w dużej mierze opieram na koncepcjach Adolfa Bocheńskiego, najwybitniejszego publicysty

młodego pokolenia polskich konserwatystów. Mowa oczywiście o młodym pokoleniu II RP.

Bocheński – który sam pochodził z Galicji Wschodniej – urodził się bowiem w roku 1909. A więc 111 lat temu. Jego błyskotliwe geopolityczne analizy są jednak aktualne również dziś.

Imperializm państwowy

Do wojny z Rosją – pisał Adolf Bocheński w roku 1927 w głośnym tekście „Imperializm nacjonalistyczny czy imperializm państwowy” – Polska nie może stanąć jak ongiś tyle razy odosobniona, lecz musi poszukać



Adolf Bocheński FOT. WIKIPEDIA

sobie sprzymierzeńców, którzy by pomogli jej do zlikwidowania raz na zawsze niebezpieczeństwa rosyjskiego. Rzuca się wprost w oczy, że Ukraińcy i Białorusini mogliby stanąć jako najcenniejsi sprzymierzeńcy Polski do tej walnej batalii. Odsrodkowe ciężenia tych narodów mogłyby postawić pod znakiem zapytania w ogóle dalsze istnienie mocarstwa rosyjskiego.

Pojedynek polityczny między Polską a Rosją, kto potrafi pozyskać do przyszłej walki narody kresowe, zaczyna się odbywać już dzisiaj. Jest to gra na bardzo wielką skalę. Chodzi po prostu o szanse istnienia państwa polskiego, które między potężną rosyjsko-niemiecką presją zdaje się w przyszłości być bardzo zagrożone.

Powyższy postulat pozyskania Ukrainy i Białorusi dla przyszłej nieuniknionej walki z Rosją jest drugim i najważniejszym powodem, dla którego sprzeciwiać się musimy nacjonalistycznemu programowi ekspansji narodowej na wschód. Wynaradawianie Ukraińców i Białorusinów musi ich pchnąć w ramiona Rosji. To ostatnie zaś byłoby rozstrzygającą klęską państwa polskiego.



RYŚ KRZYSZTOF WRZYKOWSKI

■ Dlatego Adolf Bocheński był zwoleennikiem liberalnej polityki wobec Ukraińców zamieszkujących Wołyń i Galicję Wschodnią. Ostro sprzeciwiał się wszelkim nacjonalistycznym wybrykom władz II RP wymierzonym w przedstawicieli tego narodu. Niszczeniu szkolnictwa, traktowaniu Ukraińców jako obywateli drugiej kategorii, paleniu i niszczeniu Cerkwi.

Wszystko to Bocheński uważał nie tylko za łajdactwo, lecz także za działania głupie i krótkowzroczne. Przekonał, że Ukraińcy – gdy im się przykręci śrubę – dobrowolnie wyrzekną się swojej narodowości, zasymilują i przeistoczą w Polaków, Bocheński uważał za niebezpieczną mrzonkę.

W rzeczywistości było bowiem dokładnie odwrotnie. Zamordystyczne metody tylko zrażały Ukraińców do Polski, wywoływały poczucie krzywdy i zapiekłą nienawiść do Rzeczypospolitej. Pchały młode pokolenie ukraińskie w szeregi radykalnych organizacji terrorystycznych w stylu UWÓ czy OUN. Skłaniały ich do miotania bomb, strzelania do polskich polityków, aktów sabotażu i dywersji. Przede wszystkim zaś wzmacniała ich narodowego ducha.

Kto jak kto, ale Polacy powinni doskonale zdawać sobie sprawę z kontrproduktywności podobnych metod. Wskazywały na to przecież doświadczenia zaboru pruskiego,

gdzie władze niemieckie stosowały wobec Polaków mniej więcej taką samą politykę, jaką władze polskie stosowały później wobec Ukraińców. Jaki był tego efekt? Oczywiście powiększenie, a nie pomniejszenie polskiego stanu posiadania. Wzrost nastrojów antyniemieckich i patriotycznych.

Bocheński dowodził, że państwo jest tym silniejsze, im więcej posiada obywateli nastawionych do siebie życzliwie. Swoją antyukraińską polityką II RP wyhodowała zaś sobie kilka milionów wrogów wewnętrznych. Był to bez wątpienia czynnik osłabiający Polskę, a nie ją wzmacniający. Policjant polski, który prał po gębie spotkanego na leśnym trakcie wołyńskiego chłopca, działał na szkodę swojej ojczyzny.

Z powyższych powodów musimy uznać program imperializmu nacjonalistycznego za fatalny dla państwa, a co zatem idzie i dla narodu polskiego – pisał Bocheński. – Celem naszej polityki na Kresach Wschodnich musi być, aby w Polsce nie było irredenty ukraińskiej i białoruskiej, lecz aby irredenta taka była w Rosji.

Bocheński uważał bowiem, że w momencie, gdy Związek Sowiecki się załamał, Polska powinna zrobić wszystko, aby przyciągnąć do siebie Ukraińców. Powinna natychmiast wkroczyć w próżnię wytworzoną na wschodzie. Wykorzystać upadek Sowietów do odbudowania mocarstwowej pozycji Rzeczypospolitej. Nie powinna jednak dążyć do tego celu za

pomocą podboju i ujarzmienia Ukraińców znad Dniepru, ale za pomocą wciągnięcia ich do jakiejś formy federacji.

Wzmocnienie państwa polskiego – pisał Bocheński – może nastąpić tylko przez zlikwidowanie mocarstwa rosyjskiego przez ruchy narodowościowe i odpowiednie powiększenie Polski, tzn. przez spełnienie programu imperializmu państwowego. Nadzieja rozbicia Rosji i stworzenia wspólnego interesu młodych narodów kresowych z Polską to wielkie naczelne zagadnienie naszej państwowości. Jego urzeczywistnienie to potężne jagiellońskie mocarstwo od Odessy i Charkowa do Kłajpedy i Kowna, jego zaprzepaszczenie to perspektywa przedszego czy późniejszego zgnięcia Polski między Rosją a Niemcami.

Jako główny argument przeciw programowi imperialistycznemu wysuwa się ze strony wszechpolskiej twierdzenie, że Polska nie będzie mogła strawić tak wielkich obszarów. Jest to ciężkie nieporozumienie. Polska nie ma zamiaru „strawić Ukraińców, Białorusinów i Litwinów”. Narodów o wyrobionej świadomości w ogóle zniszczyć nie można. Właśnie nacjonaliści wiedzieć o tym powinni. Właśnie Polacy wiedzieć o tym powinni.

Z narodami można jednak współżyć zgodnie albo niezgodnie. My, opierając się na tradycji Jagiellonów i na najpiękniejszych przykładach historii, chcemy zgodnie współżyć z narodami ukraińskimi. Chcemy dać im zjednoczenie narodowe i samodzielność. Aby związek Polski z narodami kresowymi mógł być korzystny dla stron obu, musi być, tak jak niegdyś związek polsko-litewski, oparty na zupełnym równouprawnieniu narodowym.

Pole do manewru

Federacja to był plan maksimum. Adolf Bocheński uważał jednak, że korzystne dla Polski będzie również stworzenie całkowicie niezależnej od Rzeczypospolitej, niepodległej Ukrainy. Zamiast jednego imperialnego kolosa na Wschodzie pojawiają się bowiem dwa, ścierające się ze sobą nawzajem, organizmy państwowe.

Scenariusz taki ustawiał zaś Polskę w niezwykle komfortowej sytuacji. Poprawiał znacznie jej własne położenie geopolityczne. Zgodnie z głoszoną przez Bocheńskiego zasadą relatywizmu politycznego silne było to państwo, które miało słabych sąsiadów. A słabe to państwo, które miało silnych sąsiadów. Rozczłonkowanie Rosji i wypchnięcie jej za Dniepr i Bramę Smoleńską było więc automatycznie zwiększeniem potęgi Polski.

Podział Rosji – pisał Bocheński w 1936 r. w tekście „Odwieczny wróg Rzeczypospolitej Polskiej” – na kilka wzajemnie zwalczających się organizmów państwowych oznaczałby w dużej mierze zniknięcie raz na zawsze



Ukraińskie czołgi podczas wojny w Donbasie, 2015 r.

FOT. EVGENIY MALOLETKA/OSCE SMM/WIKIPEDIA

niebezpieczeństwa rosyjskiego. Rosja, Ukraina i inne państwa równowagiłyby się niewątpliwie. Nie sądzimy, aby opóźnianie procesu likwidacji mocarstwa rosyjskiego, zbudowanego na gruzach imperium jagiellońskiego, było zgodne z nakazami polskiej racji stanu.

Analogią może być sytuacja Francji w drugiej połowie XIX w. i na początku XX w. Dopóki Niemcy były rozbite na wiele mniejszych państw, dopóki trwała zacięta rywalizacja Prus z Austrią, dopóty Francuzi mogli czuć się bezpiecznie. Jednak w momencie, gdy Niemcy weszli na drogę do zjednoczenia, Francja automatycznie znalazła się w sytuacji rozpaczliwej. Efektem były dwie przegrane wojny (w latach 1870–1871 i 1940) oraz wielka rzeź wielkiej wojny.

Tezę Bocheńskiego potwierdza również obecna sytuacja międzynarodowa. Aneksja Krymu i ciągnąca się od sześciu lat wojna w Donbasie. Konflikt ten toczy się z dala od polskich granic. Rosja i Ukraina osłabiają się nawzajem, a ostatnie, czego chciałby teraz Kreml, to otwieranie nowego frontu – konfliktu z Polską. Wyobraźmy sobie teraz, co by było, gdyby nie było Ukrainy i Rosja Władimira Putina zaczynałaby się za Przemyślem.

Co się jednak stanie, gdy ta nowo utworzona Ukraina sprzymierzy się z Niemcami przeciwko Polsce? – pytali Adolfa Bocheńskiego endecy.

Jak to co – odpowiadał Bocheński – Polska sprzymierzy się wówczas z Rosją i Francją przeciwko Ukrainie i Niemcom.

Na tym polega właśnie komfort, który Polska zyskuje w momencie powstania Ukrainy. Nagle pojawia się szerokie pole do politycznego manewru, wiele potencjalnych wariantów polityki zagranicznej. W przypadku konfliktu Rosji z Ukrainą Polska może wspierać Ukrainę, ale w przypadku sojuszu Ukrainy z Niemcami może wspierać Rosję.

Ukraińcy doskonale zresztą zdają sobie z tego sprawę. Nie jest tajemnicą, że część środowisk ukraińskich nacjonalistów marzy o przyłączeniu do ich państwa Przemyśla i terenów nad Sanem. Oczywiście jest jednak, że w sytuacji konfliktu z Rosją państwa ukraińskie nigdy oficjalnie nie podejmie próby realizacji tych postulatów.

Oznaczałoby to bowiem dla Ukrainy wojnę na dwa fronty z Rosją i Polską, a co



za tym idzie – likwidację państwa. Trudno zaś podejrzewać Ukraińców o tendencje samobójcze. Zabezpieczenie granicy polsko-ukraińskiej to tylko jedna z wielu korzyści, które Polska czerpie z konfliktu ukraińsko-rosyjskiego.

Jeżeli jednak Ukraina nagle zniknęłaby z mapy, to Polska straciłaby bufor i z powrotem znalazłaby się w kleszczach niemiecko-rosyjskich. Jej pole do manewru znacznie by się pomniejszyło. Liczba możliwych kombinacji zmniejszyła się drastycznie. Wydaje się, że korzyść z odzyskania Lwowa nie zrekompensowałaby strat geopolitycznych.

Szczególnie że przyłączenie Lwowa do Polski wiązałoby się z poważnymi wewnętrznymi perturbacjami. Miasto i jego okolice zamieszkane są obecnie niemal wyłącznie przez Ukraińców. I to tych nastawionych najbardziej patriotycznie i bojowo. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie kłopoty sprawiłoby to Polsce.

Droga do Lwowa prowadzi więc nie przez konflikt, ale przez sojusz z Ukrainą.

Wróćmy jednak do lat 30. i Adolfa Bocheńskiego. Problematowi ukraińskiemu sporo miejsca poświęcił on w swojej najsłynniejszej, genialnej książce „Między Niemcami a Rosją” z 1937 r. Był to – jak wiadomo – błyskotliwy wykład, w którym młody konserwatywny publicysta udowodnił, że w nadciągającym konflikcie europejskim Polska powinna znaleźć się u boku Niemiec. I razem z nimi uderzyć na Związek Sowiecki.

Jednym z setki argumentów, które Bocheński wysuwał na poparcie tej tezy, była właśnie możliwość rozprucia Związku Sowieckiego wzdłuż szwów narodowościowych i stworzenia państwa ukraińskiego ze stolicą w Kijowie.

Autor wskazywał, że wraz z utratą Ukrainy Związek Sowiecki – albo przysłała Rosja, która powstanie na jego gruzach – utraci kilkadziesiąt milionów mieszkańców, bezcenne żyzne czarnoziem i Zagłębie Donieckie. A także zostanie

odepchnięta od Europy Środkowo-Wschodniej i Europy Południowej.

Państwo takie – wierzył Bocheński – przy zręcznej polityce można byłoby związać na trwałe z Polską.

Istnieje w przyszłości wąska i przepastna ścieżka – pisał – która przecież prowadzi tam, gdzie

tęsknie spogląda każde prawdziwe serce polskie. Do stworzenia wielkiego imperium na wschodzie Europy, którego my byśmy byli jednym z najbardziej decydujących czynników. Kwestii, czy federacja z państwem ukraińskim jest dla Rzeczypospolitej pożądana, nie będziemy tutaj dyskutować. Nie jest bowiem łatwe do zrozumienia, jak Polak młodej generacji mógłby nie tęsknić do odzyskania granic Władysława IV, jak mógłby marzyć o małej Polsce Łokietka. W roku 1920 legalna władza republiki krymskiej zażądała od Ligi Narodów udzielenia Polsce mandatu nad Krymem. Mało znane to wydarzenie symbolizuje niezmiernie obszary, na których w razie realizacji programu federalistycznego rozciągałaby się potęga Rzeczypospolitej.

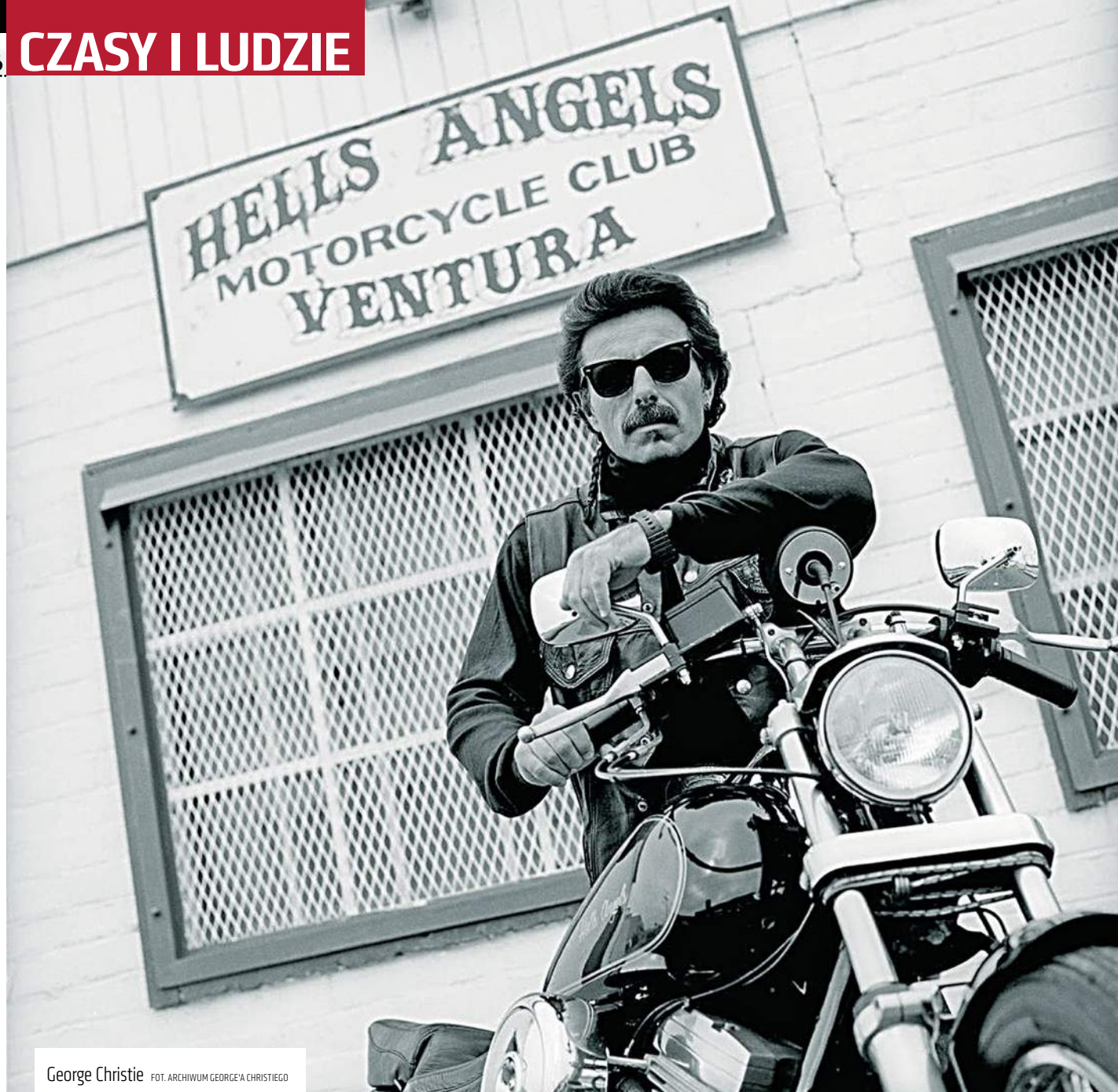
Aby federacja polsko-ukraińska była dla nas korzystna, musi być dobrowolna – pierwszy i kardynalny warunek. „Przez zdrowy imperializm XX wieku rozumiemy dążenie do zwięzku kilku państw celem wspólnej obrony, bez panowania jednego państwa czy narodu nad drugimi, bez wielkiego ich wtarcania się wzajemnego w sprawy wewnętrzne kontrahenta”. Nadzieje na kolonizację i tak silnie zaludnionej Ukrainy przez chłopów polskich należy czym prędzej włożyć między bajki oraz absurdu rodzące się w niektórych mętnych głowach.

Pomysł asymilacji Ukraińców i stworzenia z nimi jednego państwa są efektem resentymentów z XVII wieku i powinny być uznawane za anachroniczne i nierealne. Odbierają im wszelkie chęci do jakiegokolwiek zbliżenia z Polską. Tylko poprzez przyznanie partnerowi praw równorzędnego narodu można dojść do szerszego porozumienia.

Polacy znają się na wielu rzeczach, ale jedną z nich bez wątpliwości są stosunki międzynarodowe. Wielu naszych rodaków uważa bowiem, że polityka zagraniczna polega na tym, aby gdzieś w szerokim świecie odnaleźć jakichś sympatycznych, kochających nas ludzi i połączyć się z nimi wiecznym przymierzem. To oczywiście pogląd naiwny. Polityka zagraniczna polega na realizacji interesów narodowych.

Nie trzeba więc wcale kochać Ukraińców, aby rozumieć, że istnienie państwa ukraińskiego – jak uczył nas Adolf Bocheński – jest zgodne z racją stanu Polski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



George Christie FOT. ARCHIWUM GEORGE'A CHRISTIEGO

Świadek / Z George'em Christiem, byłym członkiem słynnego amerykańskiego klubu motocyklowego



rozmawia Piotr Włoczyk

Banici z Hells Angels

PIOTR WŁOCZYK: W 1977 r. Kalifornią wstrząsnęła otwarta wojna między dwoma gangami motocyklowymi: Hells Angels i Mongols. Pan znalazł się w samym epicentrum tego konfliktu w dosyć niecodziennych okolicznościach. Co pan robił nocą na dachu warsztatu motocyklowego, trzymając w ręku bombę?

GEORGE CHRISTIE: (śmiej) To brzmi jak szaleństwo, prawda? Zostałem wysłany przez starszych kolegów z Hells Angels, by zabrać z dachu, a konkretnie z instalacji wentylacyjnej, bombę domowej roboty, która z jakiegoś powodu nie wybuchła. Dopiero co wyszedłem z marines, czułem się żołnierzem i takie rzeczy nie wydawały się dla mnie czymś strasznie niebezpiecznym.

W wojsku cały czas ma się do czynienia z ładunkami wybuchowymi. Inna sprawa, że w tamtym przypadku nie miałem pojęcia, kto zbudował tę bombę (śmiej). Był moment, kiedy myślałem, że już po mnie. Opuszczałem bombę na linie – na dole czekał na nią mój kolega – i w pewnym momencie wiatr nią zakołysał. Bomba kilka razy uderzyła w ścianę... Jak pan widzi, nic złego się jednak nie stało i odwieźliśmy bombę w bezpieczne miejsce. To były szalone lata.

O co chodziło w wojnie z Mongolami?

Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości USA powiedzieliby panu, że chodziło o terytorium i narkotyki, ale to nieprawda. W 1977 r. w bardzo gwałtowny sposób zaczął narastać między nami spór. Mongolsi zaczęli nas naśladować, chcieli nas zdetronizować w motocyklowej hierarchii.

Zaczął się od kobiety. Otóż jeden z naszych członków z Los Angeles miał problem ze swoją żoną. Ta kobieta uciekła od niego do Mongolsa...

Przykra sprawa, ale to się zdarza wszędzie. To była aż tak niewybaczalna zbrodnia?

(śmiej) Niewybaczalna to mało powiedziane! Mongolsi zabrali kobietę naszemu bratu! Któregoś dnia wpadliśmy na siebie na jednej z imprez motocyklowych. Pech chciał, że nas było dziewięciu, a ich 40. Obok mnie siedł Hells Angel, który stracił żonę. W pewnym momencie stanął twarzą w twarz

z Mongolsem, który był teraz z jego kobietą... W okamgnieniu doszło do bijatyki. W ruch poszły krzesła, a nawet części od silników. To był początek tej długiej wojny.

Postawmy sprawę jasno – wiele osób w środowisku outlaw (w wolnym tłumaczeniu: „banitów motocyklowych”) ma gigantyczne ego. My byliśmy wtedy na szczycie tego środowiska, Mongolsi chcieli z nami konkurować. Sprawy osobiste spowodowały eskalację konfliktu i doszło do wybuchu prawdziwej wojny. Na ulicach południowej Kalifornii zapanował kompletny chaos. Strzały na



drogach, bomby na pogrzebach, bomby w warsztatach motocyklowych... Po obu stronach ginęli ludzie. Hells Angels byli dla wielu innych klubów motocyklowych trendsetterami. Inni poszli w nasze ślady i walki w środowisku outlaw wybuchły na całego. Doszło wtedy w Kalifornii do miejskiej wojny.

Punkt przełomowy nastąpił we wrześniu 1977 r. Była nim śmierć 15-letniego Raymonda Hernandeza, który zginął jako przypadkowa ofiara w wybuchu bomby w warsztacie motocyklowym swojego kuzyna należącego do Mongolsów. Po śmierci nastolatka policja na dobre wzięła się za tłumienie wojny motocyklistów.

Tak, ten chłopak był ofiarą bomby ukrytej w motocyklowym kole. To było coś strasznego.

Co pan myślał o takim sposobie wojowania?

Bomby były ulubioną bronią w tej wojnie, ale ja od początku przestrzegałem kolegów przed sięganiem po takie metody. Cały czas mówiłem, że bomby są niebezpieczne, bo mogą zginąć osoby postronne. Któregoś razu wkurzyłem się podczas spotkania klubu i doszło do sprzeczek. Niektórzy patrzyli na mnie podejrzliwie... Kiedy jedna z bomb nie wybuchła, zostałem wskazany jako ten, który ma po nią pójść.

To miał być rodzaj testu?

Tak, chcieli zobaczyć, czy jestem na 100 proc. zaangażowany. A ja byłem zaangażowany na 100 proc. Byłem przeciwnikiem bomb, ale świat outlaw był całym moim życiem.

Co pana przyciągnęło do tego świata?

Jedna niesamowita scena, która na zawsze zapadła mi w pamięć. To była połowa lat 50. Miałem wtedy jakieś osiem-dziewięć lat. Żyliśmy z rodziną w San Fernando Valley w Kalifornii w zamkniętym środowisku greckich imigrantów. Moi rodzice byli właścicielami małej restauracji. W każdą niedzielę chodziliśmy do innej. Tego dnia poszliśmy do włoskiej knajpy. San Fernando Valley było sercem subkultury outlaw. Staliśmy już na zewnątrz knajpy, ojciec zegnał się z właścicielem, który miał bardzo ciężki włoski akcent.

Nagle usłyszałem potworny harmider. To był harley. Zatrzymał się przy nas na światłach. Wszyscy zamarli i patrzyli na tego długowłosego motocyklistę. Kiedy światło zmieniło się na zielone, harley wystrzelił jak z procy. Wszyscy podążali za nim wzrokiem. Gdy już zniknął nam z oczu, ojciec się do mnie uśmiechnął, a ten Włoch, cały czerwony ze wściekłości, zaczął krzyczeć: „Co za zwierzę! Kto to jest?”. Ta scena zaważdała moją wyobraźnię.

Kwintesencja wolności?

To też, ale przede wszystkim niesamowity rodzaj... władzy. Ten długowłosy facet w jakiś niepojęty sposób kontrolował otoczenie, a zarazem miał wszystkich gdzieś. To był moment, który ogromnie wpłynął na moje życie. Członkowie tej subkultury byli twardymi

■ facetami. W znacznej mierze byli to weterani drugiej wojny światowej, którzy przeszli przez piekło. Motory z demobilu były wtedy bardzo tanie, weterani je wykupywali i doszło do wysypu klubów motocyklowych. Galloping Goose, 13 Rebels czy Boozefighters. Subkultura outlaw zaczęła kwitnąć. Na motocyklach odreagowywali złe historie, znajdowali spokój ducha. Na pewno wielu z nich cierpiało na PTSD (zespół stresu pourazowego).

To ciekawe, że kilka dekad po narodzinach subkultury outlaw lekarze w USA i Wielkiej Brytanii zaczęli zalecać żołnierzom z PTSD jazdę na motocyklach...

To pewne, że jazda na motocyklu to dobra terapia. Kiedy prowadzisz swoją maszynę, twój umysł wpada w uwalniający stan. Wspaniałe uczucie.

motocykliści dobrze się bawili (śmiech). Członkowie staroświeckiego American Motorcyclist Association (AMA) nie lubili środowiska outlaw. W oświadczeniu wydanym po wydarzeniach w Hollister przekonywali, że 99 proc. motocyklistów zachowuje się „normalnie” i żeby nie patrzeć na nich przez pryzmat tego 1 proc.

I od tamtej pory gangi motocyklowe dumnie nazywają się jednoprocetowcami (ang. one-percenters).

Oczywiście, członkowie środowiska outlaw są z tego dumni do dziś.

Ile antykomunizmu było w tym środowisku? Do legendy przeszło rozpedzenie w 1965 r. demonstracji antywojennej w Berkley przez członków Hells Angels.

Członkowie społeczności outlaw generalnie nie lubili ruchów anti-

Wspólnym mianownikiem była też chyba generalna niechęć do rządu?

Myślę, że tak. Cała ta społeczność była trochę jak republikanie (śmiech). Nie mogło być jednak inaczej, skoro łączył ich sprzeciw wobec narzucanych z góry reguł.

Chociaż ciężko też mówić, że środowisko gangów motocyklowych działało na zasadach totalnej anarchii. W końcu wszystkich Hells Angels obowiązuje sztywny kodeks etyczny.

To prawda, mieliśmy bardzo sztywne reguły. Za ich złamanie groziła natychmiastowa kara. Wymiar sprawiedliwości działał w Hells Angels dużo sprawniej niż ten „normalny”, do którego przyzwyczajona jest reszta społeczeństwa. Donoszenie, kłamanie, kradzież – za takie rzeczy groziło automatyczne wyrzucenie. Karalne też było choćby cudzołóstwo.



Kadr z filmu "Wild One" ("Dziki") z 1953 r.
W środku – Marlon Brando, jako Johnny przywódca gangu.

FOT. ARCHIWUM

Wizerunek banity na motorze, który za nic ma reguły społeczne, rozpropagował w amerykańskim społeczeństwie słynny artykuł z tygodnika „Life”, w którym opisana została zabawa motocyklistów w kalifornijskim miasteczku Hollister w Święto Niepodległości w 1947 r. Świętowanie skończyło się jedną wielką demolką...

Znałem motocyklistę, który był wtedy w Hollister. Mówił, że to nie wyglądało tak źle i że po prostu

wojennych. Weterani byli głównie antykomunistami, więc zdarzały się takie sytuacje jak ta w Berkley. Pamiętać jednak przy tym trzeba, że subkultura outlaw była bardzo różnorodna. Przykładowo grupy z okolic San Francisco były zdecydowanie bardziej „wyluzowane” niż chłopaki z Oakland, pochodzący z typowo robotniczego środowiska.

Cudzołóstwo?

Oczywiście mam tu na myśli spanie z żoną/kobietą kolegi z Hells Angels. To były prawdziwe przestępstwa. Karano też za opuszczanie spotkań czy za utrzymywanie motocyklu w złym stanie. Byliśmy prawdziwą rodziną, wszystko opierało się na zaufaniu. Gościłem u siebie w domu mnóstwo chłopaków z Hells Angels i nigdy nie miałem

z nimi żadnych problemów. Byliśmy naprawdę jak rodzina. Dla Hells Angels byłem gotów zrobić niemal wszystko. W czasie zimnej wojny pracowałem dla Departamentu Obrony. Miałem dostęp do tajemnic, pracowałem m.in. przy systemie śledzenia sowieckich okrętów podwodnych. Kiedy moi przełożeni dowiedzieli się, że zostałem liderem Hells Angels w Los Angeles, kazali mi wybrać. Proszę zgadnąć, co wybrałem.

Niebył wiele czarnych twarzy widać na zdjęciach Hells Angels...

To bardzo kontrowersyjny temat. Mieliśmy w klubie kilku czarnych kolegów w latach 60. To się zmieniło, kiedy członkowie Hells Angels zaczęli trafiać do



więzień. Trzeba pamiętać, że w kalifornijskich więzieniach istnieją bardzo ostre podziały rasowe. Za kratkami ludzie często przesiadają nowym klimatem, zmieniają spojrzenie na kwestie rasowe. Hells Angels zaczęło się z biegiem lat zmieniać, tak samo jak całe środowisko outlaw. Powstał podział na czarne, białe i latynoskie kluby motocyklowe. Chociaż nie przeszkadzało to poszczególnym członkom spotykać się z kolegami z innych klubów. Przykładowo nasz lider Sonny Barger wpadał czasem na imprezy ze swoimi czarnymi kumplami. Na pewno nie byliśmy Ku Klux Klanem na motocyklach. Oczywiście byli u nas rasiści, ale zapewniam pana, że w czarnych klubach też nie brakowało rasistów. Tak jak w reszcie społeczeństwa.

Jak wiele poczyniła w Hells Angels kręciło się wokół przestępczości?

Powiem to bardzo wyraźnie: Hells Angels nie jest i nigdy nie było organizacją przestępczą.

Mimo że Departament Sprawiedliwości USA uważa inaczej?

Nasz Departament Sprawiedliwości ma swoją politykę. To, że urzędnicy tak uznali, nie znaczy, że to prawda. Jak powiedziałem, Hells Angels nie jest organizacją przestępczą, choć trzeba oczywiście przyznać, że w klubie zdarzają się przestępcy. Jednak wśród polityków również zdarzają się tacy ludzie... Celem Hells Angels, a także reszty środowiska outlaw, na pewno nie jest działalność przestępcza.

Nie chodzi o handel narkotykami czy сутенерство? To zarzucają wam krytycy.

Nie, absolutnie nie. Ludzie cały czas oskarżają Hells Angels o różne rzeczy. Ja sam byłem wielokrotnie oskarżany o niestworzone historie. Przykładowo w 2001 r. władze postawiły mi 51 zarzutów dotyczących oszustw. Wszystko to rozsypało się potem jak domek z kart. Przyznałem się tylko do zarzutu dotyczącego spraw podatkowych. Zapłaciłem 1,1 tys. dol. kary i to był koniec.

Wcześniej był pan jednak oskarżony o zlecenie zabójstwa. Ten zarzut został jednak oddalony przez sąd.

W 1986 r. rząd stwierdził, że zleciłem morderstwo. Chcieli mnie zrobić. Spędziłem rok w więzieniu federalnym. Sąd uznał mnie jednak za niewinnego. Władze chciały się pozbyć liderów Hells Angels, żeby rozbić to środowisko. Rząd federalny wydał nam wojnę. Zamiast skupić się na ściganiu prawdziwych przestępstw, rząd federalny wymyślał kolejne bzdury na temat Hells Angels, bo nie podobała mu się nasza niezależność.

Sam pan podkreśla, że Hells Angels byli pańskimi braćmi. Był pan nawet dla nich gotów brać do ręki bombę. Dlaczego więc w 2011 r. trzasnął pan drzwiami?

Mieliśmy z Sonnym Bargerem (liderem Hells Angels) różne wizje na temat strategii działania. Jak już wspomniałem, w 1986 r. poszedłem do więzienia. Pierwszego dnia zapytałem starszego kolegę z Hells Angels: „Z kim tu mamy problem?”. A on powiedział: „Obok nas siedzą Bandidos i Mongolsi, ale my tu

ze sobą nie walczymy. Mamy tu moratorium na przemoc. Zaraz przedstawię cię chłopakom z Bandidos”. Nie mieściło mi się to w głowie. Kiedy wyszedłem na wolność, pomyślałem sobie: „Jeżeli możemy dobrze żyć za kratami, to dlaczego na wolności nie możemy się dogadywać?”. Miałem cel – zmienić dotychczasowe układy. Zacząłem rozmawiać z Bandidos i z Mongolsami.

Był długi okres, kiedy wszystko wyglądało OK, ale potem znów zaczęło być źle. Ludzie bez dobrego powodu rzucili się sobie do gardeł. W 2011 r. miałem już tego serdecznie dość. Postanowiłem odejść, ponieważ to nie był już ten sam klub, do którego dołączałem. Nie miałem przy tym złudzeń: albo jesteś w Hells Angels, albo jesteś poza. Jednak to, co się działo później, było dla mnie zdumiewające. Ludzie, którzy niedawno byli dla mnie jak rodzina, zaczęli mnie oczerniać, nazywać donosicielem, choć nie mieli na to żadnych dowodów. Kiedy jednak powtarza się coś wystarczająco długo, ludzie są chyba w stanie uwierzyć we wszystko.

Obecnie pracuje pan nad projektem „Marked the Unforgiven”, telewizyjnym show pokazującym kulisy środowiska outlaw, którego premiera zapowiedziana jest na ten rok.

Pokazuję w nim, jak ciekawy jest świat motocyklowych banitów i jak wiele mitów narosło wokół tego środowiska. Show ukaże się w Internecie na jednej z największych platform streamingowych. Gorąco polecam!

Motyw banity na motocyklu wykorzystywany był w Hollywood tysiące razy. Nic się chyba jednak nie równa z „Dzikim” („The Wild One”) z Marlonem Brando?

To prawdziwy klasyk. Ten film świetnie pokazuje, o co chodzi w byciu rebeliantem. Tego podejścia do życia nie da się w sobie wypracować. Albo się ma taką naturę, albo jest się jak 99 proc. (śmiech).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

George Christie

był jednym z czołowych członków Hells Angels, najsłynniejszego amerykańskiego klubu motocyklowego. W 2011 r., po konflikcie w łonie przywództwa, odszedł z organizacji. Christie napisał książkę „Skazany na banicję: Moje życie z Hells Angels i po odejściu z klubu”.

Pierwsza wojna światowa /

Lawrence

Anglik, Arabowie i imperium osmańskie

Peter O'Toole jako Thomas E. Lawrence w filmie „Lawrence z Arabii” FOT. ARCHIWUM

z Arabii



Delegacja arabska na konferencji pokojowej w Paryżu. Thomas E. Lawrence jako doradca w drugim rzędzie, czwarty z lewej FOT. WIKIMEDIA



Jakub Ostromecki

**„Lawrence z Arabii”
w 1962 r. zgarnął
siedem Oscarów.
Trzydzieści sześć lat po
premierze Amerykański
Instytut Filmowy
wpisał dzieło na listę
100 najlepszych
amerykańskich filmów
stulecia**

Thomas E. Lawrence, podróżnik, znawca Syrii, dobrze zapowiadający się archeolog, potem porucznik i agent wywiadu brytyjskiego, stał się jedną z ważniejszych postaci pierwszej wojny światowej. W 1916 r., po wybuchu antytureckiego powstania w Hidżazie, stał się doradcą emira Fajsala, a potem faktycznym dowódcą rewolty, która rozlała się na

terenach dzisiejszej Jordanii i Syrii. Lata spędzone na pustyni spowodowały, że brytyjski oficer zaczął traktować arabską walkę o niepodległość niemal jak własną. Nieraz był o krok od śmierci.

Pierwsza wojna światowa kojarzy się powszechnie z anonimowymi masami raz to gnijącymi w okopach, innym razem zarzynanymi całymi tysiącami w bezsensownej walce o kilka metrów ziemi niczyjej. Przygody Lawrence’a, podobnie jak wyczyny asów powietrznych, to kilka jaśniejszych punktów na tle owego ponurego obrazu. Podobnie jak lotnicy Lawrence nosił się z nonszalancją i bardzo swobodnie podchodził do wojсковей etykiety. Nic dziwnego, że życie brytyjskiego ekscentryka doczekało się kilku ekranizacji.

Scenarzysta komunista

Problemem filmu jest jeden ze scenarzystów – Robert Bolt. Ów były żołnierz RAF był zdeklarowanym komunistą. Metody walki politycznej brytyjskich wyznawców idei walki klas wykraczały daleko poza ramy wyznaczone przez

prawo, toteż Bolt rychło skończył w więzieniu. W tym czasie miał gotową połowę scenariusza do filmu o Lawrencie. Sam Spiegel, producent filmu, wymusił na scenarzyście podpisanie oświadczenia, w którym Bolt deklarował, że nie będzie więcej łamał prawa. W zamian za to wyszedł z więzienia, ale miał wielkie wyrzuty sumienia, że zdradził swoich towarzyszy i głoszone przez nich ideały. Jeremy Wilson, autoryzowany biograf Lawrence’a, wskazywał, że trauma związana z owym „brudnym kompromisem” mogła spowodować, iż scenarzysta, pisząc drugą część scenariusza, zaczął... mścić się na głównym bohaterze. Faktycznie, w drugiej części filmu Lawrence jest mniej sympatyczny, zdeprawowany wojną, niemal na krawędzi załamania, a cały jego plan wywalczenia niepodległości dla Arabów zaczyna się walić.

Jaki jest filmowy Lawrence? W drugiej części filmu staje się pustynnym celebrytą o skłonnościach narcystycznych i rozbuhanym ego. Po zniszczeniu tureckiego pociągu paraduje po dachach zniszczonych wagonów, pozując amerykańskiemu korespondentowi do zdjęć, a w dole arabscy wojownicy wiwatują na jego cześć. W czasie rekonesansu w zajętej przez Turków Darze specjalnie zachowuje się

MAP OF EASTERN TURKEY IS ASIA, SYRIA AND WESTERN PERSIA

Mapa terytoriów, na których działał Thomas E. Lawrence

FOT. NATIONAL ARCHIVES/WIKIPEDIA

prowokująco, aby być zauważonym, przeświadczony o tym, że skoro ubrany jest jak Beduin i cerę ma spaloną słońcem, nic złego nie może mu się stać. O swojej gwardii przybocznej mówi: „Najlepsi z nich nie walczą dla pieniędzy, ale dla mnie”.

Bolt twierdził, że scenariusz oparł na bestsellerowych wspomnieniach samego Lawrence’a – „Siedem filarów mądrości”. Nie ma tam jednak ani jednego zdania, w którym autor chwaliłby się takimi zachowaniami jak opisane powyżej, nie potwierdzają tego również biografowie. Bolt nie przeczytał zatem podrozdziału zatytułowanego krótko „Ja” lub celowo go pominął. Lawrence opisuje tam swoje słabości: nieśmiałość, brak wiary w siebie, niechęć do brania odpowiedzialności za przeprowadzanie dużych operacji wojskowych, trudności w relacjach z innymi, szukanie za wszelką cenę akceptacji, nieumiejętność nawiązania przyjaźni. Nie ma tu śladu narcyzmu ani wybujałego ego. Niektórzy rozmówcy, np. działacz syjonistyczny Aaronsohn, uznawali go za zarozumiałego, ale to zapewne dlatego, że Lawrence śmiał rzucić coś o możliwości asymilacji Żydów w przyszłym państwie arabskim.

Filmowy Lawrence zamierza złożyć rezygnację z funkcji doradcy wojskowego

przy wojsku arabskim, będąc przerażony tym, że czuł przyjemność, zabijając Gasima, członka własnego oddziału, który dopuścił się przestępstwa, a któremu Lawrence uratował kiedyś życie. Filmowy wątek tej postaci jest kompilacją dwóch prawdziwych zdarzeń, które rozegrały się w ciągu wielu miesięcy. Otóż wędrując do obozu emira Fajsała, jeszcze w Hidżazie, Lawrence musiał zapobiec groźbie wybuchu rodowej waśni między swoimi bojownikami. Członkowie jednego z plemion domagali się – słusznie zresztą – prawa do wykonania egzekucji na innym członku grupy. Krewni zabitego jednakowoż natychmiast zapragnęliby go pomścić. Lawrence, „cudzoziemiec, który nie ma krewnych”, sam więc wykonał egzekucję. Żadne źródło nie potwierdza jednak tezy, że czuł przyjemność z wykonywania wyroku. Owym zabitym nieszczęśnikiem nie był Gasim, którego Lawrence jakiś czas potem uratował z burzy piaskowej, lecz zupełnie inny Beduin – Hamid. Lawrence’a podniecała walka – nie egzekucje.

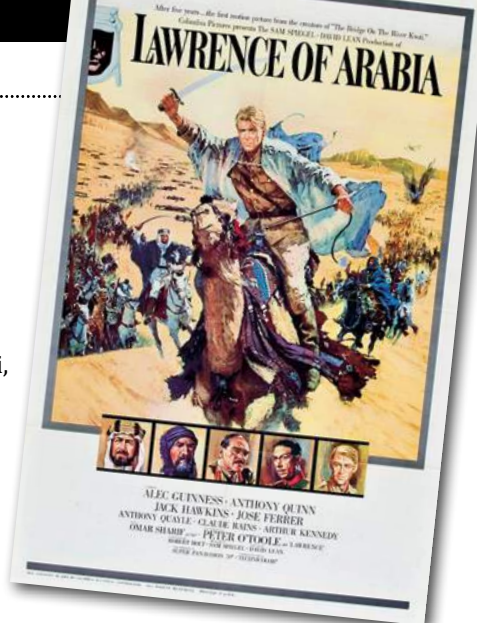
W filmie Lawrence pragnie porzucić służbę z powodu jeszcze jednej traumy. W czasie rekonesansu w Darze zostaje pochwycony przez Turków. Dowodzący garnizonem oficer, nie wiedząc, kogo złapał, zaczyna jeńca lubieżnie obmacywać.

Widząc opór, każe go brutalnie wychłostać, po czym wyrzuca na bruk. Czy Lawrence był gwałcony przez tureckich żołdaków? Reżyser nie wypowiada się jasno w tej kwestii, skupiając się na skutkach tortur dla psychiki bohatera. Zdarzenie to w „7 filarach” zostało jednak opisane bardzo szczegółowo. Nagromadzenie homoseksualnych perwersji i cierpienia jest w tym opisie tak wielkie, a jednocześnie ucieczka Lawrence’a z tureckiego mamra tak łatwa, że biografowie zaczęli wątpić w prawdziwość owych wydarzeń. Jednakowoż w liście pisanym po wojnie Lawrence przyznał, że został w Darze zgwałcony. Nie uzasadniał jednak porzucenia służby owymi przejściami.

Czy Lawrence był homoseksualistą? W swych wspomnieniach autor wielokrotnie zachwyca się sylwetkami i ciałami młodych gibkich Beduinów. Badacze zgadzają się jednak, że słabości te nie przesadzały się w zbliżenia seksualne z arabskimi mężczyznami. Nawet Bolt, choć komunista, wiedział, że w 1962 r. publiczność nie kupi bohatera, który – choćby tylko w myślach – był miłośnikiem męskich wdzięków.

Masakra

Lawrence zamierzał rzeczywiście odejść ze służby na froncie, ale powód był dużo mniej dramatyczny, choć ważny – krańcowe wyczerpanie psychiczne związane z dowodzeniem oddziałem dywersyjnym operującym wiele miesięcy na tyłach wroga oraz wiedza o zamiarach jego własnego rządu, które nijak się miały do arabskich aspiracji niepodległościowych. Chodzi o brytyjsko-francuskie dzielenie skóry na tureckim niedźwiedziu, znane jako umowa Sykes-Picot. W jej myśl Palestyna, Jordania i Irak przypadały Wielkiej Brytanii, a Liban i Syria – Francji. Zdanie Arabów w tej kwestii nikogo nie interesowało. Lawrence znał treść tego tajnego, na razie, układu i zrobił rzecz niebywałą. Opowiedział o nim emirowi Fajsalowi. Była to najzwyklejsza zdrada stanu, za którą groziła kara śmierci. Fajsał zatrzymał tę wiedzę dla siebie, a Lawrence uniknął konsekwencji. Czuł jednak ból, że prowadząc syryjskich Arabów do walki o niepodległość, cały czas ich okłamuje. Bolt zrobił jednak z niego naiwniaka, który dowiaduje się o tajnym układzie pod koniec filmu.



Samozwańczy prorok, który nie dość, że został wystrychnięty na dudka przez wielkie mocarstwa, to jeszcze jest głęboko zdeprawowany wojną. Ten rys filmowego bohatera związany jest z masakrą pod Tafas. Widząc rzeź cywili, której dopuścili się w owej wsi Turcy, Lawrence każe ścigać wycofujące się z niej osmańskie wojsko. „Nie brać jeńców” – rozkazuje. Turcy są zaskoczeni pościgiem i przegrywają. Lawrence wpada w szał i cały zboczony krwią strzela do poddających się żołnierzy. Znikąd pojawia się amerykański dziennikarz i mówi do Lawrence’a: „Ty nieszczęsny człowieku”.

Do tej masakry rzeczywiście doszło. Bolt pominął jednak dwie kwestie. Pierwsza to skala tureckich bestialstw. Po przybyciu do Tafas Arabowie zastali wieś zasłaną nagimi ciałami zgwałconych kobiet, które poddano wymyślnym torturom. Jednej z ciężarnych wieśniaczek Turcy wbili bagnet w genitalia. Gdzie indziej znaleziono żywą jeszcze dziewczynkę z przeciętym gardłem. Nawet najbardziej karnych i cywilizowanych żołnierzy trudno byłoby w takiej sytuacji powstrzymać od krwawej zemsty, a mówimy przecież o rodakach pomordowanych, którzy przybyli do wsi raptem kilka godzin po zbrodni. Film kręcono jednak w latach 60., kiedy naturalizm w przedstawianiu wojennych scen był jeszcze nie do pomyślenia. Druga sprawa dotyczy relacji świadków, którzy byli uczestnikami walk i znali osobiście Lawrence’a. Twierdzili oni, że o ile egzekucje tureckich jeńców rzeczywiście się odbywały, o tyle Lawrence nie brał osobiście w nich udziału.

Drugi upadek filmowego Lawrence’a nastąpił w Damaszku. Dowiaduje się on o tureckim szpitalu wojskowym, gdzie ranni jeńcy dogorywają wśród szczurów, robactwa i trupów swoich kolegów. Onie miały Lawrence obserwuje te jatki i nie robi nic. Dopiero przybycie brytyjskiego oficera polepsza sytuację jeńców. Było jednak inaczej. Po przybyciu do szpitala Lawrence natychmiast kazał pochować zmarłych, oczyścić sale i zmusił tureckich lekarzy do zajęcia się chorymi.

Lawrence nie stał się weteranem z zszarganymi nerwami, jak chociaż Bolt. Po wojnie był doradcą emira Fajsala I, przyszłego króla Iraku, na konferencji w Wersalu. Nie zrezygnował też z wojska. Zaciągnął się do RAF i aby uniknąć roz-

głosu, zmienił nazwisko. W wojsku przez pewien czas zajmował się testowaniem ratowniczych łodzi motorowych. Nic nie wskazuje na to, aby był socjopatą.

Po zdobyciu Akaby Lawrence rzeczywiście pojawił się w Kairze w burnusie. Lean nie mógł pominąć tych oczywistych i barwnych obrazów. Skompromitował się jednak, portretując Lawrence’a, który na pustyni zużywa wodę, aby się ogolić.

Chronologia i Arabowie

Film koncentruje się na najważniejszych epizodach arabskiego powstania, upraszczając dalece pewne wątki, a inne wyolbrzymiając. I tak Lawrence dwukrotnie wracał z Hidżazu do Kairu, zanim przystał na dobre do Fajsala. Z kolei podeście pod Akabę, któremu poświęcono większość pierwszej części filmu, nie było aż tak spektakularne. Było efektem przeniesienia działań dywersyjnych na północ – od wybrzeża Morza Czerwonego ku linii kolejowej łączącej centrum imperium osmańskiego z jego arabskimi peryferiami, a nie celem samym w sobie. Zdobyć Akabę nie wymagało karkołomnej i niebezpiecznej wyprawy przez kompletnie bezwodne obszary. Wystarczyło obejść ją od północy. Oczywiście pozyskanie owego portu dla aliantów było sprawą niebagatelną i wystarczyło, aby Lawrence dostał awans.

Każdy sukces militarny Lawrence’a Bolt musi umniejszyć, uśmiercając kogoś bliskiego bohaterowi. Najpierw młody Daud wpada w ruchome piaski na Synaju, później zaś, po serii udanych ataków na pociągi, ginie przyjaciel Dauda

i Lawrence’a – Farraj. Owi hultaje, jak ich określa Lawrence, zginęli jednak w innych okolicznościach, a na Synaju w ogóle nie da się „utonąć” w suchych „ruchomych piaskach”.

Obraz Arabów jest w filmie wypaczony. Reżyser jest dla nich raz zbyt łagodny, innym razem zbyt surowy. I tak niektórzy badacze uznali za skrajnie obraźliwą dla ludzi pustyni scenę, w której jeden Arab zabija drugiego, motywując to krótko: „Bo to moja studnia”. Członkowie wrogich rodów mogli korzystać na pustyni ze swoich studni tak długo, jak robili to indywidualnie, na swoje własne potrzeby. Nieprawdą jest też, że armia Lawrence’a operująca w Syrii zmalała do kilku bojowników na przełomie lat 1917 i 1918 z powodu dezercji.

Słynna finałowa scena w Damaszku nawiązuje do powiedzonka: „Daj małpie zegarek”. Oto głowy arabskich rodów, zamiast zająć się po zwycięstwie wznowieniem dostaw prądu, gaszeniem pożarów czy służbą zdrowia, skaczą sobie do gardeł. Damaszek pogrąża się w chaosie, co z poczuciem wyższości i nieukrywaną drwiną oglądają Anglicy. W rzeczywistości Arabowie w 1918 r. w Damaszku poradzili sobie z podstawowymi zadaniami władzy cywilnej całkiem nieźle. Na film wściekli byli również potomkowie Audy Abu Tayi, który tu przedstawiony jest jako wódz rzezimieszków walczących tylko dla łupów i brytyjskich pieniędzy. W rzeczywistości Auda – jeden z bliższych towarzyszy Lawrence’a – bił się również z przyczyn ideowych, choć, chcąc prowadzić arabską politykę po swojemu, wdał się raz w negocjacje z wraźmi Turkami. Lawrence zastopował jednak te konszachty w czasie krótkiej koleżeńskej i rzeczowej rozmowy z porywczym Beduinem.

Są i przemilczenia. Nie wszyscy syryjscy czy jordańscy Arabowie wspierali arabskie powstanie. Przykładowo mieszkańcy miasta Tafila zaczęli z wytęsknieniem oczekiwać Turków, gdy zobaczyli, jak ich rodacy w mundurach zaczynają grabić ich dobytek. Film musiał mieć w sobie ładunek orientalnej romantycznej przygody, toteż wszyscy arabscy bojownicy są tu Beduinami pędzącymi do boju na wielbłądach. W rzeczywistości sporą część walk toczyły regularne jednostki arabskie zaopatrywane przez Brytyjczyków. Żołnierze ci nosili mundury khaki, a odróżniały ich od reszty aliantów jedynie kefije na głowach. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER





Arkadiusz Karbowski

**/ Empatia
prof. Grabowskiego
ogranicza się do
zrozumienia dramatu
żydowskich
policjantów. Polskich
granatowych
policjantów nie
obejmuje**

Historia Polnische Polizei im Generalgouvernement z lat 1939–1945 należy do tzw. białych plam polskiej historiografii. Od momentu wydania w 1990 r. książki Adama Hempla, poza pojedynczymi artykułami, żaden z historyków nie zdobył się na napisanie całościowej monografii dotyczącej polskiej policji. Tę istniejącą lukę postanowił – przynajmniej częściowo – wypełnić prof. Jan Grabowski książką „Na posterunku”. Z góry należy zastrzec, że praca naukowca z Ottawy nie jest pełną monografią Polnische Polizei, ale przedstawia ona pewien wycinek obrazujący zachowania funkcjonariuszy polskiej policji wobec – jak to sam napisał – „najbardziej zagrożonej przez okupanta części narodu polskiego, jaką byli Żydzi, obywatele polscy”.

Wbrew tej sugestii warto przypomnieć, że Żydzi mieszkający w Polsce nie byli częścią narodu polskiego poza oczywiście tymi, którzy chcieli nią zostać, ale mniejszością narodową zamieszkującą terytorium II RP i stanowiącą z Polakami wspólnotę obywatelską, która po upadku w 1939 r. Rzeczypospolitej się rozpadła. Wtedy to każda z mniejszości, podobnie jak naród polski, zaczęła realizować własną politykę, będącą w pewnej mierze reakcją na politykę okupantów.

W takiej rzeczywistości rozpoczęła funkcjonowanie policja granatowa. Jej geneza wiąże się z opublikowanym 30 października 1939 r. przez wyższego dowódcę SS i policji w GG SS-Obergruppenführera Wilhelma Krügera zarządzeniem, nakazującym stawienie się do



Granatowy policjant spisuje protokół zatrzymania w towarzystwie Niemców z Ordnungspolizei, Kraków, 1941 r. FOT. BUNDESARCHIV BILD

Zagłada / Recenzja książki prof. Jana Grabowskiego

Policjant granatowy: oprawca i ofiara

pracy w strukturach mającej powstać zreorganizowanej policji dawnych funkcjonariuszy polskiej policji państwowej (w zarządzeniu grożono surowymi karami wszystkim tym, którzy chcieliby

ów obowiązek zlekceważyć). Niecałe dwa miesiące później, 17 grudnia 1939 r., generalny gubernator Hans Frank wydał zarządzenie o utworzeniu Polnische Polizei GG (poza policją mundurową potocz-



nie nazywaną granatową powołano do życia także policję kryminalną, tzw. polskie Kripo, podlegającą bezpośrednio niemieckiej Kriminalpolizei).

Od tej chwili – o czym słusznie przypomina autor książki – w stworzonej przez okupantów formacji rozpoczęli przymusowo pracę polscy policjanci. Struktury policji powszechnie nazywanej od koloru mundurów granatową podporządkowane były Orpo – Ordnungspolizei, czyli niemieckiej policji porządkowej, a konkretnie komendantom tej formacji w poszczególnych dystryktach. Zasadniczym zadaniem polskiej policji było zwalczanie przestępczości kryminalnej oraz współdziałanie z niemieckimi służbami policyjnymi w utrzymaniu porządku publicznego. Niemcy nie ufali polskim policjantom, stąd stworzyli dość ścisły system nadzoru nad ich działalnością.

Z piętnem lajdaka

Jednym z pierwszych niemieckich aktów prawnych skierowanych przeciwko ludności żydowskiej było rozporządzenie generalnego gubernatora Hansa Franka z 1 grudnia 1939 r., nakazujące Żydom noszenie opasek z gwiazdą Dawida. Musieli jej mieć wszyscy uznani według narodowosocjalistycznych kryteriów rasowych za przynależących do narodu żydowskiego. Po niemal roku od wprowadzenia tej regulacji, w listopadzie 1940 r.,

pojawiała się kolejna ograniczająca możliwość swobodnego przemieszczania się. Zgodnie z nią Żydzi mogli zamieszkiwać wyłącznie na terenie gett. Przebywanie poza zamkniętymi dzielnicami – jak je oficjalnie nazywano – bez specjalnych przepustek stało się całkowicie zakazane. Wobec opornych stosowano sankcje w postaci kary pozbawienia wolności lub grzywny.

Obowiązek egzekwowania tych okupacyjnych przepisów prawnych sędowano na polską policję. Policjanci zobligowani zostali ponadto do nadzorowania procesu przesiedlenia się Żydów do gett. Żydzi uważający się za Polaków nie widzieli potrzeby przenosin. Jedną z takich osób był wybitny historyk prof. Marcelli Handelsman, który w związku z zamieszkiwaniem jeszcze w 1942 r. na terenie dzielnicy aryjskiej został wezwany przez granatowych policjantów do stawienia się w biurze komisarycznym burmistrza w celu przedłożenia dowodów aryjskości. Handelsman najwyraźniej nie czuł potrzeby przedstawiania cokolwiek i zaczął się ukrywać.

Autor książki, opisując ten przypadek, przypomniał czytelnikom znalezienie się profesora na listach „proskrypcyjnych” NSZ (wypada dodać, że na podobną listę osób podejrzewanych o skrajnie lewicowe poglądy i kontakty z komunistami wpisał prof. Handelsmana również organa kontrwywiadu Armii Krajowej). Niestety, po umieszczeniu tej informacji w dalszej części tekstu znalazł się passus wskazujący, że profesor został wydany gestapo. W niezorientowanym czytelniku to niezbyt fortunnie brzmiące zdanie może wywołać wrażenie, że prof. Handelsman został wydany Niemcom przez

NSZ-owców, co oczywiście nie jest prawdą, bo nie są znane dane personalne ani przynależność organizacyjna osób, których donos spowodował aresztowanie profesora.

Istotną kwestią związaną z utworzeniem gett było dostarczanie do nich żywności. Autor publikacji, pisząc o jednym z gett, konstatał: „Z biegiem czasu getto stało się śmiertelną pułapką, a koszmarnie warunki sanitarne i niewystarczające racje żywnościowe przyczyniły się do epidemii tyfusu i licznych wypadków śmierci głodowej”. Zasadniczym elementem gwarantującym przeżycie mieszkańcom żydowskich dzielnic był szmugiel żywności. Profesor Grabowski ma częściowo rację, pisząc, że działania granatowej policji w postaci zatrzymywania szmuglerów, konfiskowania towarów, wymuszania haraczy przyczyniły się do pogorszenia się sytuacji żywnościowej w gettach. Szkoda, że zauważając występowanie tych zjawisk, prof. Grabowski nie próbował dociec przyczyn ich zaistnienia.

A były one – wydaje się – dość prozaiczne i związane z sytuacją materialno-bytową funkcjonariuszy. Stosunkowo dużą liczbę policjantów przedwojennych stanowiły osoby mające na utrzymaniu rodziny. Wielkość uposażeń policyjnych, zamieszczonych zresztą w książce w porównaniu z cenami rynkowymi produktów żywnościowych, wskazywały, że nie było żadnych możliwości przeżycia za otrzymywane pensje. Stąd kwitła korupcja. Z dzisiejszej perspektywy takie zachowania budzą zrozumiałą krytyczność. Wtedy jednak, w warunkach ogólnego zubożenia społeczeństwa, stanowiły one normę. W codziennej walce o byt każdy martwił się o siebie, nie przejmując się zbytnio losem innych, w tym znajdujących się w znacznie gorszym położeniu Żydów.

Zaznaczyć wypada, że te zachowania korupcyjne policjantów dotyczyły również polskiej ludności cywilnej, niezagrożonej perspektywą śmierci głodowej. Świadomość pogłębiania się tendencji patologicznych w policji mieli wyżsi oficerowie tej formacji. Komendant warszawskiej policji granatowej, ppłk Aleksander Reszczyński, upominał swych podwładnych, by nie dopuszczali do „dalszego obnoszenia munduru

■ Policji Polskiej po mieście z piętnem brutalą, łapownika i łajdaka". Procesy postępującej demoralizacji policjantów dostrzegane były także przez członków – stanowiącego rodzaj policji Polskiego Państwa Podziemnego – Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa. W jednym z raportów PKB czytamy: „Staczanie się mundurówki zaczęło przybierać jaskrawsze formy od chwili założenia getta. Pomoc w szmuglu, przeprowadzanie Żydów przez mury, wymuszanie od uciekinierów pieniędzy – oto niektóre zatrute źródła dochodów. Ten system łupienia każdego, kto wpadł w ręce, stał się tak powszechnie znany i rażący, że nawet Niemcy zwrócili nań uwagę, czyniąc wytyki w lipcowych okólnikach, skierowanych do komendy głównej". Warto jednak podkreślić, że stroną odpowiadającą za ten stan rzeczy była właśnie strona niemiecka, która stworzyła takie, a nie inne warunki bytowe funkcjonariuszom PP.

Udział w egzekucjach

Przełomowym momentem w działaniach polskiej policji było radykalne zaostrenie niemieckiej polityki wobec Żydów, co nastąpiło w związku z ogłoszeniem przez Hansa Franka rozporządzenia z 15 października 1941 r., nakazującego wymierzanie Żydom złapanym poza gettem bez opaski i bez przepustki kary śmierci. Władze niemieckie, chcąc pokazać, jak bezwzględnie zamierzają respektować wprowadzony rygor prawny, postanowiły po niedługim czasie od wydania rozporządzenia zarządzić przeprowadzenie na nieprzestrzegających go Żydach egzekucji. Wykonano je na terenie aresztu przy ul. Gęsiej w dniach 17 listopada (rozstrzelano ośmiu Żydów) i 15 grudnia 1941 r. (rozstrzelano 15 osób). Zarówno w pierwszym, jak i drugim przypadku członkami plutonu egzekucyjnego byli polscy policjanci. Można domniemywać, że wyznaczono ich przymusowo do wykonania tego zadania, co wynika choćby z treści „Biuletynu Informacyjnego”, w którym napiętnowano zgłoszenie się na ochotnika do tego zadania jednego z funkcjonariuszy – Wiktora Załka (prof. Grabowski zniekształcił jego nazwisko jako Zalek).

Pomimo wydania przez dowódcę policji porządkowej w GG gen. Gerharda Winklera 21 marca 1942 r. rozkazu zabraniającego angażowania do egzekucji polskich policjantów takie praktyki ciągle istniały. Latem 1942 r. Niemcy rozpoczęli akcję „Reinhardt”, której celem była całkowita fizyczna eksterminacja ludności żydowskiej. Przymusowo na polecenie władz niemieckich w akcji tej uczestniczyli także funkcjonariusze polskiej policji granatowej, biorąc udział w wysiedlaniu Żydów z gett, konwojowaniu żydowskich kolumn do miejsc zbiórek, skąd wywożono ich później do obozów zagłady, przeszukiwaniu opustoszałych gett w celu wykrycia ukrywających się. Udział w tych antyżydowskich akcjach budzi u prof. Grabowskiego nieskrywany negatywny stosunek.

Pamiętać przy tym jednak należy, że funkcjonariusze działali pod presją, obawiając się o swoje życie i życie członków własnych rodzin. Służąc przymusowo w policji (poza tymi, którzy sami do tej formacji wstąpili na ochotnika, choć zapewne też nie z powodu możliwości udziału w mordowaniu Żydów), uwikłani zostali w zbrodnie popełniane na Żydach. Raczej trudno byłoby sobie wyobrazić, żeby policjanci zdecydowali się gremialnie ignorować niemieckie antyżydowskie zarządzenia czy rozkazy lub zbiorowo odmówić ich wykonywania.

Co prawda, prof. Grabowski twierdzi, podając przykład policjanta Krzywonośa z posterunku w Racławicach, który odmówił uczestnictwa w egzekucji Żydów (zastąpił go na ochotnika kolega) i nie poniósł z tego tytułu żadnych konsekwencji, że Niemcy za takie zachowania nie stosowali represji. Jednak o tym, że czasami było inaczej, przekonuje przykład z podwarszawskich lasów kabackich, gdzie odmowa wzięcia udziału w egzekucji więźniów z Pawiaka wyrażona przez polskich funkcjonariuszy zakończyła się rozstrzelaniem dwóch z nich. Jak widać, nie zawsze mogli oni liczyć na wyrozumiałość strony niemieckiej.

Faktem jest, że obok działań wymuszonych poleceniami strony niemieckiej pewna część funkcjonariuszy zaangażowała się w akcje antyżydowskie, dokonując w ich trakcie wielu morderstw i zbrodni na własną indywidualną odpowiedzialność. Niestety, kanadyjski naukowiec, przedstawiając tę kwestię, nie dokonał rozróżnienia w ocenach między



zbrodnictwami postępkami policjantów, w których zmuszeni byli partycypować na rozkaz Niemców, a postępkami będącymi wynikiem ich indywidualnych decyzji. Odpowiedzialność za zbrodnie dokonane w tym drugim przypadku ma zupełnie inny wymiar, a krytyczna ich ocena wydaje się bezdyskusyjna. To samo dotyczy działań junaków z Bau-dienstu, członków Ochotniczych Straży Pożarnych czy polskiego Kripo.

Natomiast jednoznaczny oceną wymykają się sytuacje, kiedy ludność cywilna (czasami warty nocne, strażacy) ujmowała ukrywających się Żydów i dostarczała ich na posterunki granatowej policji. Funkcjonariusze nie mieli wtedy wyjścia i musieli zatrzymanych przekazywać na pewną śmierć w ręce niemieckie, a czasami zabijali ich sami. Podobnie było w przypadku składanych donosów, zawierających dokładne informacje o Żydach ukrywających się w konkretnych gospodarstwach. Samodzielny przyjazd policjantów skutkował zwykle ich



**JAN GRABOWSKI
„NA POSTERUNKU.
UDZIAŁ POLSKIEJ POLICJI
GRANATOWEJ I KRYMINALNEJ
W ZAGŁADZIE ŻYDÓW”**

CZARNE



Funkcjonariusz Ordnungspolizei dokonuje aresztowania w towarzystwie granatowych policjantów FOT. BUDESARCHIV BILD

zastrzeleniem, co czyniono, by uchronić przed represjami Polaków udzielających im schronienia. Natomiast przyjazd wspólny z Niemcami kończył się na ogół pozbawieniem Żydów życia na miejscu wraz z ich polskimi opiekunami.

Kaci '43

Do kategorii przymusowego uczestnictwa należy opisywany przez prof. Grabowskiego przypadek udziału polskiej policji w tłumieniu powstania w getcie warszawskim. Zadania wyznaczone granatowym policjantom były zdecydowanie defensywne i polegały na uzyciu ich do pilnowania zewnętrznych murów getta. Wyznaczony do akcji oddział policyjny liczył, zgodnie z danymi zapisanymi w raporcie SS-Brigadeführera Jürgena Stroopa, 367 funkcjonariuszy (w książce zawarta jest informacja, że liczył 360). W składzie sił tłumiących powstanie w getcie znalazło się również 166 członków straży pożarnej.

W dniu rozpoczęcia walk w getcie zginął w starciu z grupą AK próbującą wysadzić za pomocą miny mur getta przy ul. Bonifraterskiej przodownik policji Julian Zieliński z XIV komisariatu. Poza nim, według raportu Stroopa, rany odniosło pięciu innych polskich policjantów (prof. Grabowski podaje nazwiska czterech, w tym nie ujętego w raporcie

Stroopa, ale zabitego na Mokotowie w walce z żydowskimi bojownikami policjanta Mariana Rozpędowskiego). Pewnym novum w temacie powstania jest odkrycie partycypowania policjantów w egzekucjach ujętych żydowskich bojowników i cywili.

Udział w wyłapywaniu swych rodaków i wydawaniu ich Niemcom mieli także żydowscy policjanci z Jüdischer Ordnungsdienst (JDO), czyli Żydowskiej Służby Porządkowej. Fragmentów poświęconych współdziałaniu tej formacji z policją granatową w akcjach antyżydowskich w książce nie ma zbyt wielu, poza ukazaniem przykładu współpracy w wykrywaniu ukrywających się Żydów w opróżnionym już getcie opoczyńskim. Skłonny do wypowiadania jednoznacznych ocen wobec policji granatowej kanadyjski historyk, już w odniesieniu do prób porównywania działań policji polskiej i żydowskiej, wyraził przekonanie, że „wprowadzają nas na teren negacjonizmu Zagłady”.

Skąd tak radykalna teza? Zdaniem prof. Grabowskiego nie można bowiem zrównywać ofiar z katami. Co prawda członkowie JDO byli bez wątpienia pomocnikami katów – ale jak stwierdził – „Koniec końców prawie wszyscy żydowscy policjanci podzielili los Żydów, których najpierw musieli nadzorować”. Tyle tylko, że ta sformułowana post factum konstatacja jest słabym argumentem. Żydzi służący w szeregach Żydow-

skiej Służby Porządkowej, wydający w ręce niemieckie swych rodaków, czynili to w złudnym przekonaniu, że zagłada ich ominie, a służba w JDO będzie stanowiła swoisty immunitet zapewniający im przeżycie.

Czym ich zachowanie różni się od mających podobne – ale nie takie same, bo nie należeli do narodu skazanego na zagładę – dylematy funkcjonariuszy polskiej policji granatowej (mowa cały czas o tych policjantach, którzy nie dopuszczali się indywidualnych zbrodni na Żydach dokonywanych na własną rękę). Czyżby ci ostatni mieli, zdaniem prof. Grabowskiego, testować Niemców w kwestii reakcji na niepodjęcie pracy w policji w 1939 r., w kwestii odmowy wzięcia udziału w egzekucji Żydów, odmowy wzięcia udziału w wysiedlaniu Żydów z gett i konwojowaniu ich do miejsc, skąd wyjeżdżały transporty do obozów zagłady? Z jakiego powodu mieli się narażać na ewentualne represje (ich przynależność do podziemia była często wyrazem nie tyle patriotyzmu, ile zapewnienia sobie alibi na wypadek ewentualnych represji ze strony ruchu oporu)? Bohaterami raczej zostać nie chcieli, nie zamierzali też za nikogo umierać.

Chcieli natomiast, podobnie jak Żydzi z JDO, przeżyć i doczekać końca wojny. Ciężko też uwierzyć, by Niemcy mieli na masową niesubordynację patrzeć przez palce i nie reagować. Gdyby prof. Grabowski – jako historyk, który podjął się dzieła zgłębienia problematyki działań polskiej policji wobec społeczności żydowskiej – zamiast przywdziewać togę promotora kultu martyrologii żydowskiej i wykazywać się polemiczną swadą w pozanaukowych dyskusjach z wyznawcami kultu „Polski niewinnej”, ujawnił nieco większy naukowy dystans wobec opisywanych wydarzeń, to może jego empatia nie ograniczyłaby się tylko do zrozumienia dramatu wpłatania się w machinę zagłady żydowskich odemantów, lecz także granatowych policjantów.

Pomimo tych uwag krytycznych książka prof. Jana Grabowskiego warta jest przeczytania, bo – choć jej autorowi zabrakło w ocenach nieco obiektywizmu – przedstawia wiele ciekawych i nieznanych szerszemu gronu czytelników faktów, poszerzających naszą wiedzę o działalności polskiej granatowej oraz kryminalnej policji na „froncie” antyżydowskim.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Czarnecki

/ Śmierć dopadła Aleksandra Wielkiego 10 czerwca roku 323 p.n.e. Kolejnym rozdziałem w dramatycznej historii władcy stał się spór o jego tron. I o jego zwłoki...

Co właściwie było przyczyną, dla której młody, zaledwie 33-letni, cieszący się do tej pory wyśmienitym zdrowiem mężczyzna tak nagle zmarł? Już w starożytności snuto najrozmaitsze domysły w tej materii. Ciało wielkiego zdobywcy nie zdążyło jeszcze ostygnąć, gdy rozeszła się plotka, że król został otruty. Jako zleceniodawców mordu wskazywano rozmaitych ludzi, oskarżenia o zdradę nie ominęły samego Arystotelesa, którego podejrzewano o uwarzenie śmiertelnego jadu. Najgorzej na tym festiwalu teorii spiskowych wyszedł podczaszy zmarłego – Jolaos, oskarżany o podanie trucizny monarsze. Kiedy niedługo później sam przeniósł się na tamten świat, matka Aleksandra – bezwzględna Olimpias – nakazała zbezcześcić jego grób.

W dzisiejszych czasach większość badaczy uważa jednak, że przyczyny zgonu Aleksandra były naturalne. Niektórzy sugerują, że zdobywca znanego Grekom świata po prostu... zapił się na śmierć. No cóż, król od alkoholu nie stronił, a niedługo przed swą śmiercią wziął udział w dzikiej pijatyce, w czasie której wypił sześć litrów wina... Inni badacze są zdania, że Aleksandra do Hadesu wyprawiła choroba zakaźna. Popularną kandydatką do miana zabójczyni Macedończyka jest malaria, którą mógł się zarazić, wizytując leżące nieopodal Babilonu bagna. Wielu uczonych skłania się też ku tyfusowi – objawy, które miał Macedończyk przed zgonem, dobrze pasują do owej choroby. Argumentem przemawiającym za nią jest poświadczony przez źródła fakt, że



Starożytność /

Mumia



Aleksander z zachowanej w Pompejach mozaiki przedstawiającej bitwę z Persami pod Issos FOT. WIKIMEDIA

ciało syna Filipa mimo panujących nad Tygrysem i Eufratem upałów nie uległo po jego śmierci rozkładowi – chorzy na tyfus w późnym stadium choroby mogą bowiem ulec całkowitemu paraliżowi, tracą zdolność ruchu i mowy, a ich oddech staje się tak płytki, że starożytni medycy nie byłoby w stanie go nawet zauważyć. Oznacza to, że w momencie, gdy przed ciałem rzekomo martwego króla maszerowały oddające mu ostatni hołd oddziały, Aleksander wciąż jeszcze żył i mógł mieć świadomość tego, co się wokół niego dzieje! Makabryczne jest przypuszczenie, że balsamiści, którzy wzięli się wkrótce potem do swej pracy, zmumifikowali monarchę żywcem!

Uprowadzenie zwłok

Po śmierci Macedończyka jego otoczenie stanęło przed pytaniem, co zrobić ze spuszczoną po nim. Zmarły miał tylko jednego syna, Heraklesa, był on jednak dzieckiem nieślubnym. Świeżo owdowiała królowa Roksana była co prawda w stanie błogosławionym, ale płeć dziecka pozostawała zagadką. Kiedy w końcu przyszło ono na świat i okazało się chłopcem, niemowlaka ogłoszono królem Aleksandrem IV, ale jako że noworodek nie mógł zarządzać imperium obejmującym ziemie trzech kontynentów, na współrządcę przydano mu przyrodniego brata zmarłego zdobywcy – Filipa Arridajosa. Szkopuł leżał w tym, że stryj małego monarchy był niedorozwinięty umysłowo. Dlatego prawdziwa władza znalazła się w rękach gen. Perdikkasa mającego pełnić funkcję regenta. Pozostali wodzowie Macedończyka przyjęli funkcje gubernatorów poszczególnych prowincji.

Bardzo szybko wyszło na jaw, że zawarty kompromis nie zadowala nikogo. Na zachodzie podstarzały marszałek Antygon Jednooki, który nie brał udziału w azjatyckich podbojach, knuł przejęcie władzy nad imperium, a satrapa Egiptu Ptolemeusz, oddzielony od pozostałych diadochów łatwą do obrony granicą i mający za zaplecze żyzne ziemie nilowej krainy, rósł w siłę i coraz bardziej utwierdzał się w pragnieniu zostania faraonem. Walka z tendencjami odśrodkowymi zajmowała Perdikkasowi i jego prawej ręce Eumenesowi – dawnemu sekretarzowi ■

Co się stało z grobowcem zdobywcy świata?

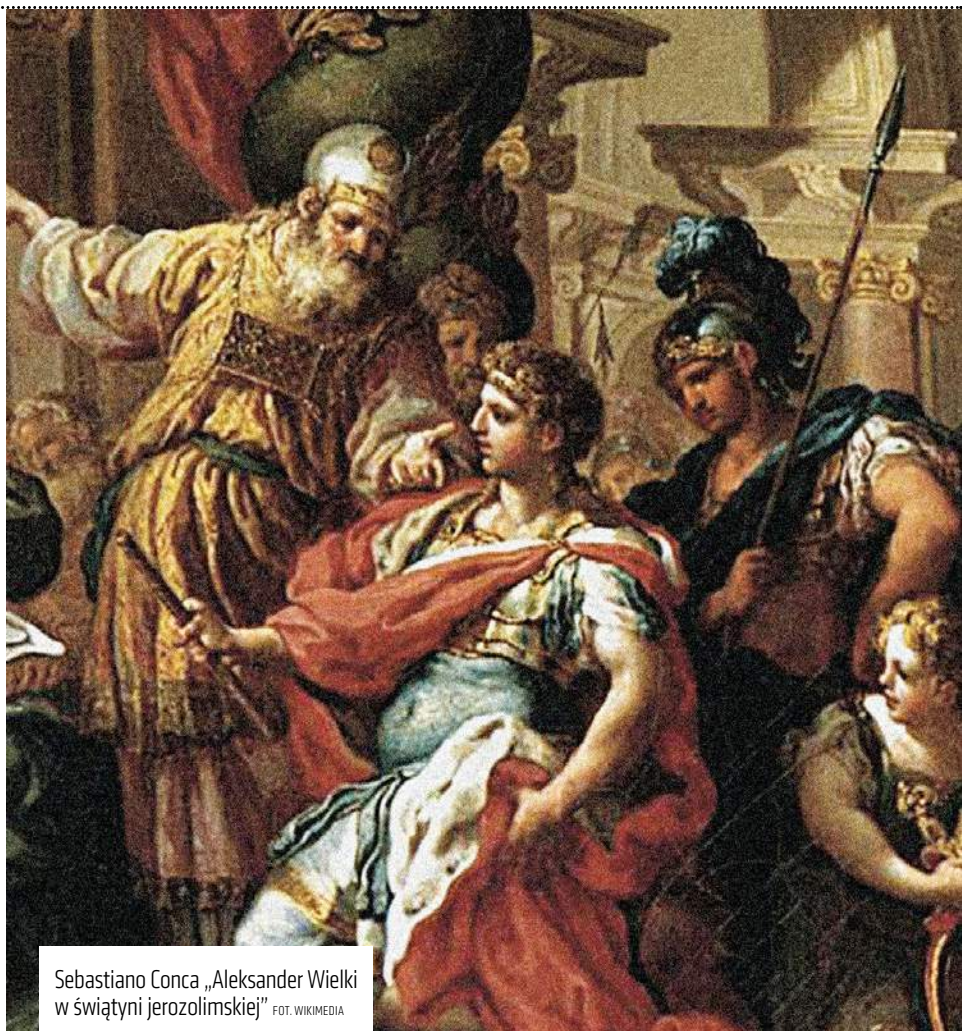
Aleksandra

■ Aleksandra oraz skarbnikowi imperium – tyle czasu, że nie wystarczyło go na zorganizowanie godnego pochówku zmarłemu królowi.

Dopiero w roku 321 p.n.e. znalazły się czas i chęci na to, by zorganizować pogrzeb synowi Filipa. Zbudowano ogromny (6 m długości i 4 m szerokości) karawan z kunsztownie wyrzeźbionymi scenami przedstawiającymi tryumfy zmarłego. Następnie załadowano na niego królewskie zwłoki i procesja pogrzebowa ruszyła w drogę do leżącego na drugim krańcu świata macedońskiego Ajgaj, w którym znajdowała się nekropolia przodków Aleksandra. Był tylko jeden szkopuł – kondukt opuścił Babilon bez autoryzacji regenta, który w tym czasie przebywał na froncie! Organizator całej akcji, wysoki rangą oficer Arridajos (nie mylić z upośledzonym umysłowo królem), nie miał najmniejszego zamiaru wieść cennego ładunku do Macedonii. Zawczasu dogadał się z wrogiem Perdikkasowi Ptolemeuszem. Kiedy kondukt dotarł w okolice Damaszku, został przejęty przez oddział egipskich „kondosów” i już pod ich ochroną dotarł do włości Ptolemeusza, który zdeponował bezcenny ładunek w Memfis.

W ten sposób pretendent do tytułu faraona wykonał ruch, który całkowicie wywrócił do góry nogami zasady gry toczonej przez diadochów. Było to trochę tak, jakby egipski gubernator zamiast przesuwac figury na szachownicy, nagle dzielił nią swego przeciwnika w czoło. Teraz mógł głosić, że jako posiadacz i opiekun królewskiej mumii jest jedynym prawowitym następcą Aleksandra. Morale jego żołnierzy wzrosło pod niebiosami, a wojska innych konkurentów do władzy zaczęły się burzyć, nie chcąc walczyć z kimś, kto miał w swoim ręku trupa ich ukochanego monarchy.

Perdikkasowi i Eumenesowi grunt zaczął palić się pod nogami. Najważniejszy argument przemawiający za prawowistością ich władzy wymknął im się z rąk. Trzeba było szybko zacząć przeciwdziałać ptolemejskiej propagandzie. Z kufrów wyciągnięto zbroję oraz szaty Aleksandra, po czym umieszczono je na tronie wielkiego Macedończyka, a Eumenes, którego nikt do tej pory nie podejrzewał o mistyczne skłonności, zaczął nagle mieć nocne widzenia, w których objawiał mu się duch zmarłego monarchy. Wszystko to jednak nie wystarczało



Sebastiano Conca „Aleksander Wielki w świątyni jerozolimskiej” FOT. WIKIMEDIA

i obaj dostojnicy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Dlatego też Perdikkas, zwoławszy wiernie sobie wojska, ruszył na Egipt, by odbić z rąk tamtejszego pretendenta bezcennego trupa.

Kampania roku 320 p.n.e. okazała się totalną klęską. Regent na próżno usiłował na czele swych ludzi przebyć odgradzający go od przeciwnika Nil. Próba desantu zakończyła się tragicznie – ludzie, konie i słonie grzęźli w mulistym dnie rzeki, tonęli lub stawali się przekąską dla krokodyli. Gdy życie straciło już 2 tys. wojowników porwanych przez nurt, ich towarzysze broni podnieśli bunt, zamordowali Perdikkasa i przeszli na stronę Ptolemeusza.

Grobowiec w Aleksandrii

W ciągu następnych lat karuzela spiśków i ambicji doprowadziła do skrytobójczego zgładzenia wszystkich krew-

nych Aleksandra Wielkiego, a wówczas diadochowie odrzucili wszelkie pozory i przyjęli tytuły królewskie. Spełniło się marzenie Ptolemeusza, który w roku 305 p.n.e., zasiadłszy na egipskim tronie, stał się spadkobiercą faraonów. Rządy Ptolemeusza I były pomyślne. Nowy władca potrafił doskonale wykorzystywać kulturę egipską do własnych celów. Posuwał się nawet do tworzenia pokrętnych legend, według których był krewnym wielkiego Macedończyka, który z kolei miał być rzekomo biologicznym synem ostatniego egipskiego faraona – Nektanebo II. Historie te były rzecz jasna wyszane z palca, ale nowy władca działał zgodnie z zasadą głoszącą, że ciemny lud to kupi. I rzeczywiście, żyjący nad Nilem lud kupował ową propagandę, postrzegając przybysza z odległej Macedonii jako swego prawowitego władcę.

Tymczasem ciało Aleksandra leżało sobie spokojnie w Memfis. Odpoczynek wieczny nie miał mu być jednak dany. Ptolemeusz zamierzał eksploatować legendę pogromcy Persów na wszelkie

możliwe sposoby. Jednym z nich był projekt zbudowania w stołecznej Aleksandrii olbrzymiego grobowca. Mauzoleum miało nie tylko stać się ostatnim schronieniem syna Filipa, lecz także jeszcze bardziej wzmocnić legendę świeżo powołanej faraonńskiej dynastii i na zawsze połączyć imiona wywodzących się z niej władców z osobą Aleksandra Wielkiego. Gdy prace dobiegły końca, bezcenną mumię ekshumowano i przewieziono do stolicy. Niestety, nie zachowały się żadne zapiski dotyczące szczegółów tego przedsięwzięcia. Wiadomo tylko, że odbyło się ono między 298 a 283 r. p.n.e. Nie wiadomo nawet, czy powtórny pochówek został zorganizowany jeszcze przez pierwszego z Ptolemeuszów czy już jego syna – Ptolemeusza II.

Nowe miejsce spoczynku bez wątpienia było jeszcze piękniejsze i bardziej monumentalne niż dotychczasowy grobowiec w Memfis. Problem w tym, że kompletnie nie wiemy, jak ono wyglądało. W przeciwieństwie do latarni na Faros, której licznymi opisami i obrazami dysponujemy, wygląd mauzoleum Aleksandra całkowicie rozpułynał się w mgłę dziejów.

Grobowiec nie był ostatnim miejscem spoczynku Macedończyka. W 215 r. p.n.e. kolejny członek rodziny macedońskich faraonów – Ptolemeusz IV – chcąc uczcić swoje zwycięstwo odniesione pod Rafią nad wojskami Antiocha III, wzmocnić dynastyczną legendę i odwrócić uwagę poddanych od wyniszczającego Egipt kryzysu finansowego, nakazał przenieść mumię do nowego, jeszcze bardziej monumentalnego mauzoleum. Przy okazji złożył w nim też zwłoki swoich przodków, tak by część światła z otaczającej Aleksandra Wielkiego aureoli padała i na jego krewnych. Niestety, podobnie jak w przypadku poprzedniego grobu nie zachowały się żadne informacje o jego wyglądzie. Ba, nie jesteśmy nawet pewni, gdzie dokładnie się on znajdował! Liczne przebudowy Aleksandrii i zniknięcie sporej części starożytnego miasta pod wodami morza sprawiły, że mapa metropolii uległa całkowitej odmianie i nijak nie przystaje do antycznych opisów.

Ciało Aleksandra spoczywało w otoczeniu kosztowności złożone w złotej trumnie. Spokojem dane mu było się jednak cieszyć tylko do czasu. W miarę pogarszania się stanu finansowego państwa kolejni władcy traktowali

aleksandryjskie mauzoleum jako kasę kredytową, wynosząc z niego kolejne elementy wystroju. Wszystkich przebił Ptolemeusz X – nomen omen – Aleksander, który w roku 90 p.n.e. wyrzucił zwłoki wielkiego monarchy z ich złotej trumny, by przetopić ją na monety. Resztki znajdującego się na wyposażeniu budowli złota wyniosła słynna Kleopatra VII w czasie wojny z Oktawianem Augustem. Na niewiele się jej to przydało, gdyż – jak wiemy z historii – konflikt zakończył się jej klęską i samobójczą śmiercią.

Zwycięski Oktawian, zająwszy Aleksandrię, odwiedził mauzoleum Aleksandra. W dowód szacunku zwieńczył skronie mummii złotą koroną i złożył pocałunek na jej twarzy. Niestety, zrobił to tak niezgrabnie, że przy okazji oderwał zwłokom nos.

Śmierć mummii

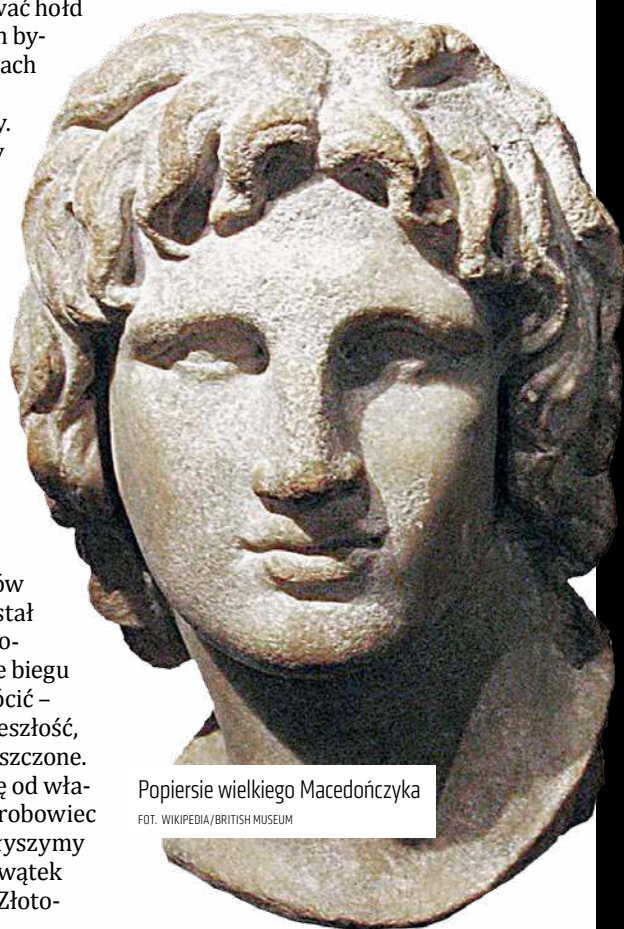
Po roku 30 p.n.e. Egipt stał się rzymską prowincją służącą za spichlerz imperium. Do Aleksandrii ściągali turyści z całego cesarstwa, by oddawać hołd ciału Macedończyka. Wśród nich bywali też cesarze. W ostatnich latach antyku dobre czasy dla mummii Aleksandra jednak się skończyły. Kolejne walki, które przetoczyły się przez stolicę Egiptu w czasie wojen domowych, a także potężne tsunami z 365 r., doprowadziły mauzoleum do ruiny. Co gorsza, kapłani nowej państwowej religii – chrześcijaństwa – w swoich kazaniach często atakowali otaczający pogromcą Persji kult. Co bardziej porywczy biskupi żądali wręcz zburzenia mauzoleum.

Dla jednego z nich, aleksandryjskiego metropolity Gerorgiasa, głośne snucie takich planów zakończyło się tragicznie, bo został ze skutkiem śmiertelnym zlinczowany przez wzburzony tłum, ale biegu wydarzeń nie dało się już odwrócić – pogański świat odchodził w przeszłość, a jego wytwory były masowo niszczone. Gdzieś w tym szale odcinania się od własnej przeszłości przepadły też grobowiec i ciało Aleksandra. Ostatni raz słyszymy o nich na początku V w., gdy ich wątek przewija się przez kazania Jana Złoto-

ustego, zadającego swym słuchaczom retoryczne pytanie o to, czy są w stanie wskazać miejsce spoczynku Macedończyka. Potem zapada trwająca po dziś dzień cisza.

Niektórzy przypuszczają, że grobowiec został zniszczony w trakcie aleksandryjskich zamieszek roku 391, które doprowadziły do zniszczenia sanktuarium Serapisa, jednak dostępne nam źródła milczą na temat tego, czy ta orgia zniszczenia pochłonęła też grób Aleksandra. Gdyby tak było, ktoś z pewnością odnotowałby takie wydarzenie. Tak więc grób i ciało przepadły. Być może istotnie zostały zniszczone przez chrześcijan. Istnieje szansa, że niedobitki pogańskie wykrały ciało Aleksandra i schowały je w tajemnej kryjówce, w której spoczywa po dziś dzień. Brytyjski archeolog – Nicholas J. Saunders – głosi z kolei, że mumię została przez mieszkańców Aleksandrii pocięta na kawałki, które zabrano do domów, by służyły tam jako magiczne amulety.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Popiersie wielkiego Macedończyka

FOT. WIKIPEDIA/BRITISH MUSEUM

XVII oraz XIX w. / Zaraza i monstrum Mary Shelley

Frankenstein z Dolnego Śląska

Epidemie i zarazy od stuleci nawiedzały Europę. Niektóre jej obszary, takie jak Polska podczas epidemii czarnej śmierci w XIV w., dzięki zarządzanej przez Kazimierza Wielkiego kwarantannie na granicach i zamykaniu miast wychodziły z tego obronną ręką. W zachodniej Europie śmierć, zwana czarną, zbierała obfite żniwo – w Hiszpanii, południowej Francji i we Włoszech dochodzące do 80 proc. mieszkańców.

Wydarzenia z czasów epidemii w XIV w. inspirowały dzieła, które na trwałe weszły do historii literatury. Boccaccio pod ich wpływem napisał „Decameron”, Petrarca opisywał zarazę w listach. Opiewana – również po śmierci – w jego sonetach Laura umarła na dżumę. Później zaraza atakowała jeszcze wielokrotnie. Tej chorobie, która dotknęła francuski Oran w latach 40. XX w., poświęcił książkę Albert Camus. Historia z czasów zarazy, która wydarzyła się w XVII stuleciu w niewielkim dolnośląskim miasteczku, mogła również zainspirować stworzenie jednego z najbardziej znanych bohaterów kultury masowej.

Szajka grabarzy

Rajcy miejscy dzisiejszych Ząbkowic Śląskich byli zapewne zdziwieni, kiedy we wrześniu 1606 r. przed ich obliczem stanął parobek miejscowego grabarza i oznajmił, że wie, dlaczego z miasta nie chce ustąpić trapiąca je epidemia czarnej śmierci. Jego słowa wywołały szok. To grabarz Wacław Förster wraz ze swoim pomocnikiem



Grzegorz Janiszewski

/ Szajka grabarzy z dzisiejszych Ząbkowic Śląskich specjalnie rozsiewała po mieście czarną śmierć. Ten horror mógł zainspirować stworzenie słynnego na całym świecie potwora



Jerzym Freidigierem mieli specjalnie roznosić zarazę!

Epidemia w mieście trwała od stycznia tego roku. Nie ustępowała mimo wysiłków lekarzy i władz miasta. Ludzie wciąż umierali. Co prawda, nie na ulicach owego dosyć zasobnego miasteczka – jak zdarzało się w średniowieczu – ale liczba zgonów była zaskakująco duża, choćby w porównaniu z okolicznymi miejscowościami. U mieszkańców wciąż pojawiały się wielkie, nabrzmiałe guzy w pachwinach, z których wkrótce zaczynała sączyć się ropa. Pacjenci umierali najdalej w ciągu tygodnia od pojawienia się tych objawów.

Umierali dorośli i dzieci, miasto powoli się wyludniało, zapowietrzony obszar omijali kupcy. Rajcy może i nie daliby wiary słowom parobka, ale zaraza trwała już tak długo i pochłonęła tyle istnień ludzkich, że trzeba było podjąć zdecydowane działania. 10 września aresztowano zadenuncjowanych grabarzy i poddano ich zwyczajowym w tamtych czasach badaniom. Na torturach nie tylko przyznali się do zarzutów, lecz także wydali jeszcze dwóch swoich współników – grabarza Kacpra Schleinigera i byłego więźnia Weibera, którzy niezwłocznie zostali aresztowani. 16 września aresztowano miejskiego żebraka, 87-letniego Kacpra Schetttsa. Potem do miejskiego więzienia trafiły jeszcze żona Schleinigera – Magdalena Urszula, jej córka Zuzanna Maß oraz żona Schetttsa, również zaangażowane w działanie szajki.

Ich zeznania musiały wyglądać wiarygodnie, bo do rozpatrzenia sprawy powołano komisję składającą się z kilku lekarzy, której przewodniczył ściągnięty ze Świdnicy Jan Schweppes. Ucnieni medycy początkowo traktowali

te opowieści li tylko jako plece- nie potraktowanych torturami podejrzanych. Zmienili zdanie po rewizji u jednego z nich. W mieszkaniu Förstera znaleziono liczne naczynia z tajemniczym proszkiem. W wyniku głębszej indagacji aresztowanych grabarzy śledczy stwierdzili, że proszek ów wytwarzany był ze zwłok zmarłych na zarazę mieszkańców miasta. Sprawcy sypali go pod progi domów. Mieszając go z sadłem czarnego kota, wyrabiali maż, którą smarowali kłamki i kołatki drzwi.



Nietrudno się było domyślić, że robili to po to, żeby zwiększyć swoje dochody. Czerpali je nie tylko z pochówków. Wykorzystując nieuwagę rodzin, spowodowaną rozpaczą po stracie bliskich, kradli z domów zmarłych pieniądze, a zwłoki leżące w trumnach odzierali z opończy.

Dalsze tortury przyniosły kolejne rewelacje. Grabarze przyznali się do stosowania czarów. Wykorzystywali do nich skradzione z kościelnych ołtarzy obrusy, a nawet dwa nakręcane zegary zabrane z kościelnej ambony. Po sproszkowaniu posłużyły jako dodatek do trującej mikstury. Na jaw wyszły też inne niecie sprawy. W cmentarnej kaplicy jeden z grabarzy miał zhańbić zwłoki młodej dziewczyny. Złoczyńcy mieli też rozcinać brzuchy zmarłych ciężarnych, aby jeść na surowo serca nienarodzonych dzieci.

Czy to brak innych środków dowodowych, czy zmęczenie zarazą i chęć odwrócenia od niej uwagi mieszkańców miasta sprawiły, że sędziowie bez zastrzeżeń uwierzyli w te samooskarżenia. Kara za takie przestępstwa mogła być tylko jedna. Całą szajkę skazano na śmierć, poprzedzoną strasznymi mękami. Najpierw grabarzy, ich współników i współpracowników oprowadzono po mieście. Potem na miejscu kaźni szarpano ich ciała rozżarzonymi obcęgami i oderwano kciuki. Dwóm przestępcom odcięto prawe dłonie, a potem przykuto ich do słupa, pod który podłożono ogień. Grabarzowi, który zhańbił zwłoki dziewczyny, rozpalonymi obcęgami oderwano człon. Potem został spalony na stosie razem z pozostałymi sprawcami.

Historia grabarzy z prowincjonalnego miasteczka na Dolnym Śląsku stała

Ząbkowice Śląskie (Frankenstein) zyskały miano śląskiej Pizy FOT. DOMENA PUBLICZNA



się głośna w Europie. W iście tabloidowym stylu – z rysunkami szczegółowo przedstawiającymi działalność szajki i jej egzekucję opisał ją w poczytnym augsburskim tygodniku „Neue Zeyttung” pod koniec 1606 r. wydawca Jerzy Kreß.

Dżuma w mieście ustała dopiero po roku. 18 lutego 1607 r. odprawiono

dziękczynne na-

bożeństwo, a w marcu

1608 r. ponownie poświęcono cmentarną kaplicę św. Mikołaja, sprofanowaną przez szajkę grabarzy.

Po wykryciu rzekomej przyczyny szerzenia się czarnej śmierci ewangelicki pastor Samuel Heinitz na początku października 1606 r. wygłosił sześć dziękczynnych kazań, wydanych później drukiem w Lipsku. Użył w nich terminu „diabelski łowca” jako wyobrażenia zła, które opanowuje ludzkie serca i nakłania do straszliwych grzechów. Z czasem ów łowca w ludzkiej pamięci stał się potworem, powołanym do życia przez niecierpliwych grabarzy z ciał zmarłych na dżumę mieszkańców miasta Frankenstein, bo tak wówczas nazywane były dzisiejsze Ząbkowice Śląskie.

Monstra zimnego lata

Frankenstein pojawił się znowu 200 lat później – tym razem na światowej scenie – zyskując nieśmiertelną sławę. Na początku XIX w. stawało się coraz bardziej oczywiste, że teorie oświeceniowych mędrków nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością. Rewolucja francuska i wojny napoleońskie pokazały, że człowiek nie zawsze jest tak racjonalny, jak chcieliby filozofowie. Spoza kręgu ich światła zaczęły wyzierać zapomniane już trochę monstra, kryjące się w zakamarkach ludzkiej duszy.

W czerwcu 1816 r. w willi Diodati nad Jeziorem Genewskim zebrali się

■ czworo młodych ludzi, zafascynowanych nowymi, romantycznymi prądami. Pogoda była wyjątkowo okropna. Rok wcześniej wybuchł wulkan Tambora w Indonezji. Wulkaniczne pyły kisiły się w górnych warstwach atmosfery, zamieniając na półkuli północnej lato w zimę. Nieustannie padał deszcz albo śnieg. Przymrozki niszczyły uprawy, a rzeki występowały z brzegów. Willę wynajął lord Byron, który spędzał tam czas z przyjaciółmi – poetą Percym Bysshe Shelleyem, jego kochanką i przyszłą żoną, początkującą wówczas powieściopisarką Mary Wollstonecraft Godwin, oraz lekarzem i literatem Johnem Polidorim. Chcieli się tam schronić przed prześladowającą Byrona i Shelleya reputacją skandalistów. Nie za bardzo się to udało. Właściciel sąsiedniego pensjonatu wynajmował turystom teleskopy do podglądania lokatorów willi. Ciągnęły też do niej pielgrzymki zwabionych plotkami turystów, nudzących się z powodu niesprzyjającej górskim wycieczkom pogody.

Spędzane przy świetle świec dżdżyste wieczory towarzystwo urozmaicało sobie opowieściami o duchach. Nocą 16 czerwca rozpuściła się burza. Ciemne niebo nad taflą jeziora i nieodległymi górami rozświetlały uderzenia błyskawic, po których rozbrzmiewały potężne uderzenia grzmotów. Byron zaproponował towarzyszom napisanie jakiejś przerażającej historii. Nie spodziewał się pewnie, że skończy się to stworzeniem dwóch arcyważnych postaci światowej literatury. Polidori przedstawił szkic opowiadania, które co prawda zaginęło w mrokach historii literatury, ale dało jej nieśmiertelną postać – wampira. Mary stworzyła równie znanego potwora, stworzonego przez naukowca i filozofa, próbującego pokonać śmierć. Ożywione elektrycznością monstrum, poskładane z ciał zmarłych, z początku jest bezmienne, chociaż z biegiem czasu przejmuje imię od swojego twórcy, doktora Victora Frankensteina.

Skąd inspiracja?

Czy późniejsza Mary Shelley mogła znać historię grabarzy z Frankenstein? Prawdopodobnie tak. Polidori, mieszkając w Szwajcarii, odwiedzał liczne archiwa, studiując niemieckojęzyczne materiały. Mógł wtedy natrafić na dosyć

szeroko komentowaną sprawę z początku XVII w. Sama Mary wspominała w przedmowie do „Frankensteina”: „Spędziłam lato 1816 roku w okolicach Genewy. Było wyjątkowo zimno i deszczowo i wieczorami zbieraliśmy się przy kominku, delektując niemieckimi opowiadaniem o duchach”. Niewykluczone więc, że jej inspiracją był „diabelski łowca” z kazań pastora Heinitza, w duchu nowej epoki przekształcony w ożywione-go elektryczną energią potwora.



Boris Karloff w filmie „Frankenstein” FOT. ARCHIWUM

W grę wchodzi też inne inspiracje. Na przykład zafascynowanym alchemią fizykiem i filozofem, poszukującym eliksiru życia Johannem Konradem Dippel. W latach 30. XVIII w. prowadził on eksperymenty z martwymi zwierzętami i częściami zwłok ludzkich, gotowanymi w wielkich słojach na zamku Frankenstein niedaleko Darmstadt. Nie zdążył stworzyć swojego potwora, bo miejscowa ludność zaniepokojona tymi próbami wygnała go z laboratorium. Dla potomnych zostawił memento, dobrze opisujące ówczesnych filozofów, a pasujące i do naszych czasów: „Oświecone umysły próbują przywrócić biblijny porządek natury, a jeśli im się to szczytnie – jak by się wydawało – zadanie powiedzie, będą usiłować obalić samą Biblię, za pomocą tych samych oświeconych argumentów, jak już raz dostanie im się w ręce władza nad ludzkimi umysłami...”. Mary przebywała w pobliżu zamku Frankenstein

podczas swojej pierwszej europejskiej podróży z Shelleyem we wrześniu 1814 r. Czy jej inspiracją był heski alchemik, nie wiadomo.

Jej powieść o potworze spreparowanym z ludzkich zwłok ukazała się anonimowo w 1818 r. pt. „Frankenstein, czyli nowoczesny Prometeusz”. Od tego czasu olbrzym ze stalowymi klamrami na czole i wystającą z szyi tuleją zaczyna żyć swoim życiem, stając się inspiracją dla następnych książek i opowiadań, sztuk teatralnych i filmowych, a w końcu też ikoną popkultury. Gubi się w tym pierwotny zamysł pisarki, która chciała pokazać możliwości ludzkiego rozumu i skutki rozwoju nauki niepowstrzymanego zasadami moralnymi, a zarazem przestrzec przed nimi. Jednakże Frankenstein posłużył wszelkiej maści ideologom „postępu” do uzasadniania swoich teorii. Potwór doskonale się do tego nadawał. Sztucznie stworzony przez człowieka, potem odrzucony, szukający miłości i akceptacji, a nie mogąc jej odnaleźć, wpadający w szal mordowania. Towarzyszy dyskusjom o zapłodnieniu in vitro, klonowaniu i najnowszych zdobyczach biotechnologii.

Może jednak inspiracją dla książki uznawanej za prekursorkę science fiction i dla jednego z najbardziej znanych potworów w historii popkultury była historia grabarzy z Frankenstein? Na to pytanie odpowiedź znała tylko Mary Shelley.

W latach 90. Żąbkowice, tak jak wiele dolnośląskich miasteczek, dobijane było przez ekonomiczne reformy i bezrobocie. Szukając możliwości promocji i przyciągnięcia turystów, sięgnięto po starą opowieść. Lokalny aktywista Jerzy Organiściak w 1993 r. w czasopiśmie „Karkonosz” opublikował tekst łączący niemiecką nazwę miasta z powieścią. W Żąbkowicach zaczęto organizować imprezy związane z Frankensteinem. W październiku 1996 r. odbył się tu konwent miłośników fantastyki „Weekend z Frankensteinem”, w którym wzięli udział m.in. Lech Jęczyński, Rafał A. Ziemkiewicz i Andrzej Sapkowski. Ten ostatni, zwiedzając zachowane w Żąbkowicach mury miejskie i średniowieczną Krzywą Wieżę, wpadł na pomysł napisania swojej husyckiej trylogii. I to jeszcze jedna inspiracja literacka, która wyszła z miasta Frankensteina. Ta jest z pewnością prawdziwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



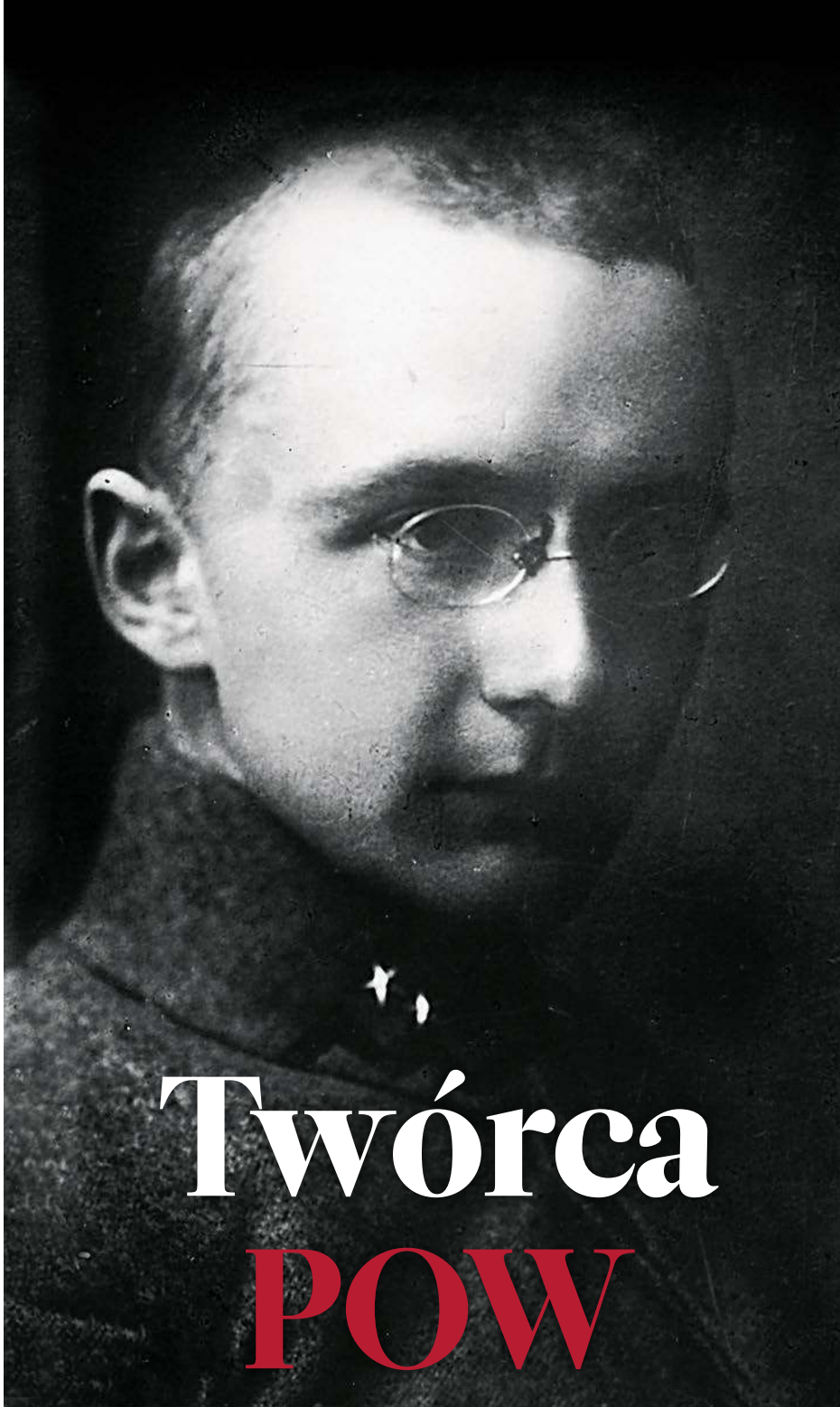
Marek Gałęzowski

/ Każdy wie, czym była Armia Krajowa. Mało kto jednak słyszał o jej poprzedniczce z pierwszej wojny światowej – Polskiej Organizacji Wojskowej

W Warszawie, wśród sieci szpiegów i podszeptów słabości, bez wszelkich błyskotek zewnętrznego życia żołnierskiego, mając w perspektywie śmierć samotną w lochu więziennym lub w otoczeniu siepaczy, porucznik Żuliński długie miesiące stał na stanowisku, w tej wojnie najtrudniejszym, a więc i najbardziej honorowym, szedł w ślady ojców i dziadów, którzy tajemnie w ciężkich więzach podziemnego spisku gotowali broń przeciw najeźdźcy”. Tak mówił Józef Piłsudski o wiernym oficerze, którego jesienią 1914 r. wysłał do okupowanej przez Rosjan Warszawy, by stworzył on konspiracyjną Polską Organizację Wojskową. Kiedy Moskale po stuleciu zaborczych rządów odeszli ze stolicy Polski, ów oficer na czele swoich podkomendnych poszedł ochotniczo do Legionów i poległ mężnie na froncie wołyńskim. W przedwojennej Warszawie jego imieniem nazwano ulicę w Śródmieściu. Po wojnie zlikwidowali ją komuniści. Nie została ona jednak przywrócona po 1989 r. i Tadeusz Żuliński, ów wierny oficer Piłsudskiego, odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami, nie jest dziś patronem żadnej warszawskiej ulicy.

W pięknej tradycji wyrastał Tadeusz, którego ojciec i jego pięciu braci wzięli udział w powstaniu styczniowym. Najbardziej znany, Roman, matematyk, nauczyciel, był jednym z najbliższych współpracowników dyktatora powstania Romualda Traugutta – pełnił funkcję dyrektora Ekspedytury, czyli służby kurierskiej i kolportażu druków powstańczych. Aresztowany w marcu

1889–1915 / Tadeusz Żuliński, pierwszy adiutant Komendanta



Twórcą
POW

FOT. WIKIPEDIA

■ 1864 r. przez policję rosyjską, trzymany w lochu Cytadeli Warszawskiej, głodzony i bity, wraz z Trauguttem i trzema dyrektorami innych wydziałów zginął 5 sierpnia 1864 r. na szubienicy na stokach Cytadeli. Tadeusz był jedynym synem Józefa i Łucji Żulińskich, miał za to pięć siostr. Niemal całe swoje życie spędził we Lwowie, tam po maturze rozpoczął studia lekarskie, które skończył rok przed wybuchem pierwszej wojny.

Pierwszy adiutant

Już jako student okazał się jednym z czołowych działaczy irredenty polskiej we Lwowie – należał do Związku Walki Czynnej i do Związku Strzeleckiego. Ukończył kurs oficerski ZWC, po którym otrzymał odznakę Parasol. Tak zapamiętał go Michał Sokolnicki: „Nocą z 26 na 27 [czerwca 1914 r.] jechałem w licznym gronie do Lwowa na zjazd oficerski Związków Strzeleckich. Jechała cała krakowska czereda z [Tadeuszem Furgalskim] Wyrwą i [Kazimierzem Piątkiem] Herwinem, [Władysławem Prażmowskim] Beliną i [Julianem Stachiewiczem] Wiczem; jechał też młody oficer o wdzięku miękkim dorodnej panny, o twarzy wesołej i żarcie pogodnym, w którym, nawet nie wiedząc nic o nim więcej, odczuwało się dziwne kontrasty: młodzieńczą dumę, obserwacyjną bystrość, zacięcie konspiracyjnego działacza, energię zaprzysiężonego żołnierza i płonącą ambicję przyszłości. Był to Tadeusz Żuliński”.

Już wcześniej Żuliński – co należy podkreślić, ponieważ to również dowodzi jego pozycji w przedwojennej irredencie – uczestniczył w działaniach na obszarze zaboru rosyjskiego, w latach 1912 i 1913 organizując tam konspiracyjne struktury strzeleckie. Poza Warszawą działał w Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie zakładał koła strzeleckie i organizował kolportaż bibuły, czyli prasy konspiracyjnej – „Strzelca”, „Przedświtu”, „Robotnika”. Używał w tej działalności pseudonimów Karol i Ryszard, ale robotnicy sosnowieccy mówili o nim „Inteligent”. Jeden z lokalnych działaczy PPS zapamiętał go jako wysokiego, eleganckiego młodzieńca, gorliwie stosującego się do zasad konspiracji.

Po wybuchu wojny Tadeusz Żuliński natychmiast zgłosił się do mobilizowanych oddziałów strzeleckich. „Zostawił



Komenda Naczelna POW w 1914 r. Tadeusz Żuliński trzeci od lewej, w pierwszym rzędzie FOT. WIKIPEDIA

matkę-wdowę, dla której miał być podporą starości; zostawił kochającą go siostrę, miasto rodzinne z grobem ojca (który umarł kilka lat przed pierwszą wojną) i karierę”. 3 sierpnia 1914 r. zjawił się w Krakowie i został adiutantem Józefa Piłsudskiego. Był pierwszym wśród wielu polskich oficerów, którzy później pełnili tę szczytną funkcję. Pisał do matki: „Do mnie proszę adresować: Kraków, Oleandry. Jestem adiutantem Piłsudskiego i ciągle z nim”. Juliusz Kaden-Bandrowski wspominał: „Któż nie pamięta w Komendzie Strzeleckiej, w Krakowie, a potem na postojach pierwszego szlaku strzeleckiego, obok srogiej, skupionej postaci Komendanta młodego porucznika Żulińskiego? Twarz drobna i dziecinna, duże, naiwne oczy, rumiane policzki, małe czerwone usta, spiczasta, chłopięca broda, postawa smukła, wysoka – tak odbijały od groźnej powagi, jaka cechuje sylwetkę Piłsudskiego”.

Na początku października 1914 r. Tadeusza mianowano podporucznikiem, a cztery dni później na rozkaz Piłsudskiego został komendantem POW. Jak pisał Tomasz Nałęcz: „Piłsudski musiał szczególnie cenić dwudziestopięcioletniego oficera, skoro w pierwszych tygodniach wojny przydzielił go do swego sztabu”. Wkrótce Tadeusz znalazł się w pobliżu linii frontu i zatrzymał w miejscowości, którą opuściły oddziały austriackie. Tam dołączył do grupy osób, które miały rosyjskie przepustki i zamierzały przedostać się do powiatu puławskiego, gdzie oficjalnie dążył i Żuliński, rzekomo w celu uregulowania spraw majątkowych. Przedostawszy się przez linię

rosyjskich posterunków, 22 października 1914 r. przybył do Warszawy.

Nielicznym kadrom, które Tadeusz, odąd „Roman Barski”, miał do dyspozycji, nadał nazwę Polskiej Organizacji Wojskowej. Jej cel sformułował w przysiędze, którą musiał podpisać każdy członek organizacji: „W pełnej świadomości zasad, celów i charakteru Polskiej Organizacji Wojskowej, wstępując w jej szeregi, składam uroczystą przysięgę (uroczyste słowo honoru), że władzom swoim bezwzględnie posłusznym będę i że tajemnic mi powierzonych co do istnienia, składu i prac organizacji wiernie strzec będę i że sprawie Niepodległego Państwa Polskiego wszystkie swe siły, krew i życie poświęcę”.

Pierwszy komendant

Podczas pobytu w Warszawie Żuliński początkowo się ukrywał, dopiero później, używając nazwiska „Żieliński”, podjął praktykę lekarską w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Z rodziną się nie kontaktował, tylko raz przesłał informację: „Kochana Rodzino – jestem zdrow”. Nie podał nazwy miasta, w którym przebywał. Od początku swojej działalności dążył do rozbudowy struktur POW. Z czasem udało się je zorganizować w niektórych pozawarszawskich miejscowościach na obszarze Królestwa Polskiego. Żuliński położył duży nacisk na rozbudowę sieci kurierskiej, w której główną rolę odgrywały kobiety. Potrafiły one nie

tylko nawiązać i utrzymać łączność na obszarze Kongresówki, lecz także dotrzeć do Wilna i środowiska polskiego w Petersburgu, przekraczać linię frontu rosyjsko-austriackiego i przekazywać dowództwu legionowemu informacje o działalności organizacji. Stworzył też Kasę Wojenną POW, której dochody zostały później przekazane Pierwszej Brygadzie. Z jego inicjatywy rozwijano podziemną działalność wydawniczą. Stworzono m.in. pismo „Podchorąży”, powielono broszurę „Z bojów polskich”, w której opisano pierwsze walki oddziałów strzeleckich z Rosjanami. Zwłaszcza „Podchorąży” spełniał jeden z najważniejszych celów – jak pisał Wacław Jędrzejewicz, marzenie komendanta organizacji – „wydanie tu, na tyłach wojsk rosyjskich, pisma wojskowego, będącego organem oficjalnym POW”.

Wśród najważniejszych inicjatyw Żulińskiego było zorganizowanie Oddziału Lotnego Wojska Polskiego, dowodzonego przez Mariana Żyndrama-Kościąłkowskiego. Wykonywał on liczne akcje dywersyjne na tyłach wojsk rosyjskich. Sam Żuliński brał udział w wysadzeniu mostu pod Tuszczem 28 grudnia 1914 r., a później, w maju następnego roku, w wysadzeniu mostu kolejowego na Rudce pod Białą Siedlecką.

Jeszcze inną inicjatywą była decyzja utworzenia szkoły wojskowej POW. Zadania tego podjęli się komendant Warszawy Bogusław Miedziński i jego szef sztabu Wacław Jędrzejewicz, w przyszłości wybitni politycy piłsudczykowsy. Wolna Szkoła Wojskowa powstała w czerwcu 1915 r. w Wiśniewie nad Wisłą, między Warszawą a Modlinem. „Siła nasza zbrojna, jasno i wytrwale stawiająca hasło Niepodległej Polski Ludowej, w chwili obecnej musi zwracać oręż przeciw jednemu z wrogów – Rosji. Żadne obietnice, żadne ustępstwa z jej strony nie powinny przesłaniać nam głównego hasła na chwilę bieżącą – oswobodzenia większej części ziem polskich od przemocy. Wojsko Polskie jest jedno i czy walczy ono otwarcie w polu, w mundurach, czy prowadzi pracę w podziemiach – pracuje ono dla jednej i tej samej idei” – czytamy w rozkazie wydanym przez Żulińskiego 3 stycznia 1915 r.

Kiedy zaczęło być pewne, że Rosjanie wkrótce będą musieli opuścić Królestwo, „POW wydała rozkazy w sprawie

intensywniejszego gromadzenia broni i tworzenia intendencji [...] Rozkazano wprowadzać przez akcję czynną zamieszanie wśród cofających się oddziałów rosyjskich” – pisał w wydanej przed wojną biografii komendanta POW Zygmunt Zygmuntowicz, sam również oficer legionowy. Żuliński planował nawet szerszą akcję o charakterze zaczepnym. Wiosną 1915 r. odbył naradę z reprezentującymi polityczne środowisko niepodległościowe w Królestwie Stanisławem Thugutem i Tadeuszem Grużewskim, pisarzem politycznym i wybitnym znawcą Rosji. Rozmawiano o wszczęciu zbrojnych wystąpień o charakterze powstańczym. „Zawiadomił nas, że zamierza natychmiast rozpocząć powstanie na tyłach wojsk rosyjskich, przedtem jednak chce zasięgnąć naszej opinii, choć zastrzega się, że nie będzie ona dla niego obowiązująca, ma bowiem od Komendanta wszelkie pełnomocnictwa rozpoczęcia takiej akcji, kiedy uzna ją za stosowną”. Zarówno Thugutt, jak i Grużewski zaprotestowali „ze względu na nastroje Kongresówki, brak kadr i środków materialnych, jednym słowem całkowitą beznadziejność całej imprezy. Po długiej dyskusji [Żuliński] oświadczył [...], że powstanie odkłada do chwili, którą sam wybierze”, jak więc skonstatał Thugutt, musiał uznać słuszność przedstawionej argumentacji. Trudno się zresztą dziwić, liczba członków organizacji w połowie czerwca 1915 r. nie przekraczała bowiem 280 osób, z czego przeszło 20 proc. stanowiły kobiety. Zrezygnowawszy z planów akcji po-

wstańczej, Żuliński przygotował swoich ludzi do oporu na wypadek próby przymusowej ewakuacji ludności Warszawy na wschód bądź niszczenia miasta przez wycofujące się wojska rosyjskie, do czego jednak nie doszło.

5 sierpnia 1915 r., dokładnie 51 lat po straceniu na stokach Cytadeli Warszawskiej dyktatora powstania styczniowego Romualda Traugutta i jego czterech współpracowników, w tym Romana Żulińskiego, Rosjanie opuścili Warszawę. Tego samego dnia z podziemi wyszła POW, a w zajęтым Pałacu Namiestnikowskim przy Krakowskim Przedmieściu wywieszono polski sztandar – „tam, po raz pierwszy od tylu lat, powiewała swobodnie polska chorągiew, zanim jeszcze niemieckie flagi obwieścić miały nową okupację stolicy. Polska Organizacja Wojskowa pierwsza przywróciła biało-czerwony, widomy znak polskości i niezłomności stolicy Polski” (Zygmuntowicz).

„Spośród wielu najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego Żuliński zajmuje jedno z czołowych miejsc. Niezwykłe walory charakteru związały się w nim [w] jedną całość z wielkim talentem organizacyjnym, nieustraszoną odwagą, umiejętnością właściwej oceny sytuacji, niezwykłą ofiarnością i oddaniem pracy. Obok tego pogoda i optymizm, jakim był przesiąknięty, stwarzały z niego znakomitego kierownika ruchu rewolucyjnego. Był to najwybitniejszy oficer, jakiego posiadała Polska Organizacja Wojskowa na przestrzeni całej swej działalności” (Wacław Jędrzejewicz).

Po zajęciu Warszawy przez Niemców Żuliński na swoje usilne prośby uzyskał zgodę Józefa Piłsudskiego utworzenia tzw. batalionu warszawskiego POW. Sam Piłsudski wspominał w „Poprawkach historycznych”, że stało się to „ku wielkiemu memu niezadowoleniu”, ponieważ w miejsce bardzo dobrej dotychczasowej komendy POW musiał wyznaczyć nową. Ponadto wstrzymał już werbunek do Legionów właśnie po to, by rozwinąć konspiracyjną POW. Jędrzejewicz potwierdzał, że „Komendant był bardzo niezadowolony”, nie chciał jednak kłaść tamy entuzjizmowi dla otwartej walki w mundurze legionowym. 22 sierpnia 1915 r. Żuliński na czele peowiaków opuścił stolicę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Tadeusz Żuliński posiadał Odznakę Oficerską Związku Strzeleckiego, tzw. Parasol. FOT. WCN.PL

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.



Wiaczesław Mołotow i Adolf Hitler, Berlin 1940 r. Obok: list Czekmienia do Mołotowa

FOT. DOMENA PUBLICZNA, ZBIORY AUTORA

1939-1940

Plan niemieckich deportacji Żydów do ZSRS

Żydzi dla Stalina

Wybór przez prezydenta Federacji Rosyjskiej Władimira Putina tematu polskiej odpowiedzialności za antysemityzm dla rozkręcenia spirali propagandowego ataku na Polskę nie jest czymś przypadkowym. Ten sprytnie zaplanowany przez ekipę doradcą obecnego prezydenta Rosji atak logicznie nakłada się na prowadzoną w okresie międzywojennym przez Józefa Stalina i jego otoczenie kampanię oczerniania Polski. Robiono to częściowo na użytek wewnętrzny. Stalinowi był potrzebny swoisty straszak do rozpętania terroru wewnętrznego, do pogrążenia kraju w atmosferze powszechnego strachu. II Rzeczpospolitą oskarżano o fałszyżm, potworne gnębienie mniejszości narodowych, przygotowania się do agresji przeciwko Związkowi Sowieckiemu, no i oczywiście o antysemityzm, czasem o antysemityzm prawie zoologiczny.



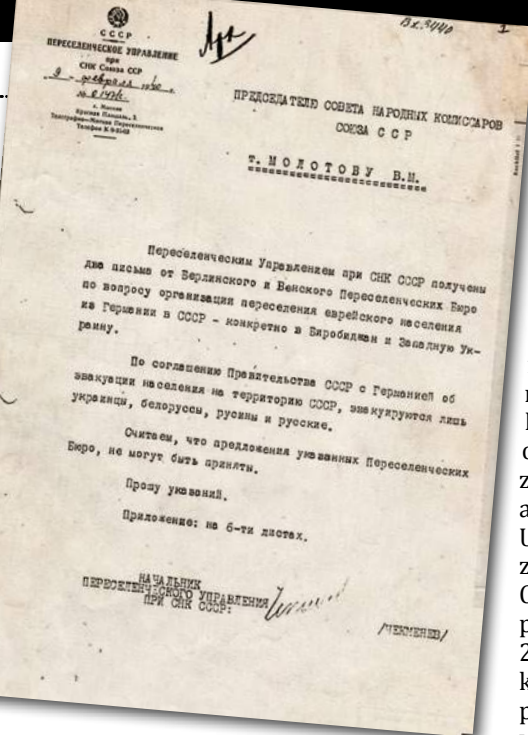
Mikołaj Iwanow

/ W okresie obowiązywania paktu Ribbentrop – Molotow niemieckie władze zaproponowały bolszewikom... przyjęcie kilku milionów Żydów z okupowanej Europy

Apogeum tej kampanii stała się operacja polska przeprowadzona w latach 1937–1938, w której toku rozstrzelano co najmniej 200 tys. Polaków, obywateli Kraju Rad.

Zaplanowany i zrealizowany przez niemieckich narodowych socjalistów pod wodzą Adolfa Hitlera Holokaust stanowi hańbę dla narodu niemieckiego, ale jednocześnie jest to również plama na historii całej ludzkości świata, która prawie nic nie zrobiła

(albo zrobiła bardzo mało), aby ratować Żydów od zagłady. Udział w Holokauście wzięła część miejscowej ludności we Francji, w Niderlandach, Belgii, na Litwie, Ukrainie, Białorusi, w Polsce i praktycznie w każdym kraju okupowanym lub współpracującym z III Rzeszą. Dokładnie taka sama sytuacja była na terenach Rosji właściwej, zajętych przez armię niemiecką. Czy Stalin i jego otoczenie w tych warunkach byli czyści i bez winy? Czy można więc sowieckie-



nie mogą być zaakceptowane. Prosimy o wskazówki do dalszych działań”.

Tutaj potrzebne jest wyjaśnienie. Po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow i IV rozbiórze Polski Związek Sowiecki i Niemcy zawarły porozumienie o wymianie ludności. Na jego podstawie do Niemiec planowano przesiedlić polskich obywateli narodowości niemieckiej z terenów II RP pod okupacją sowiecką, a do sowieckiej stony okupacyjnej Rosjan, Ukraińców, Białorusinów i Rusinów zamieszkałych na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Później, latem 1940 r., to porozumienie zostało poszerzone o ponad 200 tys. volksdeutsche z państw bałtyckich, które w wyniku okupacji ich krajów przez Armię Czerwoną przekształciły się w sowieckie republiki związkowe.

Żydów to porozumienie nie obejmowało i wtedy ktoś z otoczenia głównego architekta Holocaustu Adolfa Eichmanna zadecydował, by zwrócić się do Związku Sowieckiego z propozycją przyjęcia żydowskiej ludności z III Rzeszy.

Po zwycięstwie nad Polską współpraca między dwoma zaborcami układała się bardzo dobrze. Podpisano układ handlowy, na którego podstawie Niemcy otrzymywały ze Związku Sowieckiego wszystkie surowce potrzebne dla ich przemysłu wojennego. Szerokim strumieniem do III Rzeszy ciekła ropa naftowa, płynęły żelazo, pszenica i wiele innych surowców oraz produktów spożywczych. Niemcy natomiast dzielili się z Sowietami wieloma sekretami swojego przemysłu wojennego. Trudno w to uwierzyć, ale tuż przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej ZSRS posiadał egzemplarze najnowszych niemieckich myśliwców, czołgów, elementy systemów artyleryjskich. Sprzedano Związkowi Sowieckiemu nawet niedobudowany krążownik „Lützow”. Sprawnie układała się współpraca między służbami specjalnymi obu krajów. Wymieniali się oni informacją wywiadowczą na temat zwalczania polskiego ruchu oporu. NKWD przekazało gestapowcom nawet grupę niemieckich komunistów więzionych w Związku Sowieckim jako rzekomych agentów niemieckich. Trafili oni bezpośrednio z sowieckich obozów koncentracyjnych do niemieckich. To wszystko dawało esesmanom z grupy Eichmanna pewność, że mogą liczyć na pomoc ZSRS w sprawie ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej.

Pewność ta była na tyle niepodważalna, że w departamencie Himmlera nawet przystąpiono do realizacji operacji „Nisko”. Chodziło o gromadzenie Żydów przy samej ówczesnej granicy z ZSRS w celu ich dalszego wypędzenia do państwa Stalina. Powiedzmy więcej – Niemcy byli tak pewni pozytywnej odpowiedzi Stalina, że już jesienią 1939 r. rozpoczęli deportacje Żydów do granicy z ZSRS. Początkowo chodziło o oczyszczenie tych terenów terytorium Polski i przedwojennej Czechosłowacji, które bezpośrednio włączono do III Rzeszy. Hitler był na tyle opętany ideą oczyszczenia Reichu z Żydów, że już na początku października, kiedy walki z wojskiem polskim dopiero dogasały, mianował Himmlera Reichkomisarzem do wzmocnienia ducha narodu niemieckiego. Szef SS nominację potraktował bardzo serio i prawie natychmiast we współpracy z szefem gestapo Heinrichem Müllerem przystąpił do akcji oczyszczania kraju z Żydów.

Przygotować odpowiednie miejsce dla wysiedlanych Żydów na wschodzie Polski mieli wysłannicy SD i SS: Eichmann i Stahlecker. 12 października przybyli oni do Lublina i natychmiast udali się w teren w celu znalezienia odpowiedniego terytorium. Ciekawe, że w toku pełnienia swej misji odwiedzili również tereny początkowo zajęte przez Armię Czerwoną. Na pewno spotykali się z przedstawicielami swych komunistycznych sojuszników. O czym rozmawiali? Czy informowali sowieckich dowódców o planach swej misji?

Początkowo planowano deportować część ludności żydowskiej z Wiednia, Ostrawy i Katowic. Rozkaz przygotowania deportacji został wydany przez Müllera już 6 października. 9 października do deportacji dołączyły regionalne władze okupacyjne (gestapo) w Katowicach i Ostrawie, 10 października do realizacji planu przystąpiło gestapo wiedeńskie. W ramach operacji „Nisko” zamierzano utworzyć żydowską kolonię w dystrykcie lubelskim, w nowo powstałym Generalnym Gubernatorstwie, z myślą, aby później wypędzić ich do ZSRS. Mimo braku zgody władz sowieckich na ich przyjęcie setki osób zostały zmuszone przez SS do wejścia na terytorium ZSRS.

W porównaniu z wywózką ludności żydowskiej z miast polskich do miejsc zagłady w okresie późniejszym była

go przywódcę uznać za jedynego, który Żydów ratował od zagłady?

List do Mołotowa

Mamy przed sobą jeden ciekawy dokument z byłego archiwum KC KPZR (dziś archiwum historii społeczno-politycznej Federacji Rosyjskiej), który niezbiecie świadczy o rodzącej się współpracy między niemieckimi narodowymi socjalistami a sowieckimi komunistami w sprawie ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej w Europie. W zupełności innym świetle, niż to się lansuje dziś na Kremlu, przedstawia on przedwojenny Związek Sowiecki.

Jest to list przewodniczącego departamentu do spraw migracji Rady Komisarzy Ludowych ZSRS Eugeniusza Czekmieniowa z 9 lutego 1940 r. do szefa rządu Władysława Mołotowa. Jego tekst nie pozostawia wątpliwości co do istnienia planów współpracy rządów III Rzeszy i ZSRS w kwestii ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej: „Urząd do spraw przesiedleń przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRS otrzymał dwa listy od urzędów przesiedleńczych Berlina i Wiednia w sprawie organizacji przesiedlenia ludności żydowskiej z Niemiec do ZSRS, bardziej dokładnie do Birobidżanu i na Ukrainę Zachodnią. Umowa międzyrządowa ZSRS i Niemiec dotycząca ewakuacji ludności na terytorium ZSRS obejmuje jedynie Ukraińców, Białorusinów, Rusinów i Rosjan. Sądzymy, że propozycje tych urzędów przesiedleńczych



Deportacja Żydów do obozu zagłady
FOT. USHMM

■ to deportacja stosunkowo łagodna. Pozwolono wziąć ze sobą do 50 kg bagaży. W duchu najlepszych niemieckich tradycji reglamentowano rzeczy bagażowe: jeden płaszcz zimowy, jeden jesienny, dwa garnitury, dwie pary obuwia, ubranie robocze, jedzenie na cztery dni itp. Ograniczono również sumę pieniędzy do zabrania w podróż – do 200 marek. Zwolnienie od deportacji było możliwe na podstawie zaświadczenia lekarskiego lub dokumentu o zamiarze emigracji do innego kraju.

Tam i z powrotem

Pierwszy pociąg z 875 Żydami wyruszył z Ostrawy 17 października 1939 r. Wkrótce w stronę polskiego Lublina ruszyły pociągi z deportowanymi z Wiednia i Katowic. Wśród nich znaleźli się również Żydzi z Pragi i Sosnowca. Ogółem do pośpiesznie stworzonego żydowskiego rezerwatu trafiło ok. 5 tys. ludzi. Wydawało się, że na tyle tak dobrze zapowiadającej się współpracy ze stalinowskim Związkiem Sowieckim obóz w Nisku ma spore perspektywy rozwoju. Jednak rozmowy z Sowietami szły bardzo niemrawo. Na dodatek zaprotestował nowo mianowany gubernator okupowanych ziem polskich Hans Frank, również opętany ideą stworzenia z kraju nad Wisłą terytorium „Judenfrei”.

Prawdopodobnie rozmowy z władzami sowieckimi na temat deportacji Żydów do Związku Sowieckiego trwały do maja–czerwca 1940 r. Taki wniosek możemy wysnuć na podstawie tego, że

obóz w Nisku zlikwidowano w czerwcu 1940 r., a wszystkim uwięzionym w nim Żydom pozwolono na własny rachunek powrócić do miejsc poprzedniego zamieszkania. Jak się okazało – nie na długo.

Bezpośrednią przyczyną załamania rozmów na ten temat były niespodziewanie błyskotliwe sukcesy III Rzeszy w Europie. W połowie 1940 r. sojusz Stalina z Hitlerem zaczął szwankować. Na Kremlu zaczęto dostrzegać bardziej wyraźnie, że wspólnota interesów z państwem narodowosocjalistycznym w dłuższej perspektywie nie jest możliwa. Bezpośrednią przyczyną zmiany stanowiska Kremla w kwestii polskiej była druzgocąca porażka Francji w starciu z III Rzeszą. Stalinowskie rachuby na długą, wyniszczającą wojnę na froncie zachodnim (podobną do kilkuletniej rzezi w czasie pierwszej wojny światowej) nie sprawdziły się. Układ Ribbentrop-Mołotow, jak się okazało, zamiast swoistej pacyfikacji Hitlera rozwiązał mu ręce. Po zwycięstwie III Rzeszy nad Francją perspektywa konfliktu sowiecko-niemieckiego stawała się coraz bardziej realna.

Jednak oficjalna propaganda sowiecka nie reagowała na zmianę nastrojów na Kremlu. Nadal prowadziła kampanię propagandową na rzecz trwałości, wzajemnej korzyści i nienaruszalności paktu Ribbentrop-Mołotow. „Prawda”, czołowy oficjalny organ partyjny, posunęła się tak daleko, że na jej łamach pojawiła się otwarta propaganda idei narodowosocjalistycznych. Przedrukowywano artykuły na tematy polskie z czołowych niemieckich gazet, podawano informacje

o „prymitywizmie” Polaków, o ich zdolności jedynie do pracy niewymagającej wysokich kwalifikacji. „Generalna gubernia – czytamy w »Prawdzie« – powinna stać się miejscem zamieszkanym przez Polaków, któremu III Rzesza nada odpowiednie formy. Niemcy, którzy jeszcze na razie zamieszkują Generalną Gubernię, zostaną przesiedleni, dlatego że oni nie powinni żyć na tym samym poziomie co Polacy. W taki sposób osiągnie się wyraźny podział między kierującą i podporządkowaną grupą ludności. Niemieckie kierownictwo ma na celu zapewnić polskiej ludności pracę i chleb – o ile to jest możliwe – zabezpieczyć jej interesy”.

Znamienne jest to, że problem sprowadzenia niemieckich Żydów do Związku Sowieckiego był rozpatrywany w tym samym czasie, kiedy biuro polityczne partii Stalina podejmowało decyzję o losie polskich jeńców wojennych, więzionych w obozach w Ostaszkowie, Starobielsku, Kozielsku i więzieniach na terenie województw wschodnich podbitej Rzeczypospolitej.

Historia polsko-żydowskich stosunków wzajemnych w okresie drugiej wojny światowej ma jeszcze jeden bardzo ciekawy aspekt. O ile Hitler i jego narodowi socjaliści na pierwsze miejsce wrogów narodu niemieckiego typowali bezsprzecznie Żydów, a dopiero za nimi Polaków, i dążyli do całkowitego zniszczenia „narodu Biblii”, o tyle u Stalina te proporcje były odwrócone. Pisze o tym jeden z najlepszych polskich pisarzy-kronikarzy XX w. Michał Pawlikowski, który ratując się przed nawałą bolszewicką, znalazł w 1940 r. schronienie w Szwecji. „Skoro mowa o drugiej połowie 1940 roku – czytamy w jego znakomitej powieści »Wojna i sezon« – chcę zanotować fakt, który, o ile wiem, nigdzie nie został wspomniany. Szereg osób, zwątpiwszy w możliwość wydostania się ze Szwecji na Zachód i uzyskawszy wizę amerykańską, jechało do Ameryki via Związek Sowiecki. Sam wiem dokładnie o dwóch takich przypadkach, przy czym w jednym jak najbardziej aryjska Polka podała w prośbie o sowiecką wizę tranzytową, że jest Żydówką. Działo się to, przypomnijmy, w okresie, gdy nie było prześladowań »lekarzy żydowskich« ani syjonistów, polska narodowość natomiast była w Sowietach synonimem faszyzmu i temu podobnych antysowieckich nastrojów”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Znaki używane przez przestępców dla oznaczenia miejsc włamań i rabunku FOT. NAC



Początek XX w. / Walka z bandycką organizacją w Wilnie

Koniec świata Bruderferajn



Sławomir Koper

**/Syndykat zbrodni
bezwzględnie
wymuszał haracze,
nieposłusznym groził
zabójstwem,
a schwytani bandyci
milczeli**

To była największa organizacja przestępcza pierwszych dekad XX stulecia na ziemiach polskich. Bandyci spod znaku Bruderferajn całkowicie zdominowali wileński półświat, a w chwilach największego rozkwitu ich grupa liczyła ponad tysiąc osób. Nie mogli się z nią uporać ani carscy urzędnicy, ani niemieccy okupanci, ani Litwini i dopiero polska policja musiała położyć kres jej działalności.

Wilno ostatnich lat rosyjskiego panowania nie należało do specjalnie bezpiecznych miejsc, chociaż władze carskie nie patyczkowały się ze schwytanymi bandytami. Złapanych na gorącym uczynku sądzono w trybie doraźnym, wysyłając ich najczęściej na szubienicę. Pomimo tego okolice ul. Nowogrodzkiej stanowiły prawdziwe centrum przestępcze miasta i budziły grozę wśród wilnian.

Po zmroku mało kto poza przestępcami miał odwagę zapuścić się w głąb dzielnicy, gdzie „na każdym kroku czyhała utrata mienia, a niekiedy i życia”. Stałym widokiem o poranku były „szkarłatne plamy na bruku”, a „nierzadko zastygłe już zwłoki”.

W gronie miejscowych bandytów były jednak jednostki o znacznie szerszym spojrzeniu na kwestie „przestępczych interesów” – ludzie, których nie zadowalało życie z dnia na dzień. Szczególnie wyróżniali się dwaj żydowscy gangsterzy: Zelik Lewinsohn zwany „Chana Bobkes” i Aron Wójcik („Orzeł Setka”). To właśnie oni pewnego styczniowego wieczoru 1911 r. zwołali zebranie miej-

scowych bandytów do jednej z najgorszych mordowni, należącej do „Sołki Żółtej Rączki”. W tym lokalu zbierał się okoliczny świat przestępczy, wieczorami odwiedzali go wyłącznie „swoi” i „sprawdzeni”. Planowano tam przestępcze akcje, dzielono się łupami, była to też giełda paserów. Tym razem jednak Lewinsohn i Wójcik zaproponowali założenie zorganizowanej grupy przestępczej, która zdominowałaby bandyckie życie miasta.

Projekt był rewolucyjny, dotychczas bowiem jeszcze nikt w Europie Wschodniej nie wpadł na pomysł stworzenia syndykatu zbrodni. Nic zatem dziwnego, że obradowano przez dwie noce, a dopiero po tygodniu dyskusji pojawiły się konkretne pomysły organizacyjne.

Trzy kilogramy złotych rubli

Początki były jednak dość skromne głównie z powodu braku doświadczenia w prowadzeniu przestępczości



Artykuł z „Tajnego Detektywa” o grupie wywodzącej się z Bruderferajni FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ zorganizowanej. Dotychczas każda grupa czy pojedynczy złodzieje działali na własny rachunek, z tego też powodu często dochodziło do konfliktów interesów. Poza tym poważnym problemem stała się kwestia karności wileńskich opryszków, których większość zadeklarowała wprowadzić podporządkowanie się Lewinsohnowi i Wójcikowi, jednak pojęcie dyscypliny było im całkiem obce. Dlatego początkowo Bruderferajn (Związek Braci) skoncentrował się na szantażach i drobnych kradzieżach, wypracowując jednocześnie zasady wspólnego działania.

Rozwojowi grupy sprzyjał wybuch pierwszej wojny światowej, która przyczyniła się do eskalacji bandytyzmu. Mimo tego największy skok zaplanowany wówczas przez Bruderferajn zakończył się fiaskiem, choć sytuacja wydawała się sprzyjać bandytom. Na początku września 1915 r. do Wilna zbliżyły się wojska niemieckie, toteż Rosjanie planowali ewakuację, a wraz z nimi w głąb Rosji zamierzało wyjechać wielu zamożnych obywateli miasta. Należał do nich wyjątkowo bogaty kupiec o nazwisku Polakow, który tuż przed wyjazdem otrzymał list o bardzo niepokojącej treści:

„Wobec tego, że zamierza Pan opuścić Wilno, żądamy od niego trzech tysięcy rubli w złocie. W przeciwnym razie grozi Panu śmierć. Pieniądze mają być przygotowane na jutro rano”.

Podpisani pod listem „Bracia Ćmy” zażądali bardzo wysokiego haraczu, bo 3 tys. rubli w złocie oznaczało 600 pięciopięciówek próby 0,900 (tzw. świnek, bo za jedną można było kupić świnie) o łącznej wadze blisko 3 kg. Wartość tego okupu odpowiadałaby dziś w przybliżeniu

120 tys. euro. Polakow zignorował tę wiadomość, a już następnego dnia wieczorem przez otwarte okno ostrzelano jego mieszkanie. Nazajutrz rano dostał kolejny list, w którym poinformowano go, że dalszy brak zapłaty spowoduje, iż następne pociski pozbawią go życia. Po złoto miał przyjść zaufany człowiek przestępców.

Przerażony kupiec zgłosił się na policję, która zainstalowała swoich ludzi w jego mieszkaniu. I rzeczywiście, wieczorem pojawił się tam jakiś człowiek, który został aresztowany, jednak pomimo groźby sądu doraźnego odmawiał zeznań. Tłumaczył tylko, że był posłańcem od nieznanego mu ludzi, którzy poprosili go o przysługę, obiecując za nią niewielkie wynagrodzenie. Do końca upierał się przy swojej wersji i nawet przed plutonem egzekucyjnym nie wydał nikogo. Szantażyści nie dostali więc pieniędzy, a skutek tego był taki, że w domu Polakowa wybuchła bomba, ciężko raniąc kupca i jego syna.

Takie postępowanie miało stać się charakterystyczne dla Bruderferajni. Bez względu na wymuszanie haraczu, groźba zabójstwa w razie nieposłuszeństwa i lojalne milczenie schwytanych członków bandy. Stąd też brały się sukcesy grupy.

Czas triumfów

Okres okupacji niemieckiej zapoczątkował rozkwit tego gangu. Przestępcom sprzyjały także późniejsze wydarzenia polityczne – walki o Wilno między Sowiecami a Polakami, krótkie okresy litewskiej administracji. Gdy zatem ogłoszono powstanie Litwy Środkowej, bandyci byli już w mieście bardzo potężni.

Niebawem grupa liczyła ponad tysiąc (!) członków specjalizujących się w niemal wszystkich dziedzinach przestępczej działalności. W tym gronie byli włamywacze i kieszonkowcy, szulerzy i paserzy, nie brakowało też fałszerzy ani specjalistów od handlu żywym towarem. Najważniejszą jednak cechą gangu była jego biurokratyczna formuła działania, która zapewniała bandytom sukcesy. Organizacja nie funkcjonowała wyłącznie dla szybkiego zysku, gdyż jej szefowie zaplanowali działalność na długie lata.

Niemal wszyscy wileńscy kupcy i restauratorzy regularnie płacili haracz „za ochronę”, co w praktyce oznaczało koncesję od bandytów na prowadzenie działalności gospodarczej. Chętnych do oporu czy zawiadamiania policji brakowało, każdy przejaw sprzeciwu był bowiem natychmiast karany, a represje obejmowały całą rodzinę „buntownika”. Szeregowi bandyci opłacali składki na rzecz zarządu, oddawali też na rzecz grupy część swoich zysków. W zamian w przypadku aresztowania mieli zapewnioną ochronę prawną i opłacenie kaucji, a ich rodziny otrzymywały zapomogi finansowe na czas ich pobytu w więzieniu. Nikomu też do głowy nie przychodziło, by oszukiwać szefów Bruderferajni, gdyż takie próby były w okrutny sposób karane.

Gang zasilał czasami swoją kasę, urządzając... zabawy taneczne i przedstawienia teatralne. Oficjalnie odbywało się to pod egidą Bractwa Niesienia Pomocy, chociaż w Wilnie nikt nie miał wątpliwości, kto był faktycznym organizatorem tych imprez.

Na czele przestępczej organizacji stał pięciosobowy zarząd, którego członkowie byli jednocześnie najwyższymi sędziami – „panami życia i śmierci” swoich podwładnych. Ich wyroki z reguły były surowe, nie istniała żadna ścieżka odwoławcza, a wykonanie orzeczeń następowało natychmiast. Jednak przez długi czas nikt nie zgłaszał żadnych pretensji, a jeżeli nawet czuł się wykorzystywany, to dyskretnie milczał.

Pojawił się jednak buntownik. Był nim niejaki Elka (Eliasz) Gurwicz, zwany „Wysokim”, który „zdecydowanie zaczął się wyłamywać spod rygoru organizacji”. Można powiedzieć, że igrał z ogniem. „Ignorując rozkazy zarządu – opisywano w prasie – łupił «opodatkowane» obiekty, drwił z organizacji, nie wpłacał

składek ani procentów, na wszelkie upomnienia odpowiadał obelżywymi słowami, i nawet z bronią w ręku rzucał się na członków zarządu. Bunt był zatem jasny”.

Sprawę rozstrzygnięto w sposób charakterystyczny dla wileńskiego gangu: Elkę skazano na śmierć, po czym wylosowano egzekutora. Dla wszystkich było jasne, że Gurwicz niebawem zginie, decyzje zarządu były bowiem nieodwołalne. „W kilka dni po wyroku Gurwicz stał w pobliżu jatek żydowskich i rozmawiał ze znajomymi – relacjonował dziennikarz »Tajnego Detektywa«. – Nagle padły trzy strzały i przeszyty trzema kulami Gurwicz padł na miejscu trupem. Tegoż dnia odbył się jego pogrzeb”.

Przyjaciele zabitego nie zamierzali jednak puścić płazem tej zbrodni i już kilka godzin po pogrzebie na cmentarzu słychać było „dzikie wrzaski i krzyki”. To koledzy Elki urządzili przy jego grobie dziką orgię, podczas której poprzysięgli zemstę zarządowi Bruderferajn. Wybrali metodę niezwiązaną z bronią palną czy podkładaniem bomb, a jednak niezwykle skuteczną.

Do policji zaczęły zatem spływać liczne donosy. Podawano w nich fakty, konkretne przypadki przestępstw, nazwiska, pseudonimy. Nie można było ich zignorować, tym bardziej że pokrywały się z dowodami zebranymi podczas wielu postępowań śledczych. Dzięki nim sprawy potoczyły się dość szybko i dokonano wreszcie pierwszych aresztowań. W połowie 1924 r. cały zarząd oraz najbardziej prominentni członkowie grupy znaleźli się w więzieniu.

Proces trwał kilkanaście dni i wzbudził ogromną sensację. Winnych skazano na kary więzienia, a więc w sumie wyszli oni z opresji obronną ręką, bo gdyby sprawa toczyła się nieco później, zastosowano by tryb doraźny, co skończyłoby się dla nich plutonem egzekucyjnym.

Ostatni skok

Pomimo triumfalnych relacji prasowych przywódcom gangu niewiele udało się udowodnić. Dostali wprawdzie wyroki więzienia, ale już po sześciu latach byli na wolności. Nie udało się jednak utrzymać jedności, część przestępców opowiedziała się za Wójcikiem i chciała odnowić tradycję Bruderferajn,



Wileńska uliczka

FOT. TYGODNIK „ŚWIATOWID”, LATA 30.

natomiast stronnicy Lewinsohna założyli własną grupę, którą nazwali Żłoty Sztandar.

Pierwsza z nich z trudem egzystowała, lepiej dawał sobie radę Żłoty Sztandar. Być może wpływ na to miał fakt, że na jednego z jego przywódców wybił się Berka (Ber) Krawiec, który wcześniej terminował w USA u boku samego Ala Capone. To właśnie on wpadł na pomysł, by poprawić finanse bandy dzięki porwaniu dla okupu. W celu ułatwienia akcji ofiarą miało być dziecko, najlepiej jednak, a jego rodzice musieli być oczywiście odpowiednio zamożni.

Lewinsohnowi ten pomysł bardzo się spodobał i po naradzie z podwładnymi jego wybór padł na ośmioletniego Josela Lejbowicza, syna właściciela wileńskiego lombardu Kresowia. 26 lutego 1932 r. chłopaka porwano, gdy wracał ze szkoły, a do zrozpaczonych rodziców przyniesiono list z żądaniem okupu w wysokości 15 tys. zł (ok. 30 tys. euro). W razie niezapłacenia zagrożono, że „z synem jego zostanie skończone”. W przypadku akceptacji warunków stary Lejbowicz miał wywiesić w oknach i na drzwiach czerwone kartki.

Zrozpaczony ojciec udał się natychmiast na policję, a ta od razu przystąpiła do działania. Poleciała pozornie zgodzić się na żądania szantażystów, a jednocześnie rozpoczęła pilną obserwację rodzinnego domu porwanego chłopaka. Nie trzeba było długo czekać na jej efekty. Następnego dnia do Lejbowiczów zgłosił się koniokrada Stefan Jankun z listem upoważniającym do podjęcia okupu. Został zatrzymany, tłumaczył się, że dostał list od „nieznajomego”,

wobec czego go zwolniono. Oczywiście znalazł się pod uważną obserwacją.

Policja szybko zorientowała się, że za porwaniem muszą stać rozłamowcy z Bruderferajn, czyli członkowie Żłotego Sztandaru. Natychmiast aresztowano Lewinsohna (oficjalnie prowadził wówczas piwiarnię przy ul. Zawalnej) i jego czterech kamratów. Oczywiście do niczego się nie przyznali, wobec czego ich zwolniono, ale rozpoczęto poszukiwania w miejscu, gdzie ostatni raz widziano chłopca. Szybko ustalono, że w pobliżu mieszka dorożkarz, Abel Witkin. W jego mieszkaniu znaleziono ślady potwierdzające, że nocował tam ktoś spoza rodziny. Witkina natychmiast aresztowano.

Chłopak w tym czasie był już na innej melinie, potem przewieziono go na kolejną. Tam porywacze uznali, że należy go odstawić do domu, gdyż o okupie nie było już co marzyć. Dlatego w środku nocy odwieziono go pod rodzinny dom i wypuszczono. Uwolnienie chłopca nie zamknęło sprawy i niebawem aresztowano organizatorów porwania. Wśród nich znalazł się kolejny importowany z USA przestępca, Perelsztajn Hirsch, natomiast szef grupy na razie uniknął zatrzymania. Zbiegł z miasta i ukrył się w Smorgoniach u znajomego pasera, jednak kilka tygodni później też został ujęty.

Wszystkich porywaczy skazano w listopadzie 1932 r. na kary po cztery lata więzienia, ale ich krewnych, u których przetrzymywali chłopca, uniewinniono. Pół roku później sąd apelacyjny utrzymał kary w mocy i tylko Witkinowi zmniejszono wyrok o połowę ze względu na jego wcześniejszą niekaralność.

Żłoty Sztandar już nie podniósł się z upadku, chociaż dalej toczył wojnę z pozostałościami Bruderferajn. Wilno jeszcze nieraz bywało miejscem gangsterskich porachunków, a o poważniejszych zajściach pisała miejscowa prasa. Jednak już żaden z gangów nie potrafił zdominować życia przestępczego miasta, a niebawem ich członkowie mieli na głowie zupełnie inne zmartwienia. Podobnie jak spokojni obywatele Wilna.



© Wszelkie prawa zastrzeżone
Fragment książki Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka „Ostatnie lata polskiego Wilna” (Frona).



Elżbieta Lubomirska-Stadnicka i pałac w Kruszynie

FOT. ROSIKON PRESS

1922–2017 / Życie Elżbiety Lubomirskiej-Stadnickiej

Tragiczny los księżniczki



Piotr Semka

Jest to przypomnienie gorzkiej ceny, jaką polskie rody arystokratyczne płaciły w XX w. za wcześniejsze stulecia sławy

Kościół św. Gwenola we francuskim miasteczku Château-du-Loir żegnał 25 listopada 2017 r. niezwykłą osobę. Zebrani krewni odprowadzali do grobu Elżbietę Lubomirską-Stadnicką. „Nie można powiedzieć, że była wielką artystką, chociaż uwielbiała malować; nie można powiedzieć, że była świętą, chociaż do świętości bardzo pragnęła dążyć. Nie można powiedzieć, że była wielką intelektualistką, chociaż na pewno posiadała wielką inteligencję” – tak scharakteryzowała zmarłą nad trumną jej najstarsza wnuczka, trafnie definiując skromność, ale i wyjątkowość ziemian „na krawędzi wieków”.

Tak właśnie nazywa się tom wspomnień Elżbiety Lubomirskiej-Stadnickiej. To opowieść o życiu rozpoczętym w arystokratycznym dworze, po którym następują kataklizm wojny i zniszczenie dawnego świata. Jeśli przyjąć, że epoka

koronawirusa oznaczać może dla wielu ludzi wywrócenie do góry nogami ich świata, to książkę „Na krawędzi epok” można uznać za coś w rodzaju poradnika survivalowego. Jak radzić sobie z końcem dawnego świata, zachowując godność i nie tracąc tego, co w życiu naprawdę ważne.

Kraina szczęścia

Dla małej Elżuni Lubomirskiej, która na przełomie lat 20. i 30. poznawała świat, majątek kruszyński położony koło Częstochowy był całym wszechświatem. „Pałac w Kruszynie miał osiemdziesiąt trzy pokoje kompletnie umeblowane. Służby było dużo, nawet boję się powiedzieć ile. Gdy kiedyś zaczęliśmy liczyć, to doszliśmy do pięćdziesięciu osób. Mama później w czasie wojny z wielkim zdziwieniem mówiła o służbie: »Co oni tam wszyscy robili?«”.

Przypomniały mi się podobne wspomnienia innej ziemiańskiej córki – starszej o 13 lat Prusaczki Marion von Dönhoff. Skojarzenie mające jakiś głębszy sens – w XIX w. Lubomirscy zakupili majątek Kruszynę od Denhoffów – jej spolszczonych krewnych. Marion von Dönhoff wspominała, że za młodu irytowały ją lub śmieszyły liczne obyczaje dworu, ale dopiero po latach uświadomiła sobie, jak chwiejni stawali się ludzie w epoce, gdy zasady te znikły.

Sztuczne odnoszenie się angielskiej bony do dzieci, ostre traktowanie najmniejszego nawet kłamstwa i dyscyplina. „Musiałyśmy być obecne o ósmej na śniadaniu, w wielkiej sali jadalnej. W zimie panował tu straszny chłód. Ubrane w palta bieglyśmy przez długie korytarze, by zdążyć wrócić pędem, bo o wpół do dziewiątej czekała na nas pani Janina z lekcjami polskiego. [...] W czasie posiłku nam, dzieciom, nie wolno było się odezwać, chyba że ktoś nas o coś zapytał”.

W tym rygorze rodzice dbali jednocześnie o to, by dzieci nie zachłystywały się prestiżem rodu. „Pewnego dnia kłóciłam się z moją nianią Lalą i jako ostatniego argumentu użyłam tupnięcia nogą poparęto słowami:

– Czy ty wiesz, do kogo mówisz? Mówisz do księżniczki Elżbiety Lubomirskiej.

Wtem ktoś wziął mnie za ubranie i podniósł do góry, a następnie dał mocnego klapsa w pupę i powiedział:

– Co ty sobie myślisz, dlatego, że jak masz tytuł, to nie musisz być grzeczna? Ty dopiero na ten tytuł musisz zapracować, być kimś, a nie taką nieposłuszną dziewczynką”.

Tym „kimś” był sam książę Stefan Andrzej Lubomirski, dziadek małej Eli.

Katastrofa wojny

1 września 1939 r. Elżbieta Lubomirska z mamą przebywały na wakacjach w Adam polu nad Bugiem. „Nagle zobaczyłyśmy na niebie samoloty, jak się nam wydawało, miały polskie znaki. Powiewałyśmy więc z zapałem szalikami i z wielką radością krzyczałyśmy: – Wiwat Polska, wiwat Polska. Nagle rozległy się salwy z karabinów maszynowych. [...] Starsi wybiegli z domu, krzycząc z przerażeniem: – Nie stójcie. Padajcie na ziemię! To Niemcy! Usłyszałyśmy rozpaczliwe ryki za murem parku. Zobaczyłyśmy tam ranne krowy, a obok nich leżał zabity pastuszek”.

Polscy arystokraci stają się dla obu totalitaryzmów zwierzyną łowną. Niemcy zwalczają ich jako elitę narodu, a Sowietci – jako wrogów klasowych. Bliski krewny Eugeniusz Lubomirski zostaje aresztowany przez NKWD i ze Lwowa wysłany na Łubiankę. Tam – jak opisuje autorka – „został zamurowany na osiemnaście dni w »Kominach św. Bartłomieja«, w których więzień stał w kłującej obroży, żeby nie móc ruszać głową, a ręce miał skute; na poziomie ust brakowało jednej cegły i przez ten otwór podawano jedzenie. Siedział tam tak długo, ponieważ nie chciał podpisać oświadczenia, że jest międzynarodowym szpiegiem”.

Elżbieta z matką (ojciec zmarł jeszcze przed wojną) mieszka kątem w Krakowie w mieszkaniu, które musi zmieścić 30 osób – takich jak oni uciekinierów. Do rodzinnej Kruszyny nie mają powrotu – majątek został zajęty przez Niemców. Ze zgrozą dowiadują się, że ich pies został przez „Herrenmenschów” dla zabawy polany benzyną i podpalony żywcem.

Elżbieta, która wyrosła w międzyczasie na 20-letnią dziewczynę, robi w Krakowie podziemną maturę i włącza się w konspirację AK-owską. A potem wyjeżdża do majątku krewnych w Nawojo-

wej koło Nowego Sącza.

Tutaj spotyka kogoś, kto będzie miłością jej życia – Józefa Stadnickiego, zaangażowanego w konspirację AK. Z czasem dowiaduje się, że jest szefem inspektoratu nowosądeckiego.

„Jako pierwsze zadanie przypadło mi w udziale obsługiwanie stacji radiowej, która nazywała się »diabełek«. Paweł Stadnicki w olbrzymiej belce strychowej zrobił miejsce na radio” – wspomina Lubomirska.

Po akcji „Burza”, która na Nowosądecczyźnie zakończyła się masakrą AK-owców z rąk Niemców, Elżbieta i Józef biorą w Krakowie ślub. W małym podkarpackim miasteczku Biecz Elżbieta pierwszy raz widzi Armię Czerwoną. Żołnierze byli wygłodzeni i obszarpani. „Ludzie patrzyli w wielkim osłupieniu, a ktoś stojący przy mnie powiedział: – To ta armia ma nas wyzwolić? To oni idą na Niemców? Niemożliwe, to są chyba dzieci albo zwierzęta. Co to jest?”.

NKWD rozpoczęło masowe aresztowania. Mówiono o parcelacji majątków i likwidacji dworów. „Moi teściowie nie dawali wiary, że mogą zostać wyrzuceni z własnego domu... Teściowa odpowiadała, że to, co najważniejsze, czyli obrazy, jest już u kardynała Sapiehy w Krakowie, złożone w piwnicach. Wszystko to potem zabrano kardynałowi, a on sam został posądzony o kradzież”.

Takich relacji o zaborze dworu jest niezwykle mało we wspomnieniach: „Nasi goście nie przedstawili się. Byli to członkowie urzędu partyjnego z Nowego Sącza, przedstawiciel (ministerstwa) rolnictwa i jakieś władze wojewódzkie z Krakowa. Wszyscy partyjni. Stanęli po jednej stronie pokoju, a my wszyscy po drugiej. [...] W tym momencie ktoś przyniósł gar gorącej zupy i postawił na stole. Po chwili zabrał głos najważniejszy z tej delegacji: – Od dwunastej godziny wszystko, co obywatele posiadają, przechodzi na własność Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Z tą też chwilą będziecie zmuszeni wszyscy opuścić Nawojową.

Po chwili absolutnej ciszy odezwała się Stefania Stadnicka:

– Czy jestem jeszcze panią tego domu? – po stronie przybyłych zapanowała cisza, moja teściowa ciągnęła: – Jeśli tak, to zupa gorąca na stole, zapraszam na nią. [...] Podziwiałam i pokochałam ją



ELŻBIETA LUBOMIRSKA-STADNICKA „NA KRAWĘDZI EPOK”

ROSIKON PRESS

wtedy za to wspa-
niałe zachowanie,
bo lepszego być nie
mogło”.

Ostatnia część
książki to okres
życia w Krynicy,

a potem na emigracji w charakterze obywateli drugiej kategorii. Arystokraci z rozparcelowanych majątków nie mogli dostać żadnej pracy. Wreszcie, po śmierci Stalina i w ramach pierwszych oznak odwilży, Józef Stadnicki dostaje skromną funkcję księgowego w spółdzielni fotograficznej. Z biedy i niedojadania wykształca się u niego nowotwór.

W 1955 r. ginie w wypadku motocyklowym w trakcie jazdy do Warszawy z kolejnym odwołaniem od któregoś z niesprawiedliwych orzeczeń władz administracyjnych.

Po śmierci męża Elżbieta Lubomirska-Stadnicka musi utrzymywać pięcioro dzieci. Wykorzysta swoją znajomość języka francuskiego i będzie pracować przy obsłudze Międzynarodowych Targów Poznańskich.

Tutaj pozna swego drugiego męża, francuskiego biznesmena. Pani Elżbieta przez pewien czas odmawia jego prośbom o rękę, ale rodzina wskazuje, że tylko wyjazd za granicę może uratować wzrok Adasia, jej chorego syna z pierwszego małżeństwa. Jak przewidywała, małżeństwo szybko się rozpadło, ale dzięki niemu pani Elżbieta mogła z chorym synem opuścić PRL.

Po rozwodzie musiała utrzymywać się ze sprzedaży ołówków i książek jako domokrażca. Poświęcała się pomocy społecznej w Kościele katolickim, w duszpasterstwie chorych. I z przerażeniem obserwowała, jak Kościół francuski skręca na lewo ku marksizującym teoriom wcielany pod hasłem reform posoborowych.

W latach 80. przeżywa raz jeszcze w życiu epizod konspiracyjny. „Przyjeżdżałam do Polski kilka razy do roku. Mój syn Andrzej używał mnie jako skrzynki kontaktowej. Przewoziłam do Paryża mikrofilmy i inne ważne rzeczy dla Solidarności”.

Zmarła w 2017 r. w wieku 95 lat. Nie zasłynęła na kartach historii. Jednak bez cichej, nieefektywnej woli trwania takich Polek jak ona nie udawałby się transfer tradycyjnych wartości przez epokę totalizmów XX w.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

1939–1945 / „Płytkie groby na Syberii”

Przeżył własną śmierć



Piotr Włoczyk

/ Michał Krupa został oskarżony przez NKWD o szpiegostwo. Trafił do łagru nad Peczorą, skąd uciekł. Bolszewicy próbowali go zamordować, ale wyrwał się z piekła Związku Sowieckiego

Strażnicy byli przerażeni widokiem wagonu. Zamki były wyłamane, a kawałki drewnianych drzwi wały się na śniegu. W środku zastali kompletny rozgardiasz. Brakowało części pudeł z jedzeniem, a niektóre były porozrywane. Złodzieje ukradli też kilka butelek wódki. Choć było grubo poniżej zera, to strażnikom momentalnie zrobiło się gorąco – własnymi głowami odpowiadali przecież za bezpieczeństwo transportów z żywnością na stacji w Permie.

Najpilniejszym zadaniem było wytropienie złodziei. Sprawę ułatwiło to, że na śniegu zachowały się całkiem wyraźne ślady prowadzące do stojącego obok składu. Najwyraźniej złodzieje byli kompletnie lekkomyślni. W cuchnącym wagonie bydłowym, do którego prowadziły ślady, strażnicy znaleźli czterech pijanych męż-

czyn, śpiących w najlepsze. Obok nich wały się zrabowane jedzenie i wódka. Wściekli strażnicy zbudzili ich kopniakami i wyrzucili z wagonu. Na pierwszy rzut oka widać było, że to uciekinierzy z łagrów. Dowódca nie wahał się ani chwili – trzeba ich natychmiast rozstrzelać!

„Nogi miałem jak z waty, a przepełniony pęcherz ledwie wytrzymywał. Bywałem w podobnych sytuacjach w Peczorze, ale nigdy dotąd nie czułem tak wielkiego strachu. Odmówiłem modlitwę, znowu polecając duszę Bogu – wspominał tamten moment Michał Krupa. – Rozległy się strzały: jeden, drugi, trzeci. Świadomy wymierzonej we mnie broni, czekałem na czwarty. Z Modlitwą Pańską na ustach po czwartym strzale upadłem na ziemię. Echo wystrzału zabrzmiało mi w czaszce, obezwładniło mózg. Palący ból rozbłysnął wielobarwnymi pasmami w oczach, poczułem, jakby mi zadano śmiertelny

cios ciężkim młotem, a potem straciłem kontakt z rzeczywistością. Byłem nieprzytomny, ale z wnętrza słyszałem głos, który próbował się przebić: »To jeszcze nie koniec!«. Tych kilka słów krążyło mi po głowie. »To jeszcze nie koniec!«.

Michał Krupa należał do tej garstki nieprawdopodobnych szczęściarzy, którym dane było przeżyć własne egzekucje. Pocisk zamiast w głowę trafił go w szyję, którą przeszył na wylot. Rana była poważna, ale kula ominęła tętnice i kręgosłup. Trzech Rosjan, również uciekinierów, którzy przyłączyli się do niego podczas podróży pociągiem, niestety nie miało tyle szczęścia.

Krupa przeżył, ponieważ na miejscu egzekucji szybko pojawiło się kolejarские małżeństwo, które postanowiło pochować rozstrzelanych mężczyzn. Byli to ludzie bardzo głęboko wierzący, którzy nie wyobrażali sobie, że można tak pozo-

stawić ludzkie zwłoki. Na takich ludzi też można było wtedy trafić w stalinowskiej Rosji...

Dmitrij i Irena zaopiekowali się rannym Polakiem, udzielając mu gościny we własnym domu. Rozdział książki Krupy opowiadający o ukrywaniu go przez kolejarские małżeństwo niechybnie przywodzi na myśl historie Polaków przechowywujących Żydów. Ten sam strach przed donosem i okrutną karą. A jednak również w ZSRS w czasach stalinowskiego terroru znajdowali się ludzie, którzy gotowi byli – bezinteresownie – na podjęcie tak wielkiego ryzyka. I jakoś tak dziwnie się składało, że zazwyczaj były to osoby wierzące.

Lepka substancja

Trudno się dziwić, że wygłodzony Polak skorzystał z okazji i obficie „poczęstował się” frykasami, które znalazł w jednym z wagonów. Był to już drugi miesiąc jego wydającej się nie mieć końca ucieczki z łagru nad Peczorą. Większość polskich więźniów w ZSRS została uwolniona na mocy „amnestii” po podpisaniu paktu Sikorski-Majski. Krupa, żołnierz Września '39, nie miał jednak szans na „amnestię”. Ani nie został bowiem deportowany na Sybir, ani nie trafił do Sowietów jako jeńiec. Otóż Krupa przeszedł granicę niemiecko-sowiecką z własnej woli, przeprawiając się przez San.

W sowieckiej strefie okupacyjnej chciał odnaleźć rodziców, którzy we wrześniu uciekli przed Niemcami ze swojej rodzinnej wioski na południu Polski. Pojmany natychmiast przez sowieckich pograniczników, został oskarżony o szpiegostwo i przewieziony na Łubiankę, gdzie po brutalnym pobiciu podpisał przyznanie się do niezliczonych „win” wobec ojczyzny światowego komunizmu.

Opis męczarni, którym poddawani byli tam więźniowie, mrozi krew w żyłach. W celi Krupy przetrzymywany był m.in. sowiecki oficer, który odważył się naubliżać politrukowi. Przesłuchiwała go NKWD-zistka imieniem Natasza. Kobieta ta siała postrach wśród więźniów Łubianki. Po kolejnym „badaniu” aresztowany oficer nie był w stanie sam dowlec się do celi – musieli go przynieść strażnicy. „Ułożyliśmy go na jego prycy. Ciało miał złane potem, zupełnie mokre i lepkie ubranie – wspominał Michał

Krupa. – Rozebraliśmy go, żeby wytrzeć, nieprzygotowani na wstrząsający widok. Lepką substancją okazała się krew. Zdjęliśmy mu spodnie i cofnęliśmy się z przerażenia, gdy zobaczyliśmy, że wycieka z otworu, w którym powinny się znajdować jądra. Rozmawialiśmy szeptem, w najwyższym stopniu porażeni i niezdolni dotknąć tego biednego, nieszczęsnego człowieka”. Więźniowie przekonali się w ten sposób, że pogłoski o Nataszy i jej szweskich cęgach nie były wcale przesadzone...

Krupa został skazany na 10 lat ciężkich robót w łagrze nad Peczorą. Gdyby jednak udało mu się przeżyć łagier, z wyroku sądu miał po odbyciu kary pozostać na Syberii do końca życia.

Często mówi się o ZSRS, że był to kraj de facto niewolniczy. Sceny, które zapamiętał Krupa z Moskwy tuż przed załadowaniem więźniów do pociągów, w naturalny sposób przywodzą na myśl karty najsłynniejszej powieści Harriet Beecher Stowe. „Cały obszar, na którym byliśmy zamknięci, przypominał ogromny rynek bydła, ze skazańcami rozmieszczonymi w zagrodach i boksach. [...] Setki żołnierzy strzegły poszczególnych grup więźniów, a przedstawiciele różnych obozów pracy przechadzali się między boksami w poszukiwaniu siły roboczej. Wybierali najsilniejszych i nieustannie targowali się z enkawudzystami. Tym ostatnim bardzo zależało na pozbyciu się skazańców i zrealizowaniu celów »końcowych« określonych przez komisarzy rządowych. Niektórzy z »kupujących« domagali się możliwości zbadania więźniów, jakby byli oni końmi roboczymi. Sprawdzali mięśnie, oglądali zęby i, ogólnie rzecz biorąc, szukali wad, które mogłyby wpłynąć na długość okresu przydatności do pracy” – czytamy w „Płytkich grobach na Syberii”.

Piekło Kuryły

Droga do łagru to oczywiście standardowa wielotygodniowa podróż zapchanym pociągiem towarowym, a na koniec setki kilometrów, które skazańcy musieli przejść pieszo w głębokim śniegu. Dość powiedzieć, że z 300 więźniów do celu dotarło tylko 215. Wywołało to wściekłość komendanta łagru (nazwiskiem Kuryło), który osobiście odpowiadał za wyrobienie nierealnych norm produkcji

drewna. Nic jednak nie wywoływało takiej furii komendanta jak ucieczka więźniów. Stada wygłodniałych wilków, mróz i głód były najlepszymi barierami odgradzającymi skazańców od wolności, ale mimo to nie brakowało desperatów, którzy rzucali się w ten śnieżny bezkres. Ci, których pojmano i doprowadzono przed oblicze Kuryły, byli następnie publicznie karani.

„Dwaj strażnicy, z młotem i z sierpem, zaczęli wymachiwać nad głowami skazańców tymi narzędziami, zmuszając ich do biegania w kółko po białym prześcieradle rozłożonym na drucie kolczastym – pisał Michał Krupa. – Nieszczęśnicy mieli pokaleczone stopy, poszarpane niemal na



MICHAŁ KRUPA
„PŁYTKIE GROBY NA SYBERII”
REBIS
(PREMIERA: 5 MAJA)

strzępy, uginali się pod ciosami zadawanymi młotem i wbijającym się głęboko w ciało sierpem. [...] Jeden z więźniów potknął się i upadł. Mongoł z sierpem niczym sęp rzucił się na niego i spojrzawszy na Kuryłę, czekał na jego sygnał. Odwróciliśmy się w stronę komendanta, wzrokiem błagaliśmy go o litość, ale on, rozpromieniony z radości i podniecenia, skierował kciuk w dół. W okamgnieniu ostrze sierpa odcięło głowę od wijącego się w konwulsjach ciała skazańca. Owładnięty histerycznym śmiechem strażnik pomalował cztery rogi prześcieradła spływającą z niej krwią. Gdy już zaspokoił mordercze żądze, kopnął głowę w kierunku strażnika z młotem, który roztrzaskał ją na miazgę”.

Mimo to Michał Krupa zaryzykował i spróbował wyrwać się z piekła Kuryły. Jego celem był leżący ponad 3 tys. km na południe (w linii prostej) Afganistan, skąd chciał się dostać do armii Andersa. Po drodze spotkał ludzi na wskroś złych, którzy zaprzędali się komunizmowi, a także rosyjskich Sprawiedliwych, którzy uratowali go po egzekucji. Fragment książki opisujący moment przekroczenia przez Krupę granicznej rzeki Amu-darii, na długo pozostaje z czytelnikiem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MAC



1896–1979 / Stefan Wiechecki – „Homer i jezior Warszawy”

Starowna robota pana Wiecha



Krzysztof Masłoń

Warszawiacy kupowali „Express Wieczorny” tylko po to, aby dowiedzieć się o aktualnych kłopotach Gieni, szwagra Piekutoszczaka i Walerego Wątróbki

Był ulubionym pisarzem Józefa Becka, Stefana Starzyńskiego i Stefana Wyszyńskiego, ale komuchy też wyrzywały sobie jego książki, a tym mniej czytelnym wystarczał felieton – przed wojną, po wojnie w „Expressie Wieczornym”. O Stefanie Wiecheckim – Wiechu, bo o nim mowa, Antoni Słonimski powiedział, że „jest przyjazny człowiekowi”.

Marek Hłasko poświęcił Mistrzowi Wiechowi (tak go tytułował) liryczny ustęp „Pięknych, dwudziestoletnich”, z konkluzjami którego nie do końca się jednak zgadzam. A brzmiał ten fragment tak: „Jest wielkim nieporozumieniem, iż Wiecha uważa się za felietonistę, w rzeczywistości jest to największy nowelista i pisarz obyczajowy. Jego niektóre opowiadania są genialne; o tych dwóch złodziejach, którzy pokłócili się przy podziale zysków; o »Aniele dobroci«, czyli najspokojniejszym sublokatorze przy ulicy Rybaki; o amerykańskim Tatersalu konnej jazdy figurowej przy ulicy Dzikiej, pod fachowym kierownictwem pana Heńka Szpagata; i o panu Mońku Alfabcie – największym donżuanie przy ulicy Twardej. Pisząc powyższe, zdaję sobie sprawę, iż nie wyjawiam nieznanych dotąd spraw, natomiast jest jedna rzecz, której – mimo że sam jestem warszawiakiem urodzonym na Powiślu – nie rozumiem, czy Warszawa mówi tak, jak pisze Wiech, czy też Wiech pisze tak, jak mówi Warszawa. Pamiętam, że wszyscy nasi kierowcy z Metrobudowy, WSS, MHD i niektórzy warszawiacy z Pagedu kupowali »Express Wieczorny« tylko po to, aby dowiedzieć się o aktualnych kłopotach Gieni, szwagra Piekutoszczaka i Walerego Wątróbki. Wiech przestał być wielkim pisarzem obyczajowym i stał się felietonistą; ale stało się to już po wojnie, kiedy sam Wiech powiedział: »To nie ja zmieniłem Piekutoszczaka. Piekutoszczaka zmieniła historia«. I rzeczywiście: po wojnie szwagier Piekutoszczak przestał być »wychowawcą monopolowym«, a stał się zwolennikiem kefiru; z racjonalisty stał się pozytywistą; z cwaniaka – dialektykiem. Przestał posługiwać się rozumem; miast tego zdobył wiedzę o tym, jak należy myśleć o różnych sprawach. I tak umarł najzabawniejszy człowiek Warszawy”.

Może niekoniecznie... Raczej nie trafiłby wtedy do jednej z ballad Stanisława Grzesiuka. Tak to jakoś szło:

*Bo sześć latków minęło bez mała, gdyśmy pili w tej knajpie we trzech,
I tak samo harmonia nam grała, tylko inny był humor i śpiew.*

Strumieniami tam wódz się lała, z białą główką, wszak każdy ją zna,

Dziś z ferajny została się garstka, ot ta: Piekutoszczak, Feluś i ja.

Jak pić, to pić do dnia,

A harmonia bez przerwy niech gra.

Dziko śmieszne

Z kolei Jan Lechoń, po przeczytaniu tomu Wiecha „Na perłowo”, tak podsumował tę lekturę: „Już Wiechowi dali radę. Widać, że posmutniał i ma podcięte, co tu gadać, skrzydła. Raz po raz przypomina sobie, że ma być pozytywny, ma chwalić odbudowę, nową kulturę i wtedy, widać, odechciewa mu się wszystkiego. Mimo to np. streszczenie »Strasznego dworu« przez pana Piecyka czy Piekutoszczaka – dziko śmieszne!”.

Innym razem nie było już dla Lechonia żadnego „ale”, po prostu, zachwycał się: „»Helena w stroju niedbałem« Wiecha jest to prawdziwe arcydzieło, o którym koniecznie trzeba by napisać. Brzmi to jak paradoks – ale naprawdę ta książeczka jest to dokument wielkiej kultury narodowej, bo czytając ją, czujesz, iż tak mogli mówić o historii polskiej pan Piecyk czy szwagier Piekutoszczak, bo Książę Józef, Sobieski czy Król Zygmunt, tak właśnie podobni do prawdziwych jak owe postacie z Wiecha, weszli do legend Warszawy, są ogólnie znani na Mariensztacie czy na Solcu. Poufałość, szarża komiczna, z jaką Wiech traktuje historię Polski, budzi głębokie wzruszenie, bo jest przejawem miłości do tej historii, tak dyskretnej jak ta, z jaką Francuzi mówią o swoich wielkich ludziach. Jeżeli chodzi o literacką klasę tej niebywałej książki, to myślę, że na taką deformację stylu i prawdy historycznej mógł się zdobyć tylko mistrz stylu i człowiek głęboko zżyty z tą prawdą – tak jak tylko taki mistrz rysunku jak Picasso mógł sobie pozwolić na zupełne zerwanie z realizmem kształtu. Kto wie, czy ta »Helena w stroju niedbałem« nie jest książką najlepszą i najbardziej polską wśród wszystkich, jakie wyszły w bierutowskiej Warszawie”.

Niebawem autor „Dziennika” doda: „Wiech jest mistrzem w zachowaniu

obranego tonu. Wszystkie swe pisarskie cele osiąga on przez humor. Ani razu nie przyłapałem go na sentymentalizmie czy deklamacji – choć nieraz jest wzruszający, ale zawsze przez komizm. Wielu pisarzom wyższego niż on zamysłu nie udaje się to, wielu z nich wypada z tonu w języku i krzywi psychologię swych postaci. Bo też Wiech – to prawdziwy pisarz, »qui boit dans son verre«”.

Bez konkurencji

Urodził się Stefan Wiechecki w 1896 r., oczywiście w Warszawie, w wielodzietnej (miał dziewięcioro rodzeństwa) rodzinie zamożnego mistrza masarskiego. Już w szkole (uczęszczał do Gimnazjum Wojciecha Górskiego, a później do Gimnazjum E. Konopczyńskiego, gdzie otrzymał świadectwo dojrzałości) odkrył w sobie pasję teatralną, która sprawiła, że w latach 20. był m.in. dyrektorem i kierownikiem literackim Teatru Popularnego na Woli. Pisał sztuki, sam też występował na scenie.

W 1916 r. przerwał naukę i wstąpił do Legionów Polskich, do Pierwszej Brygady. Kolejny raz przywdział mundur w roku 1920; za wojnę z bolszewikami odznaczony został Krzyżem Walecznych.

W 1923 r. ożenił się z Leokadią Fałdowską (używającą imienia Irena), miał z nią córkę Alicję. Od połowy lat 20. profesjonalnie zajął się dziennikarstwem, zdobywając popularność felietonami podpisywanymi pseudonimem Wiech, a publikowanymi w „Kurierze Warszawskim”, potem zaś w konkurencyjnym „Kurierze Czerwonym”. Po wojnie też pisywać będzie najpierw w „Życiu Warszawy”, by następnie, już na stałe, związać się z „Expressem Wieczornym”.

W maju 1952 r. Jan Lechoń ze swojej nowojorskiej dali wystawił ocenę: „Wiech – bez konkurencji wśród wszystkich piszących w Kraju. Znów napisał felieton o Wojciechu Bogusławskim – prawie wzruszający, taki warszawski i tak świetnie trzymający się w jego stylu. Ciekawe, czy też i jemu każą w końcu napisać coś na cześć Bieruta albo coś mu na imieniny obiecać”.

Z podobnego myślenia wzięły się kręcenie nosem Hłaski nad Piekutoszczakiem. Ten sam autor dowiódł jednak, że pisarstwo Stefana Wiecheckiego ma niebagatelną wartość poznawczą.

■ Otóż tylko dzięki swojemu starszemu koledze po piórze mógł autor „Pięknych, dwudziestoletnich” przeprowadzić efektowny a przejrzysty zarazem wywód na temat noszenia plerezy przez biki-niarzy i wyjaśnić społeczny fenomen tych ostatnich. I tak dowiedzieliśmy się, że „według Wiecha plerezę dzielimy na trzy kategorie: plereza na cukier, plereza na biało i plereza na szklaną wodę, gdyż – jak powiada Wiech – na ludzki rozum włosy takie nie mają prawa trzymać się kupy. Natomiast dzięki użyciu cukru plereza trzyma się przez dobę; dzięki białku przez trzy dni; plereza utrwalaona dzięki szklanej wodzie jest najtrwalsza i trzyma się przez tydzień. I dalej, kontynuuje Wiech, element ujemny plerezy stanowi fakt, że w chwili bójki towarzyskiej wystarczy tylko rozpuścić plerezę przeciwnikowi i ten natychmiast »nie zdaje sobie sprawozdania«. Jeden z bohaterów Wiecha, stojąc przed sądem, tłumaczy się, dlaczego pobił ciężko sześć osób i zamienił dostatnio urządzone mieszkanie w dymiące rumowisko. Młody człowiek powiada tak: »Usłyszałem tylko, jak ktoś krzyknął: Bigosińczak, rozpuść mu plerezę. Jak mnie rozpuścił, to z miejsca widzę, że nic nie widzę«. Ludzi noszących plerezy i kolorowe krawaty nazywano bikiniarzami; to miało stanowić nazwę pogardliwą, jednak młodzi ludzie nie obrażali się”.

Niech ja skonam!

W styczniu 1951 r. zauważy Lechoń, że „język Wiecha – który tylko w pewnym stopniu jest autentyczną gwarą warszawską, a w znacznie



większym stylizacją tej gwary – rządzi się pewnymi tajemniczymi prawami, pewnym instynktem, ma swego »ducha« i ludzie o uchu wyszukany od razu wyczują, jeśli ktoś, naśladując Wiecha, zgrzeszy przeciw »duchowi« tego języka. Napisawszy dziś taką imitację, doznałem uczucia zadowolenia, prawie pisarskiej dumy – że zdaniem moim ta rzecz jest »w duchu« Wiecha”.

A czy nie z „ducha” Wiecha pochodził jeden z najlepszych ustępów „Kwiatów polskich”? I choć Tuwim był bardziej łódzki niż warszawski, nie tak jak Lechoń wywodzący się jakby w prostej linii od Or-Ota, przecież napisał te niezapomniane strofy:

*A polski bez jak pachniał w maju
W Alejach i w Ogrodzie Saskim,
W koszach na rogu i w tramwaju,
Gdy z Bielan wracał lud warszawski!
Szofer nim miał swą taksówkę
Frajerów wioząc na majówkę,
Na trawkie, pifko i muzykę;
Gnał na sto jeden, na rezyki;
A wioził śmietankie towarzyskie:
Kuchtę Walerię, tę ze Śliskiej,
Burakoszczaka z Czerniakowskiej
I Józia Gwizdałskiego z Wolskiej.
Byli spocone i zziębne
I wszystka trzech w drebiezi piłane,
I tak jechali bez Pułaskiej,
Fordziak w latarnię wyróżną z trzaskiem,
I przybiegł (tyż pod gazem kzynkie)
Flimon szarpany za podpinki.
Szofer czarował go naturalnie,
Że on zapychał leguralnie
I „Niech ja skonam, niech ja skonam
(Zawsze dwa razy! Rzecz stwierdzona),
Skoro jeżeli znakiem tego
Nie jest to wina bzu danego,
Którym cholernie się uwiertniał
I mocny zapach skuteczniak;
Ciut, ciut mnie z niego zamroczyło
I właśnie bez to się zdarzyło”.
Policjant mówił: Ja nie frajer
I pan nie weźmiesz mnie na bajer,
Pan się zatrudniaś alkoholem”
I nagle krzyk: „To ja chromo!”
I „Nie bądź pan tu za szemrany!”
A kuchta w pisk: „Zabij! Rany!”
A Józia w pysk, a Józia w mordę,*

*I już w powietrzu pachnie mordem,
I wszyscy do komisariatu,
A z winy – majowego kwiatu.
Potem to ślicznie Wiech uwieczniak,
Z daleka więc do pana Wiecha
Pełen wdzięczności się uśmiecham...
I coś pan teraz skutecznia?*

A wracając do twórcy „Karmazynowego poematu” – któregoś dnia rozśmieszyło go, po prostu, bardzo zabawne zdanie u Wiecha z racji wystawy Rembrandta: „Trzeba i tak zwane pikasy do śmiechu z oczami na plecach uwzględnić”. Tak jak mnie przy lekturze Wiecha po długiej przerwie w obcowaniu z tą prozą ubawiła puenta tytułowego felietonu (?) czy raczej opowiadania z tomu „Spacerkiem przez Poniatoszczaka”, wydanego w roku 1946:

„[...] mijał nas pochód młodzieży. Warszawa kocha przyszłość narodu, pan Piecyk patrzył na nią z dumą i rozrzwinięciem, ale na widok transparentu, głoszącego złotymi literami: »Zrodził nas czyn« – tracił mnie lekko łokciem i rzekł z uśmiechem:

– A mamusia to pestki gryzła, tak?”.

Jadziem, panie Zielonka!

Pisał Stefan Wiechecki o wszystkim, ale też wszystko wiedział choćby o teatrze, a o filmie też nie mało. Był współscenarzystą komedii „Dorożkarz numer 13” z 1937 r. To z tego filmu, do którego dialogi napisał razem z Tadeuszem Wittlinem, pochodzi sławne powiedzenie, które potem zagościło w piosence: „Jadziem, panie Zielonka!”.

W odwilżowej popaździernikowej atmosferze filmowcy też sięgnęli po Wiecha, tym razem jako autora popularnej powieści „Cafe »Pod Minogą«”. Ekranizacja ujrzała światło dzienne w 1959 r., czasem jest jeszcze przypominana (ostatnio w Polsacie Film), choć Bogiem a prawdą słaba jest – jak Wiech powiedziałaby – niemożebnie i, niestety, kompletnie pozbawiona wdzięku. I nie chodzi tu wyłącznie o poważny błąd obsadowy, o którym czytamy w książce Janusza Dziano i Danuty Koper „Ech, panie Wiech”: „Poszło o odtwórcę postaci Jumbo Szuwaksa. Ten regularny warszawiak »w stroju żałobnym« zupełnie nie wypalił. Jedynym czarnoskórym, jaki wpadł w ręce

reżysera, był student z Ghany. Poza tym, że kolorystycznie był idealnie pasującym do literackiego wzorca, cała reszta była do tak zwanego kitu. Język i owszem, opanował względnie, choć bardziej na miarę kierunku swoich studiów na politechnice. Ale jak tu czarnoskórego nauczyć warszawskiej mowy i koniecznego w niej odpowiedniego akcentu czy intonacji? Niestety, największy atut tej przesympatycznej postaci książkowej padał na samym starcie. Sugestię pisarza, by zatrudnić w tej roli autentycznego czarnoskórego mieszkańca Warszawy, reżyser zbył z wyraźną dezaprobatą. Nie chciał podjąć współpracy z przedwojennym czarnoskórym szatniarzem z kawiarni Zodiak przy Traugutta, choć ten doskonale posługiwał się gwara. Propozycja podłożenia dubbingu także spaliła na panewce. Niestety, nieudolny filmowiec położył na cacy warszawski humor związany z postacią Jumbo”.

Nieudolnym filmowcem był Bronisław Brok, wcześniej szef artystyczny Teatru II Armii Ludowego Wojska Polskiego, a potem realizator takich socrealistycznych grzmotów jak: „Pierwszy start”, „Żałoga” i „Sprawa do załatwienia”. Najlepiej sprawdził się jako autor tekstów piosenek, w tym wiekopomnej „współczesnej pieśni partyzanckiej” – „Po ten kwiat czerwony”, czyli przeboju roku 1968, po którego napisaniu autor wkrótce wyjechał do Izraela, gdzie zmarł w roku 1975.

A Brok przypomniał mi się dlatego, że nie podnoszonym wprawdzie oficjalnie, ale po cichu jednym z najpoważniejszych zarzutów wobec Wiecha miał być rzekomy antysemityzm jego tekstów. Bzdura była totalna, choć humor żydowski stanowił ważną część jego przedwojennej twórczości, tyle że w PRL kompletnie nieobecna, a przypominaną dopiero przez Roberta Stillera w tomie „Trup przy telefonie”, w ramach edycji krakowskiej Etiudy z początków XXI w.

Zresztą cenzura pilnowała poprawności politycznej żarcików pana Wiechecznego. W przedwojennym „Zezowatym baranku”, pisząc np. o sprzedawanych przez Antoniego Nóżkę na straganie za Żelazną Bramą gipsowych symbolach Wielkiej Nocy, scharakteryzował je słowami może nadto wymagającej klientki, pani Haliny Kopycińskiej: „Owszem, nie powiem, robota starowna, ale mordy jakieś takie niekonieczne. [...] Ten, na

przykład, ma żyła w lewym oku, a ten w prawem. Ten znowu podobny jest więcej na kozę, a tamten z lewej strony to czysty Żyd”.

W „Cafe »Pod Minogą«” dialog kończy się na kozie, „Żyd” – coś dopiero z responsem Antoniego Nóżki („Zwracam pani uwagę, że baranek artykuł religijny i nie masz pani go prawa równać ze starożytną narodowością”) – był już nie do przyjęcia.

Śmiej się pan z tego!

Poza tym autor był obcy klasowo, z fatalnym życiorysem, nie brakowało więc chętnych do podania w wątpliwość wartości jego pisarstwa. Dzisiaj wydaje

usunięte zostały z bibliotek szkolnych. Widać, uznano je za szkodliwe. W końcu takie wezwania jak to, z „Robotniczego Przeglądu Gospodarczego”, nie były rzucane w próżnię: „Wiech stworzył gwarę, która mimo wszystko weszła do języka polskiego. Stworzył też typy, które przez masowe naśladownictwo fasonu bycia weszły w życie. Ale jego typy to łaziki poza nawiasem zbiorowego wysiłku społecznego, a ich filozofia życiowa to szwejkostwo życiowe. Wiech jest społecznie szkodliwy, gdyby nie było krępujące strzelanie z armaty do przemilego wróbla warszawskiego, to należałoby zwalczać Wiecha tak długo, ażeby tego swojego Wątróbkę zapędził do fabryki”. Z pewnością woliliby o tym zapomnieć, ale podobnymi bredniami popisywały się też przyszłe literackie tuzy – Jan Błoński czy Jacek Bocheński.



Stefan Wiechecki rozmawia z dorożkarzem na moście Gdańskim, 1960 r. FOT. NAC

się to nieprawdopodobne, ale w PRL przez kilka ładnych (?) lat twórca „G jak Genia” atakowany był – wspominał Piotr Kuncewicz – „za zaśmianie języka. Rzeczywiście, Wiech posługiwał się szczególnym warszawskim, plebejskim dialektem, który w ten sposób przeniknął do języka powszechnie używanego. Wszystkie »przypuszczam, że wątpię«, »w działło szarpany« itd., itp. uzyskały rodzaj obywatelstwa. Tylko czy to było naprawdę zaśmianie, czy wzbogacenie raczej?”. Pytanie z gatunku retorycznych, w takim jednak 1951 r. odpowiedź na nie była inna, bo właśnie wtedy książki Wiecha

Dajmy jednak spokój ponurym cieniom zamierzchłej przeszłości. Na szczęście nigdy nie brakowało Wiechowi admiratorów jego pisarstwa, dlatego w „Expressie” mógł się ukazać rysunek Jerzego Zaruby (ilustratora wielu jego książek), na którym Wiech czyta tekst Bocheńskiego, a Walery Wątróbką, wskazując go palcem, mówi: »Śmiej się pan z tego!«”.

Kiedy zmarł w roku 1979, w ostatniej drodze na Powązki towarzyszyła mu, rzecz można, cała stolica. Tak żegnano – jak z emfazą nazwał go Tuwim – Homera warszawskiej ulicy i warszawskiego jęzora.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pojedyncza śmierć to tragedia, ale milion to statystyka. Ten słynny cytat przypisywany Józefowi Stalinowi doskonale oddaje pewien smutny paradoks. Jeżeli pokaże się komuś zdjęcie umierającego dziecka, to będzie poruszony. Jeżeli jednak tej samej osobie powie się, że w wielkiej rzezi zginęło kilka milionów ludzi, to wzruszy ramionami.

Po upornej epoce Lenina, Stalina, Mao, Hitlera, Pol Pota i innych masowych morderców ludzkość niestety oswoiła się ze słowem „ludobójstwo”. A w wielkich narracjach historycznych, w długich kolumnach cyfr zestawiających statystyki ofiar gubi się to, co najważniejsze. Jednostka ludzka i jej indywidualne cierpienie. Gubi się człowiek.

Zadaniem historyków jest rozbicie owego stalinowskiego miliona na milion ludzkich historii. Wydobyć z niebytu losów poszczególnych ofiar. Modelowo tę misję wypełnił Wojciech Konończuk, przygotowując do druku 12 opowieści ludzi deportowanych przez bolszewików z powiatu Bielsk Podlaski w latach 1940–1941.

Są to opowieści wstrząsające. Jedną z nich jest historia 14-letniej Anny Rydz ze wsi Szernie. Sowietci uznali, że jej ojciec, który był sołtysem, musi być spokrewniony z marszałkiem Edwardem Śmigłym-Rydzem. W efekcie rodzina trafiła w skute lodem góry Ałtaju.

Rębałam i rębałam – opowiadała Anna. – Było bardzo zimno, ale poskakałam z nogi na nogę, żeby się rozgrzać, jak to młody człowiek, i dalej rębałam. Skończyłam rębać, złożyłam drzewo w kupę, przyszedłam do chaty. Chciałam się rozebrać, ale patrzę, a tam wszystkich w kość zmarznięte. Kaloszy i skarpet już nie mogłam zdjąć, bo przymarły do nóg. Od tej pory zaczęła się moja bieda.

Przyszła jakoś pani z nożami, przecięła skórę i postawiła szklankę, aby ściągnąć zmarzniętą krew. To samo na drugą nogę powyżej kolana. Myśleli, że pomoże, ale nie pomogło. Zostałam kaleką. Do dzisiaj noga jest chora, trochę tylko wyzdrowiała.

Pani Bronisława Jakubowska była zaledwie o rok starsza od pani Anny Rydz. Z jej rodzinnej wsi wywieziono ją... 20 czerwca 1941 r. A więc zaledwie na dwa dni przed wkroczeniem Wehrmachtu i przepędzeniem bolszewików. Niestety, Jakubowscy się nie doczekali. O wybuchu wojny dowiedzieli się na etapie. Jadąc bydlęcymi wagonami na daleką Syberię.

Rodzina trafiła do sowchozu, w którym w pierwszym okresie udawało im



Więźniowie Siewostłagu

FOT. WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Zbrodnie komunistyczne

Byliśmy na Syberii

się jeszcze jakoś wegetować. Niestety, nieszczęście przyszło w 1943 r., gdy ojciec pani Bronisławy został wzięty w kamasze. Przymusowo wcielono go do polskojęzycznego wojska sowieckiego dowodzonego przez renegata Zygmunta Berlinga. Pani Bronisława została sama z trojgiem młodszego rodzeństwa.

Cały czas żyliśmy o głodzie i chłdzie – wspominała. – Tylko Bóg nas trzymał. Dorosli ludzie nie wytrzymywali takich warunków, a my, dzieci, jakoś ocalałyśmy. Rodzeństwo płakało: „Chleba chcemy!” – krzyczeli. Ale gdzie ja im wezmę? Słyszałam, jak ludzie mówili: – Te bachory to nie przeżyją, z głodu poumierają. Mróz był do minus 50–55 stopni. Dzieci chodziły obdarte tak, że nie daj Boże.

Wszystkie opowieści zawarte w książce zostały zebrane przez Wojciecha Konończuka w latach 2009–2019. Część jego rozmówców – Polaków, Białorusinów i Żydów – zapewne dziś już nie żyje. Historykowi udało się więc ocalić ich dramatyczne przeżycia przed zapomnieniem.

Konończuk szacuje, że w trakcie pierwszej deportacji sowieckiej w lutym 1940 r. z powiatu bielskiego wywieziono ok. 2–2,5 tys. ludzi.

Podczas drugiej deportacji w kwietniu 1940 r. – ok. 1–2 tys.

W drugiej połowie 1940 r. na Syberię trafiło dodatkowo jeszcze ponad 2 tys. bieżęńców, czyli żydowskich uciekinierów spod okupacji niemieckiej.

Z kolei w czwartej deportacji 20 czerwca 1941 r. Sowietci uprowadzili 3–3,5 tys. ludzi.

Jak więc widać, niewielki – liczący 200 tys. mieszkańców – powiat Bielsk Podlaski został przetrzebiony przez bolszewików w sposób straszliwy. Dzięki znakomitej pracy Wojciecha Konończuka nie jesteśmy jednak ograniczeni do przytoczonych w powyższych akapitach suchych cyfr. Straszliwe cierpienie ofiar sowieckich wywozek zyskało twarz konkretnych osób. ©

Piotr Zychowicz



WOJCIECH KONOŃCZUK (RED.)
„SZUKA PRZETRWANIA.
DEPORTACJE SOWIECKIE
Z POWIATU BIELSKIEGO
1940–1941. RELACJE
ZESŁAŃCÓW”

IPN

Moniuszko odbrazowany

Pocciwy, budzący zaufanie człowiek. Tak prezentuje się Stanisław Moniuszko na fotografiach i taki był w istocie. Dobry, porządny człowiek. Żadnych sensacji ani skandali wokół niego nie było.

Są artyści, twórcy, których dzieło jest wielkie, ale w porównaniu z nim ich życie wydaje się nieciekawe, niewarte uwagi. Tak właśnie można było myśleć o Moniuszce do chwili ukazania się książki Sławomira Kopra. Autor tchnął bowiem życie w pomnikową postać kompozytora, pokazał go nie tylko jako twórcę, lecz człowieka z jego upodobaniami i kłopotami, borykającego się z przyziemnymi kłopotami.

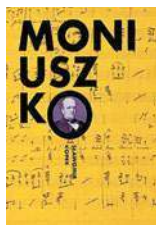
Książka zaczyna się od trzęsienia ziemi, jakim była warszawska premiera „Halki”, a potem jest nie mniej ciekawie. Premierę wyznaczono na 1 stycznia i można było się obawiać, że zmęczeni zabawą sylwestrową, skacowani melomani nie stawiają się na spektakl. A jednak nie zawiedli. „Halka” wywołała entuzjazm. „Baby wszystkie pewno poszwały, bo biły brawo na zabój” – relacjonował krewny kompozytora.

Bab w życiu Moniuszki nie było. Tylko żona. I dziewięcioro dzieci, z których troje umarło w bardzo młodym wieku. Liczna rodzina i niemal 20-osobowa służba to liczne wydatki. Kompozytor całe życie borykał się z długami. Może jego kłopoty byłyby mniejsze, gdyby nie to, że Moniuszko niczego nie odmawiał ani sobie, ani bliskim. Już tylko to czyni jego postać sympatyczną. Był wyrafinowanym żarłokiem,

amatorem słodczy i tłustych potraw oraz nałogowym palaczem cygar. A ten tryb życia sprawił, że „starzał się w zastraszającym tempie, a gdy przed czterdziestką przeprowadził się do Warszawy, wyglądał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości”. Umarł w wieku 53 lat. Jak jednak zauważa autor, ostatnie lata życia Moniuszki nie były udane pod względem twórczości.

Walka o pieniądze, stałe kłopoty z długami, przewijają się przez wiele stron książki. Sławomir Koper wydobywa tu momenty tragikomiczne i humorystyczne. Choćby ten: ojciec Moniuszki, który dostał kilka jego „Śpiewników domowych” do sprzedaży, zamiast oddać synowi uzyskane pieniądze, wydał je na kupno czterech kanarków i głowy cukru.

A kompozytor też miał poczucie humoru. Pisał o nagłym zniknięciu „Straszego dworu” z afisza, że opera była zawieszona „przez naszą mateczkę cenzurę”. Rosjanom nie podobała się patriotyczna wymowa dzieła. Chociaż Moniuszko był jak najdalej od buntowniczych myśli. Co mu zresztą niczego nie ujmuje. ©© **Tomasz Stańczyk**



SŁAWOMIR KOPER
„MONIUSZKO”

HARDE

Dwór na wulkanie

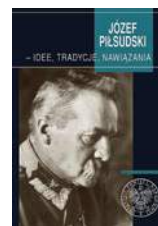
Ten bał w resursie, w którym brałam udział, taki był udany. Miałam ogromne powodzenie. Tatusiowi nie podoba się pan A., a mnie? Sama nie wiem; czasem zdaje mi się, że mi się podoba. Tatuś mówi, żeby nie mógł mu zaufać, bo lekkomyślny. To prawda, ale... szkoda! Po co on tak flirtuje? Ja staram się tego nie robić, bo to podług mnie zabawa niebezpieczna, ale z A. tom trochę flirtowała. Nie pojmuję tych panien, które z flirtu robią sport, to muszą być istoty bez serca i bez nerwów”.

Jeżeli, drogi czytelniku, uśmiechnąłeś się z rozrównieniem, czytając ten cytat, to dziennik Janiny Konarskiej, szlachcianki z Kielecczyny, jest dla ciebie. ©© **(p.z.)**



JANINA KONARSKA
„DWÓJ NA WULKANIE.
DZIENNIK ZIEMIANKI
Z PRZEŁOMU EPOK
1895–1920”

KARTA

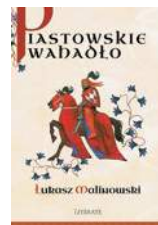


PRACA ZBIOROWA
„JÓZEF PIŁSUDSKI – IDEE,
TRADYCJE, NAWIAZANIA”

IPN

PIŁSUDSKI O NAS

Profesor Grzegorz Nowik przypomina, że w 1918 r. Piłsudski liczył, iż „odrodi się dusza narodu” i najlepsze cechy Polaków będą górowały nad tymi złymi. Stawiał bardzo wysokie wymagania rodakom i zawiódł się. Marszałek twierdził, że jakkolwiek Polacy są racjonalni, to emocje mają duży wpływ na ich postawy polityczne. Co widać także dziś. **(t.s.)**



ŁUKASZ MALINOWSKI
„PIASTOWSKIE WAHADŁO”

LITERATE

DRAMAT WSTYDLIWEGO

Wiedza historyka, literacka fabuła i imitacja średniowiecznej formy składają się na próbę przedstawienia życia Bolesława Wstydliwego i wycinka burzliwych dziejów XIII w. w Polsce. Autor dostrzegł dramat piastowskiego princepsa, wychowanego bez ojca, otoczonego świętymi kobietami, który w męskim świecie musiał brać udział w brutalnej walce o krakowski tron. ©© **(m.r.)**



SEBASTIAN ROSENBAUM
„MIĘDZY KATOLICYZMEM
I NACJONALIZMEM.
ZWIĄZEK NIEMIECKICH
KATOLIKÓW W POLSCE
W WOJEWÓDZTWIE
ŚLĄSKIM 1923–1939”

IPN

NIEMCY – POLACY – KATOLICY

Erupcja narodowego socjalizmu i dojście do władzy Adolfa Hitlera nie mogły nie mieć wpływu na Niemców mieszkających w II RP. Wielu z nich uległo czarowi Führera, inni wprost przeciwnie. Uznali go za niebezpiecznego dyktatora i bezbożnika. Podzieleni (i to bardzo ostro!) w tej sprawie byli także niemieccy katolicy na Śląsku. Sebastian Rosenbaum opisuje ten spór z wielką znajomością tematu i wyczuciem. Historyk IPN napisał ciekawą książkę o ciekawym epizodzie historii. I do tego mało znanym. **(p.z.)**



„Ara pacis” – płaskorzeźba z ołtarza zbudowanego w Rzymie przez Oktawiana, symbolu pokoju rzymskiego po zakończeniu wojen domowych FOT. WIKIPEDIA

Rzym bez nudy

Kiedy w latach 60. przygotowywałem się do egzaminu z historii starożytnego Rzymu na UW, wykładałem daty, nazwiska i nazwy głównie z ogromnego, ale przeraźliwie nudnego podręcznika sowieckiego autora Maszki. Przypomniałem sobie tę mękę teraz, przy fascynującej lekturze książki Everitta. Proces stawania się imperium przedstawia on od mitycznej podróży Eneasza do załamywania się ustroju republikańskiego za kolejnych dyktatorów, na Oktawianie kończąc. Jakże porywające wydarzenia rozgrywały się podczas tych siedmiu stuleci, ileż przewinęło się barwnych postaci, z jakim znawstwem i talentem są opisane...

Dam przykład wojny Rzymu z królem Epiru – Pyrrusem, tym od „pyrrusowego zwycięstwa” – który przeprawił się za Adriatyk (280 r. p.n.e.), aby wspomóc

grecki Tarent. Sam król, utalentowany wódz i mężny do szaleństwa wojownik, który chciał dorównać Achillesowi i swemu przodkowi Aleksandrowi, powiedział: „Jeszcze jedno takie zwycięstwo nad Rzymem, a zginiemy bez śladu”. A przecież pod Heraklą wojsko Epiru (i 20 indyjskich słoni), które straciło niespełna 4 tys. ludzi, potrafiło zabić ponad 7 tys. wrogów, a 1,8 tys. wziąć do niewoli. Podobnie było pod Askulum (279 r. p.n.e.). Jednak niezłomny w wojnie i w polityce Rzym, którego rezerwy były bez porównania większe niż Epirotów, przysłał wciąż nowe legiony.

Działo się tak mimo zabójczej epidemii nad Tybrem: „Zaraza w Rzymie przygasiła



ANTHONY EVERITT
„CHWAŁA RZYMU.
JAK TWORZYŁO SIĘ
IMPERIUM”

REBIS

nastroje społeczne, a Liwiusz informuje, że liczba obywateli spadła z 287 222 w roku 280 do 217 224 w roku 275. [...] Mimo to wiosną 275 roku dwie armie konsularne wyruszyły na południe i zajęły pozycje mające uniemożliwić uderzenie na Rzym”. No i dopięty swego. Pyrrus rozdzielił swe siły, pobłądził nocą z częścią wojska, a za dnia przegrał pod Benewentem, zwłaszcza „gdy grad płonących strzał wywołał panikę wśród słoni, które popędziły na oślep przez własne szeregi. Obóz Pyrrusa został zdobyty, a jego armia wyparta z pola”.

Dalsze nieprzemyślane posunięcia i Pyrrus musiał wycofać się do Grecji, a tam zginął – właściwie na własne życzenie – w Argos. Oto w obronie syna matka ogłuszyła króla zrzuconą z dachu dachówką, a latorośl wciągnęła herosa do bramy i ucięła mu głowę. Zwróćmy jednak uwagę na skutki wspomnianej zarazy w Rzymie: w ciągu pięciu lat liczba obywateli rzymskich – a więc tych mężczyzn, z których rekrutowała się armia – zmniejszyła się o 70 tys., czyli o jedną czwartą! A mimo to Rzym wytrwał i doprowadził do kolejnego swego

zwycięstwa. W końcu do Pax Romana. Historia rozwoju łatyńskiej osady, która potrafiła stworzyć światowe imperium, stanowi dziejowy fenomen. Everitt jakby przy tym był... ©© **Maciej Rosalak**

Mroczna przedwojenna Warszawa

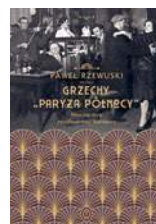
Wzajmujący sposób autor przedstawia ciemne strony międzywojennej Warszawy. Opisuje przestępczość, głośne zabójstwa i słynnych zbrodniarzy. A także środowisko narkomanów i hazardzistów. Na stronach książki pojawiają się tak znane postacie jak Felek Zdankiewicz i kat Maciejewski, uwiecznieni w miejskiej legendzie i piosence, kasiarz „Szpicbródka”, czyli Stanisław Cichocki, oraz przywódca gangów wymuszających haracze: „Tata Tasiemka” – Łukasz Siemiątkowski oraz dr Łokietek. Są też komisarz Przygoda, pierwowzór jednego z bohaterów filmu „Vabank”, Kwinto, w przeciwieństwie

do filmowej postaci nie kasiarz, lecz oszust finansowy, oraz Szczepan Paśnik „warszawski Landru”.

Paweł Rzewuski pisze również o prostytucji, przypominając założone w Warszawie przez Izaaka Burskiego stowarzyszenie, które było przykrywką do prowadzenia przestępczej działalności i przyjęło ostatecznie nazwę Zwi Migdal. Była to międzynarodowa organizacja handlu kobietami, wywołanymi także z Polski. Autor poświęca wiele miejsca walce z nierządem, którą zajmowała się policja kobieca. Na jej czele stała Stanisława Paleolog, pierwsza kobieta-oficer.

Kokaina jest i dziś popularnym narkotykiem, autor pisze natomiast o zapomnianym eterze. Jeden z konsumentów tego specyfiku wspominał: „Lubiłem przechadzać się wieczorami po ponurych dzielnicach warszawskiego Powiśla z chustką pod nosem i flachą eteru w kieszeni”. ©©

Tomasz Stańczyk



PAWEŁ RZEWUSKI
„GRZECZY »PARYŻA«
PÓŁNOCY». MROczne ŻYCIE
PRZEDWOJENNEJ WARSZAWY”

WYDAWNICTWO LITERACKIE

„Fakir” – egzekutor wileńskiej Armii Krajowej

Cierpliwość wszystkich czytelników, oczekujących na dalszy ciąg fascynujących losów por. Sergiusza Kościółkowskiego, została nagrodzona. Oto niedawno na rynku wydawniczym pojawił się kolejny, drugi tom biografii wspomnianego oficera AK, autorstwa prof. Tomasza Balbusa.

Największą wartością książki, będącej w pewnej mierze monografią Polskiego Państwa Podziemnego na Wileńszczyźnie, jest próba odtworzenia w najmniejszych szczegółach wydarzeń, które rozgrywały się w latach 1943–1944 na tym obszarze. Praca naczelnika Oddziałowego Archiwum IPN we Wrocławiu epatuje setkami informacji zarówno o głównym bohaterze, jego towarzyszach broni, jak i walkach toczonych przez struktury polskiej partyzantki. Warto podkreślić, że prof. Balbus nie ulega obecnie panującej modzie przedstawiania polskich uczestników bojów partyzanckich jako wykutych z brązu szlachetnych herosów. Rekonstruuje różne wydarzenia, nie ukrywa najbardziej brutalnych i bezwzględnych działań podejmowanych przez żołnierzy niepodległościowej konspiracji. W okupacyjnej rzeczywistości Polacy nie byli, bo być nie mogli impregnowani na pokusy stosowania nieuzasadnionej przemocy.

Takim namiętnościom ulegał także „Fakir”, oficer 1. i 5. Brygady AK, prowadząc w sposób bezwzględny walki z Niemcami, litewskimi formacjami policyjnymi oraz sowieckimi i żydowskimi partyzantami. Efektem tej brutalności były egzekucje wziętych do niewoli przeciwników. Przykładem jest akcja w Rudominie, kiedy to ujęci przez AK-owskich kawalerzystów dwaj Litwini zostali na polecenie „Fakira” – po uprzednim wychłostaniu szpicrutami – rozstrzelani. Czasami ofiarami podziemia padały osoby duchowne. Decyzję o likwidacji

litewskiego działacza narodowego ks. Ambrazevičiūsa Jakavonisa, oskarżanego bezpodstawnie o współpracę z Saugumą i gestapo, podjął dowódca 1. Brygady AK por. Czesław Grombczewski „Jurand”. Innym z kolei przypadkiem była egzekucja wziętych do niewoli po bitwie pod Worzianami jeńców niemieckich i ukraińskich. Jak się można domyślać, był to zapewne odruch zemsty ze strony rtm. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” za straty zadane 5. Brygadzie AK przez żołnierzy Wehrmachtu (zginęło 20 partyzantów). Wymienione przypadki nie były jed-

nostkowymi zdarzeniami. Ich eskalacja wynikała z brutalności sił okupacyjnych, chęci dokonania odwetu, emocji towarzyszących dowódcom partyzanckim...

Należy jednak podkreślić, że w wielu przypadkach strona polska postępowała stosownie do regulacji prawnych zawartych w konwencji genewskiej z 1929 r. W praktyce życia partyzanckiego oznaczało to zwalnianie branych do niewoli jeńców. Relacje podziemia z niemieckimi okupantami i ich sojusznikami nie układały się wyłącznie na stopie konfrontacyjnej. Za gest dobrej woli ze strony gestapo wypada uznać zwolnienie z więzienia „Łupaszki”, postrzeganego jako zdecydowanego przeciwnika bolszewickiej partyzantki. Co więcej, doceniając jego antysowiecką postawę, strona niemiecka przekazała Łupaszkom osiem skrzyń amunicji oraz pewną ilość materiałów opatrunkowych.

W tych kategoriach wypada potraktować również niepisane porozumienie, które zawarł dowódca 5. Brygady AK ze stacjonującymi na Wileńszczyźnie Łotyszami z Pułku Policyjnego „Ryga”. „Łupaszka” spotykał się z nimi w maju i czerwcu 1944 r. w Żukojnach i Świanach. Informacje te, a także wiele innych, znajdujemy w tej niesamowicie ciekawej książce. ©©

Arkadiusz Karbowiak



TOMASZ BALBUS
„FAKIR”
SERGIUSZ
KOŚCIÓŁKOWSKI.
WOJNA I ŚMIERĆ NA
WILEŃSZCZYZNIE”

WYDAWNICTWO IPN

Bohaterowie pani Mazzeo

Trzeba przyznać, że autorka bardzo się stara dotrzeć do faktów z dzieciństwa i młodości Ireny Sendlerowej, a szczególnie jej otoczenia z lat okupacji, gdy rozpoczęła swe heroiczne dzieło ratowania żydowskich dzieci przed zagładą z rąk Niemców. Jednocześnie dość nieudolnie fabularyzuje swą opowieść, tworzy wymaginowane dialogi oraz interpretuje czyjeś niewypowiedziane myśli. Stosuje przy tym ograny zabieg przypisywania superpozytywnych cech osobom, które lubi, i stwarzania dystansu wobec tych, które lubi niekoniecznie. Do pierwszych należy np. żydowski kochanek zamężnej Ireny (po wojnie jej następny mąż), a do drugich – Zofia Kossak czy Jan Dobraczyński. Użycie epitetów „nacionalistka” i „antysemita” w odniesieniu do tych postaci świadczy przecież nie o nich – z ich chrześcijańską miłością bliźniego – ale o „politycznej poprawności” samej pani Mazzeo. O przedwojennym getcie ławkowym pisze dużo, a o „Żegocie”, jak również np. o siostrze Matyldzie Getter – dzięki której najwięcej żydowskich dzieci znalazło azyl w zakonnych sierocińcach – właściwie tylko wspomina.

W ogóle sama powinna jeszcze dużo, dużo przeczytać (w oryginale choćby „Boże igrzysko” Normana Daviesa), zanim sama zacznie pisać o Polsce. Faktem pozostaje, że nareszcie o bohater-skich postaciach naszej historii piszą autorzy zagraniczni. Przy lekturze omawianej książki rodzi się jednak pytanie, czy zawsze powinniśmy się z tego cieszyć. ©©

Maciej Rosalak



TILAR J. MAZZEO
„DZIECI SENDLEROWEJ”
BEZ FIKCJI

Ukraina / Szok po upadku Związku Sowieckiego

Biedny bogaty kraj



Jacek Bartosiak

Ukraina to największy kraj na Starym Kontynencie, który w całości położony jest w Europie, piąty lub szósty pod względem wielkości populacji. W drugiej dekadzie XXI w. utrwalił swój status „chorego człowieka Europy”, balansując na granicy państwa upadłego, targanego wszechobecną korupcją i wzajemną walką oligarchów, niczym nieróżniących się od średniowiecznych panów feudalnych szarpiących ciało tej wielkiej przestrzeni od Donbasu do Karpat dla własnych korzyści i budowy prywatnej potęgi.

W 1991 r. Ukraina była jedną z najbiedniejszych republik sowieckich, licząc per capita. Biedniejsze były tylko: Azerbejdżan, Gruzja, Kirgistan, Tadżykistan i Uzbekistan. Tradycyjnie Ukraina była krajem rolniczym, w czasach carskich i sowieckich zasilającym imperium w żywność. Wyjątkowo dotknięta przez wydarzenia XX w., przeżyła kilka, jeśli nie kilkanaście „szoków” geopolitycz-

nych: działania wojenne obu wojen światowych prowadzone w dużej mierze na jej obecnym terytorium, koszmar wojny domowej, kolektywizację, forsowną industrializację, wielki głód, okupację niemiecką i Holokaust, wreszcie czystki stalinowskie.

Ukraina po drugiej wojnie światowej stała się republiką sowiecką. Centralnie ustalany w Moskwie Gosplan obejmował plany produkcyjne i ustalał relacje gospodarcze między centrum imperium a republikami. Gdy Gosplan się załamał, powiązania gospodarczo-finansowe między republikami zostały przecięte i nastąpił upadek gospodarki Związku Sowieckiego.

Traktowany jako całość obszar dawnego imperium sowieckiego odnotował w latach 1990–1995 spadek PKB aż o trudne do wyobrażenia 40 proc. Dla porównania Stany Zjednoczone pomiędzy rokiem 1930 a 1934, w czasie wielkiej depresji, która pogrzebała ówczesny ład globalny i ostatecznie zakończyła erę pierwszej globalizacji, straciły 27 proc. PKB. Po upadku Związku Sowieckiego wykształciły się stosunki kapitalistyczne, a to pociągnęło za sobą drastyczną redukcję wydatków na zdrowie, edu-

kację i programy społeczne, powodując powstanie ogromnych nierówności społecznych.

Towarzyszący transformacji szok ekonomiczny i gwałtowna prywatyzacja zakładów tradycyjnie charakteryzujących się nadmiernym zatrudnieniem zaburzyły dotychczasową stabilizację społeczną. Odbicie rozpoczęło się dopiero wraz z rokiem 1995. Kiedy jednak po 12 kolejnych latach, pod koniec roku 2007, 10 dawnych republik związkowych spośród 15 odzyskało poziom PKB z roku 1991 – pięć z nich (Mołdawia, Ukraina, Gruzja, Kirgistan i Tadżykistan) nie przekroczyło progu PKB z roku 1991. W tym czasie postępowała odbudowa gospodarcza Rosji, choć bardzo powoli, i dopiero w latach 2006–2007 Rosja przekroczyła próg poziomu Rosyjskiej Republiki Sowieckiej z 1991 r. Jeszcze w 2015 r. Ukraina wypracowywała zaledwie 63,4 proc. PKB z poziomu z roku 1991, podczas gdy Rosja już 119,8 proc., Białoruś 193,9 proc. (!), Litwa 139,6 proc., Łotwa 145,8 proc., Kazachstan 219 proc. (!), Turkmenistan aż 515 proc. (!), a Uzbekistan 281,2 proc. (!).

Po drugiej wojnie światowej za pomocą władzy sowieckiej dokonano istotnej

Panorama Kijowa

FOT. KATATONIA/PIXABAY



modernizacji i rekaptalizacji kopalni oraz zakładów metalurgicznych, choć oparta na rolnictwie gospodarka republiki bardzo ucierpiała przy realizacji indukowanej przez Moskwę industrializacji. W tym procesie gospodarka ukraińska stała się zależna od ropy, minerałów i taniego gazu z republiki rosyjskiej. Wewnątrz-sowieckim procesie podziału pracy zamieniała niemal darmową energię i surowce w dobrą przetworzone, których wartość była na sztucznych wewnętrznych rynkach sowieckich zawyżona w stosunku do wartości uzyskiwanej na rynku światowym. Wraz z końcem Związku Sowieckiego w porównaniu z innymi republikami Ukraina dysponowała dość dobrą i nowoczesną infrastrukturą oraz parkiem maszynowym w dobrym stanie, choć po roku 1991 zaniedbano modernizację i nie nadążano za wymogami rynków. Jednak na skutek zakrętów historii zyskała dziedzictwo w postaci podziału kraju na mówiące po ukraińsku zachód i północ oraz po rosyjsku wschód i południe.

Ponieważ przez całe dekady Rosja dostarczała Ukrainie surowce poniżej cen obowiązujących na rynkach światowych, uzależniło to stopniowo kraj od gazu

i ropy rosyjskiej. Po 1991 r. nastąpiła wspomniana wcześniej wielka dezorganizacja, ze spadkiem PKB w latach 1991–1996 od 9,7 proc. do 22,7 proc. rocznie! Z hiperinflacją i gigantycznym spadkiem produkcji przemysłowej (na poziomach nienotowanych w warunkach pokoju).

Wzrost PKB Ukraina zaczęła notować dopiero po roku 2000. Wcześniej w pełnym rozkwicie były wymiana barterowa i obrót w obcych walutach, kwitł też oczywiście czarny rynek. W wyniku oligarchizacji i feudalizacji systemu polityczno-gospodarczego kraj stracił polityczną stabilność, szerzyła się wszędybylska korupcja. To prowadziło do braku realnej konkurencji gospodarczej na rynku krajowym, braku trwałości instytucji i w ogóle braku sensowności ich budowania.

Przestrzeń fizyczna zajmowana przez państwo nie tylko zdawała się nie mieć cech obszaru rdzeniowego, zdolnego do zadaniowania swoich interesów i ich realizacji, lecz także traciła w ogóle spójność i sterowność z punktu widzenia wykonywania władzy oraz jej akceptacji przez społeczeństwo i lokalne czy regionalne mechanizmy, których szeroko pojęta lojalność wobec państwa jest warunkiem istnienia zorganizowanego organizmu państwowego.

Sześciu najbogatszych ludzi kraju w tym czasie to byli magnaci metalurgiczni, „wiszący” na taniej energii z Rosji, często pochodzący z sowieckiej kadry menedżerskiej, która prywatyzowała przemysł sowiecki, stając się jego właścicielem, a z czasem zyskując status oligarchów na skalę całego kraju.

Potem coś się zmieniło. Wraz ze wzrostem PKB w latach 2000–2007 pojawiły się na Ukrainie instytucje bankowe

W modelu geopolitycznym Ukraina osuwała się w stan, który historycznie prowadzi do rozbiorów przestrzeni chorego organizmu państwowego

z prawdziwego zdarzenia, a osiągnięty wzrost gospodarczy w procentach zaczął dorównywać wzrostowi w Rosji. Pojawił się popyt wewnętrzny, eksport na rynki Unii Europejskiej, a po 2009 r. dominujący trend eksportu do Azji. Szybko rosące gospodarki Azji kupowały produkty ukraińskich zakładów metalurgicznych.

Istniejące problemy kraju zostały zwielokrotnione w ostatniej dekadzie przez implikacje odebrania Krymu i wojny o Donbas. Nie polepsza stanu państwa masowy exodus ludzi na Zachód, w tym wielka migracja młodzieży do Polski. Dane z początku 2020 r. wskazują, że Polska ma większą populację realną niż Ukraina.

Pomimo ogromu terytorium, dostępu do portów morskich, szlaków komunikacyjnych wschód–zachód oraz przebiegu przez jej terytorium rurociągów z energią Ukraina nie jest architektem gry geopolitycznej, lecz jej przedmiotem.

W czasach sowieckich Ukraina odpowiadała za czwartą część całej sowieckiej produkcji rolnej i plasowała się na drugiej pozycji, zaraz po republice rosyjskiej, jeśli chodzi o produkcję przemysłową. Teoretycznie może więc być w przyszłości bogatym krajem. Pogląd ten ma odzwierciedlenie w analizach Banku Światowego. Żaden inny kraj europejski nie ma takich zasobów węgla (4 proc. zasobów globu), żelaza, a nawet gazu i żyznej ziemi rolnej (z której, nawiasem mówiąc, tylko połowa jest uprawiana).

Pomimo pogorszenia się za czasów sowieckich jakości słynnych ukraińskich czarnoziemów wciąż należą one do najlepszych gleb w skali świata. Populacja kraju spadła z 52 mln w 1991 r. i dalej dramatycznie spada. Za to młodzież i kadra inżynierska są świetnie wykształcone – lepiej niż w innych krajach o niskim lub średnim dochodzie. Ukraina ma także przez zachodnią granicę dostęp do rynków europejskich, co stwarza łatwość obrotu handlowego. W 2014 r. utrata Krymu i wojna w Donbasie pociągnęły za sobą spadek PKB o 6,6 proc. oraz recesję, potem nastąpił kolejny spadek PKB o 14,3 proc. w roku 2015, ale już w kolejnym roku zaliczono wzrost o 2,3 proc.

Ukraina mogłaby być bogatym krajem, ale historia uczyniła ją biedną. Jej los i bezpieczeństwo są ściśle związane z losem oraz bezpieczeństwem Rzeczypospolitej. Na dobre i na złe.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**Rafał A.
Ziemkiewicz**

Zołnierz, na bój idąc, nie w tym idzie celu, żeby go zabito” – napisał we wstępie autor książeczki, wydanej w 1887 r. w Paryżu, wyjaśniając, dlaczego publikuje swe dzieło anonimowo, jako „Z.F.M.”. I dodał: „Zresztą, rzecz sama na tym nie traci, chodzi bowiem nie o to, kto napisał, ale o to, co napisał”. Już tylko dla tych genialnych w swej prostocie i tak bardzo sprzecznych z naszymi przyzwyczajeniami zdań warto ich autora pamiętać.

Wspomnianą broszurę znalazłem niedawno w Internecie. Nosi tytuł „Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym”, a pod inicjałami Z.F.M. ukrył się Zygmunt Fortunat Miłkowski, potomek napoleońskiego oficera i sam przez większość życia jeden z owych żołnierz-tułaczy, których Jacek Kaczmarski opiewał w „Rozbitych oddziałach”. Szmat życia spędził na Bałkanach: stopień oficerski zdobył w powstaniu węgierskim, potem na czele legionu,

niosta zaś, bez przesady, iście kopernikański przewrót, odwracając schemat, w którym tkwiły wszystkie dotychczasowe usiłowania niepodległościowe (i wiele późniejszych, by przywołać nieudane „powstanie Piłsudskiego” na kielecczyźnie w 1914 r.). Przed Ligą Polską zakładano naiwnie, że istotą całej pracy jest doprowadzić do zbrojnego zrywu, a dalej już pójdzie samo: Polacy masowo stawiają się pod sztandary, a przy komendach wojskowych organizują się administracja i zaczątek państwa. Program Miłkowskiego po raz pierwszy wskazał kolejność odwrotną: najpierw zgromadzenie Skarbu Narodowego, w oparciu o niego „obrona czynna”, czyli tworzenie mnogich organizacji obywatelskich, cywilnych, niekoniecznie w ogóle wiedzących o inspirowanej ich powstanie „centralizacji”. Dopiero gdy przygotują one broń i pieniądze oraz uświadomią i zorganizują masy, i gdy nadejdzie międzynarodowa koniunktura, będzie czas na powstanie.

/ Felieton

Kopernik niepodległości

który sformował w Bułgarii, stoczył, próbując w 1863 r. przebić się na Ukrainę, jedną z nielicznych w naszej historii bitew z wojskami rumuńskimi pod Konstangalią, a Towarzystwo Naukowe Serbskie uczyniło go swym członkiem-korespondentem.

„Rzecz o obronie czynnej...” to zarys programu dla organizacji, którą Miłkowski powołał wspólnie z kilkoma byłymi powstańcami oraz przybyłym w dyskrecji z kraju kustoszem Ossolineum, Aleksandrem Hirschbergerem – Ligi Polskiej. Mającej w programie „przysposobienie wszystkich sił narodowych celem odzyskania niepodległości Polski”. Myśl, która legła u jej podstaw,

Takie połączenie romantycznego celu nadzwanego z pozytywistyczną ideą „pracy organicznej” przyciągnęło do Ligi Polskiej młode pokolenie – m.in. Zygmunta Balickiego i Jana Ludwika Popławskiego. Pierwszy zasłużył się w zorganizowaniu związku młodzieży Zet, kuźni kadr dla Niepodległej, drugi wspólnie z Romanem Dmowskim założył wpływowe pismo „Przegląd Wszechpolski”. W ten sposób żołnierz-tułacz i, o czym jeszcze nie wspominałem, wzięty literat dał początek ruchowi Narodowej Demokracji.

Właśnie literatura i przybrany na jej użytek pseudonim Teodor Jerzy Jeż dały Miłkowskiemu jakiekolwiek miejsce w polskiej pamięci. To jednak nie ten dorobek, acz objętościowo imponujący, był powodem, dla którego, kiedy po wypełnionym intensywną pracą żywocie, w sędziwym wieku 91 lat, Miłkowski zmarł w styczniu 1915 r. w Lozannie, mimo trwającej wojny z przeciwnymi krańcami świata pośpieszyli oddać mu osobiście ostatni hołd Ignacy Jan Paderewski i Henryk Sienkiewicz. ©©

Wcześniej zakładano naiwnie, że istotą pracy niepodległościowej jest doprowadzić do zbrojnego zrywu, a dalej już pójdzie samo. Liga Polska odwróciła ten schemat



Piotr Semka

/ Felieton

Dwudziestu z Wilna

W czasie zbiorowych wycieczek od obcych stolic serdecznie nie cierpię punktu programu pod tytułem „oficjalny obiad dla miłych gości w restauracji”. Oznacza to około dwóch godzin wyjętych w okolicach południa ze zwiedzania miasta. Jeśli to możliwe, to wówczas grzecznie dziękuję za ten punkt programu i wyskakuję zwiedzić jakiś upatrzonej wcześniej obiekt. Gdy w styczniu byłem w Wilnie z grupą polskich dziennikarzy, tym upatrzonym celem stał się Dom Sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości Litwy z 16 lutego 1918 r.

To skromna kamieniczka przy wileńskiej ulicy Zamkowej, dziś Pilies Gatvé. Tutaj zebrała się Lietuvos Taryba, czyli Litewska Rada Państwowa, aby w lutym 1918 r., jeszcze pod okupacją niemiecką, odnowić państwowy byt Litwy. Dlaczego zebrali się w tak mało reprezentacyjnej kamieniczce? Ponieważ jako siedziba litewskiego komitetu pomocy ofiarom

języka litewskiego, literaci i trzech księży. Wydawali się albo grupą fantastów, albo – z punktu widzenia Polaków – użytecznymi narzędziami niemieckich intryg. Swój egzamin na powagę i skuteczność zdali dopiero, gdy stworzyli niepodległą Litwę, choć dokonali tego pod parasolem niemieckim. Pierwszym prezydentem nowego państwa został Antanas Smetona, jeden z sygnatariuszy deklaracji. Polaków zaciekać może, że w tym gronie znalazł się Stanisław Narutowicz, starszy o trzy lata brat Gabriela Narutowicza, który chciał występować jako pośrednik między Litwinami a Polakami.

Zadałem sobie trud, aby prześledzić późniejsze losy wszystkich 20 sygnatariuszy deklaracji niepodległości. Pięciu najstarszych zmarło jeszcze w okresie międzywojennej Litwy. Czterech odeszło ze świata podczas drugiej wojny światowej. Sześciu aresztowało wreszcie NKWD. Z tej grupy aż czterech – Kazys Bizauskas, Donatas Malinauskas, Vladas Mironas i Pranas Dovydaitis – zostało zdrę-

/ Późniejsze losy sygnatariuszy deklaracji niepodległości Litwy z 1918 r. **ilustrują dramat całego kraju**

wojny należała do paru budynków, którymi dysponowali zwolennicy odrębności od Polski.

Pozycja rdzennych Litwinów w ówczesnym Wilnie nie była mocna. Niemcy wspierali litewski ruch narodowy, aby mieć w zanadrzu instrument do szachowania Polaków, którym nie do końca ufali. A Litwini byli słabi i to oni zaproponowali Berlinowi, aby z terenów litewskich stworzyć królestwo z wittenberskim arystokratą, księciem Wilhelmem Karolem von Urachem na tronie jako Mendogiem II. Polacy na Litwie patrzyli na to z mieszaniną ironii i złości. Nic dziwnego, że – jak wspominała moja babcia, rodowita wilnianka – niechętnie kpiono wtedy z nazwy rady, żartując: „Ta-ryba nie pachnie zbyt świeżo”.

Dzisiaj, krążąc po salach Domu Sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości, widzę, że spora część tamtej rady stworzyła niepodległą Litwę. Wtedy, w lutym 1918 r., nie byli to ludzie wysoce usytuowani. Biedujący adwokaci, dziennikarze, paru szlachciców zagrodowych, badacze

czonych w łagrach. Kolejnych dwóch dożyło w gułagu śmierci Stalina i mogło wrócić do rodzinnego Kowna. Byli to Aleksander Stulginiś, drugi prezydent Litwy (z lat 1922–1926), i Petras Klimas, przedwojenny ambasador w Paryżu. Pozostali uciekli za granicę i byli aktywnymi działaczami niepodległościowej emigracji. Był w tej grupie prezydent Smetona. Opuścił on Litwę cichcem w czerwcu 1940 r., tuż po decyzji rządu w Kownie o niestawieniu oporu Sowiecom w chwili aneksji litewskiego państwa. Wielu Litwinów odebrało jego wyjazd z kraju jako niehonorową ucieczkę. Jego obrońcy pytają: A co, miał zostać i trafić do łagru jak Stulginiś?

Tak więc z sygnatariuszy deklaracji niepodległości z 1918 r. – żyjących w 1940 r. – czterech zmarło na Litwie z przyczyn naturalnych w czasach wojny, sześciu aresztowało NKWD, a pięciu schroniło się na emigracji. Ich losy były jak tragedia XX-wiecznej Litwy w pigułce. ©



Tomasz Stańczyk

Warszawa i Wilno były stolicami Rzeczypospolitej. Ale stolicą nazywano też Grodno

Już czternaście tomów
liczy znakomita seria
„Kresowa Atlantyda”.
Historia i mitologia miast
Kresowych” prof. Stani-
sława Sławomira Nicieja.

Mityczna Atlantyda przestała
istnieć w wyniku katastrofy. To
samo stało się z polskimi Kresami
Wschodnimi. Katastrofą były
druga wojna światowa, depoloni-
zacja – deportacje lat 1940–1941
– i tzw. repatriacja oraz zmiana
granic. Profesor Nicieja dokokuje
wielkiej pracy, zbierając okruchy
kresowej Atlantydy, wspomnienia
jej mieszkańców, zdjęcia, przy-
wołuje dla naszej pamięci obrazy
miast, miasteczek, niekiedy wsi.
Pisze żywą opowieść o umarłych czasach.
Jak zawsze jest to opowieść nie tylko
o miejscach, lecz także o ludziach z nimi
związanych.

„Kresowa Atlantyda” była – dotychczas
– cyklem poświęconym ziemiom, które
dziś należą do Ukrainy. Biorąc do ręki
kolejne książki z tej serii, zastanawiałem
się, czy ktoś podejmie się tak wielkiego
dzieła jak prof. Nicieja w stosunku do
dawnych ziem Rzeczypospolitej, obecnie
wchodzących w skład Białorusi, Litwy
i Łotwy. I oto niedawno pojawił się taki
autor. A jest nim... prof. Nicieja. Z radością
więc odnotowuję to, że twórca „Kresowej
Atlantydy” wkroczył na ziemię dawnego
Wielkiego Księstwa Litewskiego. Trzyna-
sty tom „Kresowej Atlantydy” opowiada
przede wszystkim o Grodnie, a także
o Wołczynie, Starych Wasiliszkach, Żo-
łudku, Mostach i Druskienikach.

Miasto sejmów

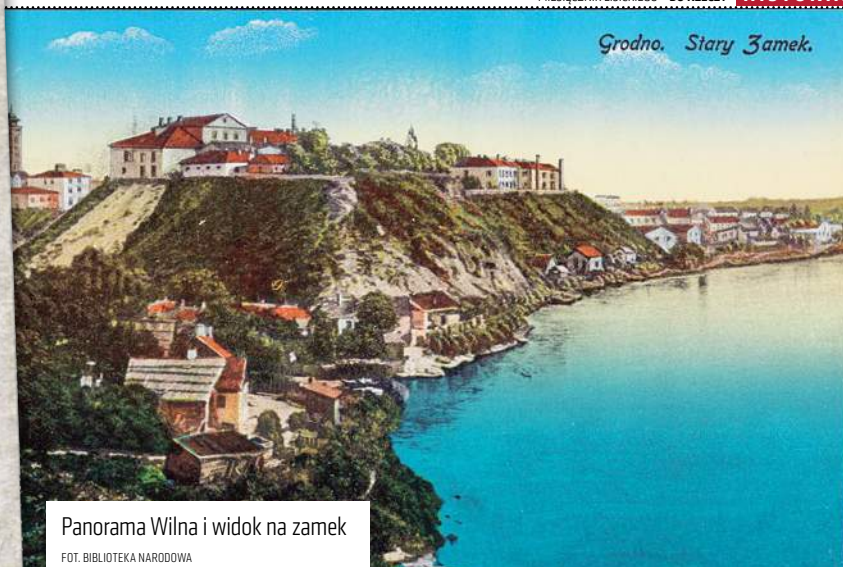
Grodno było, zaraz po Lwowie i Wil-
nie, najważniejszym miastem Kresów



Kresowa Atlantyda /

Grodno, Wołczyn, Stare
Wasiliszki, Żołudek, Mosty
i Druskieniki

Wokół grodu Batorego



Wschodnich. Co ważniejsze, uważano to miasto – jak przypomina prof. Nicieja – za trzecią, po Krakowie i Wilnie, stolicę Rzeczypospolitej. W 1673 r. posłowie uchwalili, że co trzecie posiedzenie Sejmu będzie odbywać się w mieście nad Niemnem. Wcześniej jednak uczynił z Grodna faktyczną stolicę – podczas wojny o Inflanty – król Stefan Batory. Przyczynił się tym do rozwoju miasta, nakazał rozbudowę zamku. Autor nie pomija okazji, by przypomnieć hipotezę o otruciu Batorego i opowiedzieć o słynnym obrazie Matejki „Batory pod Pskowem”.

Profesora Nicieję interesuje nie tylko szczęk broni, lecz także hałas maszyn. Dlatego poświęca równie wiele miejsca rzutkiemu biznesmenowi XVIII w., Antoniemu Tyzenhauzowi, stwierdzając, że postać ta została niemal zapomniana, a w każdym razie zmarginalizowana. Jest to – jak stwierdza autor – „nieszczęsnym następstwem praktyki w porzoborowej Polsce, gdy bohaterów szukało się głównie wśród wojskowych. Rzeczywiście taki był wówczas klimat, ale teraz mamy inny, bardziej sprzyjający postaciom takim jak Tyzenhauz. Na

przedmieściach Grodna założył on nowe miasto, z teatrem, ogrodem botanicznym, instytutem lekarskim i szkołą weterynaryjną. W Grodnie i okolicy wybudował kilkadziesiąt fabryk i manufaktur”. Wspaniałe przedsięwzięcia Tyzenhauza zostały zniweczone przez intrygi...

Grodnu przypadł w udziale smutny udział goszczenia

ostatniego Sejmu Rzeczypospolitej z udziałem króla. Zamek w Grodnie stał się jej „domem pogrzebowym”. Autor przypomina, trwające zresztą do dziś, spory o ocenę Stanisława Augusta, stwierdzając, że nie ma bardziej kontrowersyjnej postaci w polskiej historii.

Z Grodna niedaleko do Wołczyzna i tam właśnie prowadzi czytelnika autor, gdyż tam właśnie nie tylko się urodził Stanisław August, lecz także został – potajemnie! – pochowany decyzją polskich władz w 1938 r. Profesor Nicieja opisuje burzliwą dyskusję, którą wywołał ten fakt. Żywo spierano się na łamach prasy, czy ostatni król ma nadal spoczywać w Wołczyźnie, ma prawo do Wawelu, a może powinien zostać pochowany w katedrze św. Jana w Warszawie. Oczywiście zamieszczona w książce fotografia kościoła w Wołczyźnie, który przez wiele powojennych dziesięcioleci był ruiną grożącą zawaleniem. Na szczęście został odbudowany.

Grodno to także miasto Elizy Orzeszkowej, urodzonej w niedalekiej Milkowszczyźnie. Mieszkała w Grodnie łącznie 41 lat i – jak pisze autor – stała się symbolem polskości i legendą tego

miasta, „magnesem przyciągającym do Grodna wybitne postacie”, a byli wśród nich: artyści, pisarze, dziennikarze, finansiści i przedsiębiorcy.

W Grodnie powstało wiele jej powieści, w tym „Nad Niemnem”, którą prof. Nicieja nazywa – bardzo trafnie – narodowym eposem, równym „Trylogii”. Swoją drogą wieczne narzekania na długie opisy przyrody, dziś – w dobie walki o środowisko i zachowanie pierwotnej natury – nie mają sensu. Pisząc o „Nad Niemnem”, autor robi, rzecz jasna, wycieczkę do Samostrzelec, które według legendy nazywały się Bohatyrowicze. Znajdowały się tam dwa głazy z napisem: „Jan i Cecylia”. Mieli to być przodkowie rodu Bohatyrowiczów. Legenda o Janie i Cecylii zainspirowała Orzeszkową do napisania „Nad Niemnem”. Gdy zmarła w Grodnie, żegnała ją 15 tys. osób! Do dziś w mieście znajduje się postawiony jeszcze przed wojną pomnik pisarki. Orzeszkowa to jedna z tych postaci, obok Kościuszki, Mickiewicza i Ordy, która nie została wyrzucona z białoruskiej pamięci.

Nie pozostał ślad po pałacyku O'Brien de Lacy w grodzieńskim Augustówku. Tym bardziej więc autor przypomina niezwykłą historię tej rodziny obcego pochodzenia, która się spolonizowała, co uczyniła też rosyjska księżniczka Nadzieja Drucka, która wyszła za Maurycego O'Brien de Lacy.

„Nie znała języka polskiego, a po kilku latach stała się żarliwą polską patriotką i bardzo płodną polską pisarką” – stwierdza autor. Na spotkania organizowane przez założone przez panią Nadzięę w 1925 r. Towarzystwo Przyjaciół Literatury i Sztuki im. – a jakże – Elizy

Orzeszkowej przyjeżdżała elita polskich prozaików i poetów.

Najbliżej miała Zofia Nałkowska, gdy przez kilka lat mieszkała w Grodnie. Sławomir Nicieja opisuje jej toksyczne małżeństwo z Janem Jurem-Gorzechowskim, swoją drogą słynnym bojowcem PPS, i przywołuje opinię Hanny Kirchner, według której pisarka „Granicy”, swojej najbardziej znanej powieści, sportretowała właśnie Grodno i swoje ówczesne małżeńskie przeżycia. Pisarka należała do Patronatu Więziennego i odwiedzała odbywających kary pozbawienia wolności w Grodnie, a relację o tym zamieściła w swoich dziennikach.

Jakby chcąc zmazać złe wspomnienia o ostatnim Sejmie Rzeczypospolitej, Grodno we wrześniu 1939 r. wykazało się bohaterstwem, broniąc się przed oddziałami Armii Czerwonej. Grodno – bo w walkach wzięli udział nie tylko żołnierze, lecz także ludność cywilna, w tym szczególnie młodzież. Były więc m.in. „Orlęta Grodzieńskie”. Tak właśnie zatytułował autor jeden z rozdziałów książki, przytaczając w nim wstrząsający opis walk i śmierci jednego z Orląt, zamieszczony w książce „Jeśli o nich zapomnę...” Grażyny Lipińskiej, dyrektorki jednej z grodzieńskich szkół i uczestniczki obrony miasta. Stanisław Nicieja przypomina, że gen. Władysław Sikorski obiecał nadać Grodnu krzyż Virtuti Militari. Niestety, nie uczynił tego...

W każdej książce z serii „Kresowa Atlantyda” prof. Nicieja przedstawia historię rodzin. W tej, poświęconej Grodnu, pisze o Kondratowiczach, których groby znajdują się na miejscowym cmentarzu. Grodzieński aptekarz Ludwik Kondratowicz był stryjem Ludwika Kondratowicza, poety i pisarza, publikującego pod nazwiskiem Władysław Syrokomla. Dzisiaj jest on raczej zapomniany, lecz – jak stwierdza autor – był w XIX w. popularny na Litwie i Polesiu tak samo jak Mickiewicz i Słowacki. War-



Eliza Orzeszkowa

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

to jednak dodać, że niemal reporterskie szkice historyczne Syrokomla „Wędrowki po moich niegdyś okolicach” są wciąż ciekawą lekturą. A praprawnikiem poety był także poeta – Janusz Kondratowicz, autor tekstów tak znanych piosenek jak „Powiedz stary, gdzieś ty był”, „10 w skali Beauforta”, „Trzynastego”.

Po drugiej wojnie światowej większość Polaków opuściła Grodno w ramach akcji zwanej „repatriacją”. Wśród nich byli m.in.: Jerzy Maksymiuk, wybitny dyrygent, Zbigniew Dziewiatkowski, założyciel niegdyś bardzo popularnego Tercetu Egzotycznego, Robert Mucha, świetny kierowca rajdowy, Lesław Skinder, znany dziennikarz, komentator sportowy.

W 1958 r. wyjechał z sowieckiej Białorusi Czesław Wydrzycki, czyli Czesław Niemen. Był jednym ze 100 tys. Polaków, którzy wówczas opuścili Kraj Rad.

Starym Wasiliszkom, gdzie się Niemen urodził, i jemu samemu autor poświęcił osobny rozdział. Stanisław Nicieja pisze o reakcji Niemena na nazwanie utworu „Bema pamięci żałobny rapsod” polską awangardą rockową. Powiedział on: „Przypomniałem sobie ceremonie pogrzebowe z moich kresowych regionów. Siadłem do organów i odleciałem w smętne, acz piękne rejony... To nie awangarda rockowa, tylko Wasiliszki”. A w Starych Wasiliszkach niemal od 10 lat istnieje muzeum Niemena – w jego rodzinnym domu – powstałe z inicjatywy Uładzimira Seniuty, wielbiciela jego talentu i twórczości.

Mosty ze sklejki

Kresy Wschodnie widziane są albo sentymalnie, albo poprzez pryzmat polskiej martyrologii (sowieckie deportacje, rzeź wołyńska). Można jednak – i nawet trzeba zauważyć, jak robi to zawsze prof. Nicieja w „Kresowej Atlantydzie” – nie tylko rycerzy „ze stepowych stanic”, powstańców, żołnierzy, lecz także przedsiębiorców, twórców oraz dyrektorów fabryk i zakładów, które zyskały wielką renomę, wykraczającą poza granice Polski. Do nich należą bracia Konopaccy, o których autor pisze w rozdziale „Mosty – banalna historia i niebanalna nazwa”, przypominając m.in. świetny reportaż Agnieszki Rybak „Świat ze sklejki” z książki „Wieża Eiffla nad Piną”, której jest współautorką.

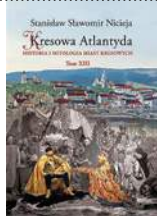
Trzej bracia Konopaccy zbudowali w dwudziestolecie międzywojennym w Mostach fabrykę sklejki i dykty. Te produkty kresowej fabryki zyskały międzynarodowe uznanie.

Sklejka lotnicza od Konopackich posłużyła do budowy słynnych samolotów RWD-6 wygrywających zawody Challenge. Na RWD-5 bis Stanisław Skarżyński dokonał rekordowego przelotu przez Atlanty.



Józef Piłsudski w Druskenikach

FOT. NAC



STANISŁAW SŁAWOMIR
NICIEJA
„KRESOWA ATLANTYDA”, T. XIII
WYDAWNICTWO MS

Jeden z inżynierów fabryki Konopackich, Władysław Czerwiński, wykorzystując zdobyte w Mostach wiedzę i doświadczenia z zastosowania sklejki lotniczej, pracował przy konstrukcji niezwykle udanego samolotu bojowego De Havilland Mosquito o drewnianej konstrukcji. Konopaccy inwestowali nie tylko w maszyny, lecz także w pracowników. Zbudowali osadę dla pracowników, ze szkołą, z apteką, biblioteką i kinem.

Drusieniki to już podróż na Litwę. Historia tego kurortu także wiąże się z biznesmenem. Kupił go bowiem Antoni Jaroszewicz, przemysłowiec i finansista, a musiał sprzedać z powodu nacisku władz państwowych. W tle była także próba wyłudzenia łapówki od Jaroszewicza.

Położone nad Niemnem Drusieniki nazywano „leśną stacją klimatyczną”. Niedługo przed wojną mieściły się tam 42 pensjonaty i ok. 30 dworców. Najbardziej znanym kuracjuszem był Józef Piłsudski, mieszkający zresztą w kurorcie w bardzo skromnych, niemal spartańskich warunkach. Nie było wielkich luksusów w domku, które władze Drusienik wybudowały dla Marszałka. Domek ten nie istnieje, został rozebrany za czasów sowieckich w ramach zacierania pamięci o Polsce i Polakach na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej.

W Drusienikach Piłsudski poznał o wiele od siebie młodszą dr Eugenię Lewicką, która bardzo przyczyniła się do rozwoju i modernizacji uzdrowiska oraz utworzyła Zakład Leczniczego Stosowania Słońca i Powietrza. W kwestii tego, co naprawdę łączyło Marszałka i panią doktor, skazani jesteśmy na domysły i tak rzecz przedstawia autor. Zapewne sprawa się wyjaśni, jeśli odnajdą się albo zostaną ujawnione listy Piłsudskiego do Lewickiej, a wiadomo, że istniały i zostały wywiezione z Polski.

Rozdział o Drusienikach kończy XIII tom serii „Kresowa Atlantyda”. Oby Stanisław Nicieja, nie porzucając południowo-wschodnich ziem II Rzeczypospolitej, kontynuował swoją opowieść o kresach północno-wschodnich!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Epidemia hiszpanki w Galicji



Tomasz Stańczyk

W latach 1918–1920 szalała na ziemiach polskich pandemia grypy hiszpanki. Liczba zgonów była bardzo wysoka, nieporównywalna z dzisiejszą pandemią COVID-19. W apogeum ataku hiszpanki, w krytycznym tygodniu stycznia 1920 r., tylko w Warszawie zmarło 156 osób! A podczas pierwszego miesiąca obecnej pandemii zmarły w całej Polsce 73 osoby.

W Stanisławowie hiszpanka nasiliła się we wrześniu 1918 r. Na początku października odbyła się narada władz miasta, lekarzy i inspektorów szkolnych. Stwierdzono, że śmiertelność wśród chorych na hiszpankę nie jest wysoka, wynosi ok. 3 proc. W klasach chorowało od 14 do 43 proc. uczniów. Na wniosek lekarza powiatowego szkoły zostały zamknięte na dwa tygodnie.

Magistrat Stanisławowa uspokajał, że pogłoski o zastraszającym przebiegu i nasileniu się hiszpanki nie są zgodne z prawdą, gdyż na grype zmarło w ciągu miesiąca 37 osób. Tylko 37 osób, jak zdawały się sugerować władze miasta. Informowano, że najwięcej zarażeń następuje u podróżujących koleją, w kinach, kawiarniach i innych pomieszczeniach zamkniętych. Radzono więc unikać podróży, a pomieszczenia dobrze wietrzyć. Zalecano płukanie ust środkami dezynfekcyjnymi, a w razie ich braku wodą z solą, gdyż zarazki dostawały się przez usta i gardło.

Hiszpanka zbierała śmiertelne żniwo także we Lwowie. Tylko jednego dnia, 24 października, zmarło 11 osób, w wieku od 13 do 35 lat. W przeciwieństwie do dzisiejszej epidemii hiszpanka atakowała ludzi młodszych, między 20. a 40. rokiem życia. Jedną z ofiar była 32-letnia Maria Bandrowska, żona lekarza. „Kurier Lwowski” pisał o niej z szacunkiem, że na łożu śmierci ofiarowała 10 tys. koron na skarb „odrodzonej Polski, zjednoczonej i niepodległej”.

We Lwowie ociągano się z wprowadzeniem ograniczeń mogących zahamować epidemię. Kina, teatry działały w najlepsze, odbywały się zebrania i zgromadzenia publiczne. Szkoły zamykano dopiero, gdy w klasach z powodu hiszpanki brakowało więcej niż połowy uczniów. Ostatecznie szkoły zostały zamknięte na tydzień, potem uczniowie wrócili do klas. Epidemia rozwijała się jednak nadal, więc znów wysłano ich na tydzień do domu. Galicyjska krajowa rada zdrowia uspokajała, że choć zaraźliwość grypy jest bardzo duża, to śmiertelność nie sięga nawet 1 proc. Rada nie zalecała zamykania szkół, lecz niedopuszczanie do tego, by do klas wracali niewyleczeni do końca uczniowie, oraz unikanie większych zbiorowisk ludzkich. Jednak „radykalne zarządzenia przeciw zbieraniu się ludzi w większe skupienia byłyby bez zatrzymania biegu całego życia społecznego nie do przeprowadzenia i nie są też rodzajem obecnej epidemii i ciężkością choroby wskazane”.

„Kurier Lwowski” apelował, by zamknąć kina, gdyż ludzie w nich „tłoczą się jak śledzie w beczce”, ale uważał, że w teatrach „publiczność nie jest narażona na bezpośrednią styczność ze sobą”... Radni lwowscy w ostatnich dniach października 1918 r. wezwali zarząd miasta do zamknięcia kin, teatrów, zabronienia widowisk publicznych. Jednak 1 listopada Ukraińcy dokonali zamachu na miasto, rozpoczęły się walki i sprawa hiszpanki odeszła na daleki plan. © ©



Maciej Rosalak

/ Gromił Szwedów i Moskwę, zyskiwał poparcie szlachty, ale z pamięci potomnych wyparli go Czarniecki, Sienkiewicz i rzeź pod Mławami

Wedle legend rodowych Lubomirscy wywodzą się ze Szreniawitów, żyjących za czasów Mieszka I nad Szreniawą – lewym dopływem Wisły – na północny wschód od niedaleko położonego Krakowa. Z kolei nazwisko pochodzi od Piotra, który w XV w. był dziedzicem Lubomierza w Nowosądeckiem. Od tamtej też pory tworzy się materialna podstawa znaczenia Lubomirskich, dzierżawiących od króla żupy solne w Małopolsce i zakładających prywatne szyby.

Takim szybem była Kunegunda w Sierczy koło Wieliczki – dzieło Sebastiana Lubomirskiego (1546–1613), żupnika krakowskiego od 1581 r. On to jako kasztelan małogoski wszedł do Senatu (1591), a od cesarza Rudolfa II otrzymał tytuł hrabiego na Wiśniczu (1595). Handel solą był w średniowieczu niezwykle opłacalny, a popyt wynikał z możliwości konserwowania mięsa i ryb. Zysk z handlu i udzielania intratnych pożyczek Lubomirscy obracali na zakup nowych włości – głównie w zachodniej i we wschodniej Małopolsce.

To z kolei ułatwiało korzystne mariaże w sferach magnaterii, np. ożenek Stanisława (1583–1649) z Zofią Ostrogską, co przyniosło rodowi 18 miast, 313 wsi i 163 folwarki. Za jego czasów fortuna Lubomirskich stała się jedną z trzech największych w Rzeczypospolitej. Obejmowała m.in.: Nowy Wiśnicz, Bochnię, Wieliczkę, Łańcut, Baranów, Puławę, Rzeszów, Równe, Tarnów, Jarosław, Przeworsk, Janowiec nad Wisłą. „Jam nie z soli ani z roli...” – powie w 1657 r. Stefan Czarniecki, rozgoryczony powierzeniem hetmańskiej buławy nie jemu, ale Jerzemu Sebastianowi Lubomirskiemu.

Portret konny Jerzego Sebastiana Lubomirskiego

FOT. MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III
W WILANOWIE



1616–1667 /

Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej – Jerzy Sebastian Lubomirski herbu Szreniawa

Talent wodza i grzech rodaka

Zwieńczeniem politycznego znaczenia Stanisława Lubomirskiego były nadania licznych starostw i urzędów koronnych, z wojewodą ruskim oraz wojewodą krakowskim na czele, a także tytuł księcia otrzymany od cesarza Ferdynanda III (1647). Natomiast wielką chwałą okrył on siebie i swój ród, gdy jako regimentarz wojsk koronnych i litewskich dowodził obroną Chocimia po śmierci Jana Karola Chodkiewicza w 1621 r. Mając u boku męznego królewicza Władysława, potrafił doprowadzić do końca dzieło wielkiego hetmana i wytrwać wraz z żołnierzami do zwycięskiego końca. Stanisław miał wtedy 38 lat i od pięciu lat był ojcem naszego bohatera – Jerzego Sebastiana.

CV marszałka polnego

Henryk Sienkiewicz charakteryzował Jerzego Lubomirskiego następującymi zwrotami („Potop” t. II, rozdz. 25): „Był to mąż w sile wieku, postawy wspinał się w tej twarzy [...]”. Wielka powaga, ale przy tym niesłychana pycha i próżność malowały się w tej twarzy [...]. Gdzie tylko Jerzy Lubomirski nie zdołał zająć najwybitniejszego miejsca, gdzie mógł tylko dzielić się z innymi sławą i zasługą, tam rozdrażniona jego duma gotowa była położyć się w poprzek i popsuć, złać wszelkie zabiegi, choćby o zbawienie ojczyzny chodziło... Był to wódz szczęśliwy i biegły, ale i pod tym względem przewyższali go inni niezmierznie [...]. Stąd wyrosła się podejrzliwość, zazdrość, które później doprowadziły go do tego, że dla Rzeczypospolitej stał się nawet od straszniejszego Janusza Radziwiłła zgubniejszym [...]”.

Przyszedł na świat w Wiśniczu (1616) i po wstępnej edukacji jako 13-letniego chłopca wysłano go wraz ze starszym bratem Aleksandrem do Bawarii, aby pobierali nauki w Ingolstadt. Od 1631 r. uczyli się na uniwersytetach w Lowanium (Niderlandy Hiszpańskie) i w Lejdzie. Następnie odwiedzili dwory w Anglii, we Francji i w Hiszpanii, a wreszcie – Włochy. Uczyli się języków, retoryki, gramatyki, matematyki, ale też sztuki fortyfikacji. Zaowocowało to następnie zarówno próbami literackimi, jak i nieomałymi osiągnięciami wojskowymi.

Od razu po powrocie do kraju 20-letni Jerzy Sebastian poświęcił się służbie

publicznej, od sejmików ziemskich poczynając, a na wielokrotnym posłowaniu oraz marszałkostwie Sejmu w 1643 r. kończąc. Zyskał znaczną popularność wśród szlachty, której interesów bronił. Podobnie jak ojciec otrzymał liczne urzędy starostów i wojewody krakowskiego.

W 1648 r. został elektorem Jana Kazimierza z województwa krakowskiego. Dwór korzystał wielokrotnie z jego talentów dyplomatycznych podczas negocjacji z Watykanem, Moskwą, Wiedniem, Kozakami i ze Szwedami. W 1655 r. jako jeden z nielicznych magnatów nie złożył przysięgi Karolowi Gustawowi podczas szwedzkiego potopu, ale prawowitego monarchę wprowadził z powrotem do kraju.

Króla popierał i wchodził z nim w ostre konflikty. W 1650 r. został marszałkiem wielkim koronnym za mężną postawę podczas bitwy pod Zborowem, ale później dwukrotnie naraził się królowi, atakując z pobudek osobistych Hieronima Radziejowskiego. Wreszcie wystąpił w latach 60. przeciw dążeniom do wzmocnienia władzy królewskiej (konceptji vivente rege), spiskował przeciw królowi i został skazany na śmierć przez sąd senacki. Uszedł z kraju, porozumiewał się ze Szwedami i z Brandenburczykami, zorganizował rokosz przeciw Janowi Kazimierzowi i w końcu wygrał z nim bitwę pod Mątwami (1666), choć miał siły mniejsze i złożone w dużej części z pospolitego ruszenia. W boju padło po 200–300 wojowników z obu stron, ale 3,5 tys. jeńców podkomendni Lubomirskiego zamordowali w dziki sposób, na oczach ich towarzyszy wypartych na drugi brzeg Noteci.

Pokrótkie wymienimy jednak jego orężne zasługi w obronie Rzeczypospolitej. Wojny kozackie zaczęły się i dla niego niesławna ucieczka pod Piławcami (1648), ale zrehabilitował się w pełni zarówno pod Zborowem (1649), jak i pod Beresteczkiem (1651), gdzie stanął na



Obleżenie obozu rosyjskiego pod Cudnowem na włoskiej ilustracji z XVII w. FOT. DOMENA PUBLICZNA

czele własnych chorągwi. Wielką rolę odegrał podczas potopu szwedzkiego (1655–1660), gdy wdzięczny Jan Kazimierz uczynił go wodzem tworzącej się armii. Po wyparciu Szwedów z centralnej Polski i Wielkopolski zadał klęskę Siedmiogrodzianom Rakoczego pod Czarnym Ostrowem (1657) i otrzymał buławę hetmana polnego koronnego. Następnie odbił z rąk szwedzkich Toruń (1658) i Prusę. Potem ruszył przeciw Moskwie okupującej nasze kresy. Tu – podczas kampanii cudnowskiej – potwierdził kunszt wojskowy najwyższej próby.

Cudnow A.D. 1660

Po pięciu latach od najazdu moskiewskiego na Rzeczpospolitą, 28 czerwca 1660 r., Stefan Czarniecki rozbił pod Połonką armię Iwana Chowańskiego na Wileńszczyźnie. Rozstrzygnięcie działań wojennych nastąpiło natomiast jesienią na ukraińskiej Żytomierszczyźnie. Wojska koronne pod dowództwem hetmanów koronnych: wielkiego – Stanisława Rewery Potockiego, oraz polnego – Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, liczące niespełna 30 tys. żołnierzy wraz z 15 tys. Tatarów, starły się tu z 50-tysięczną armią pod wodzą moskiewskiego wojewody Kijowa Wasyla Szeremetiewa. W jej ramach Rosjan wspierali Kozacy zadnieprzańscy Tymofiej Ciecziury.

Bitwą pod Cudnowem – gdzie na początku listopada poddali się osaczeni przez Polaków Moskwicini – przyjęło się nazywać całą trwającą dwa miesiące kampanię. Wcześniej jednak doszło do krwawej dla Rosjan, kilkunastodniowej

■ bitwy pod Lubarem i nieudolnej przeprawy całej ich armii przez rzekę Iber. Straty Moskwiczinów i nasilająca się dezercja Kozaków spowodowały, że w obozie pod Cudnowem pod rozkazami Szeremietiewa stawilo się już tylko 32 tys. zbrojnych. Obóz polski wzmocniono fortyfikacjami przypominającymi swym kształtem olbrzymią pajęczynę, gdzie tkwiła osaczona armia wroga, któremu zaczęło brakować żywności. Na jej odsiecz zmierzało 20-tysięczne wojsko zaporoskie pod wodzą Jerzego Chmielnickiego (najmłodszego syna nieżyjącego od trzech lat Bohdana). Połączenie obu wrogich armii groziło naszą klęską.

Mimo obaw hetmana wielkiego, że rozdzielenie sił może doprowadzić do wyrwania się osaczonych armii Szeremietiewa, przyjęto plan hetmana polnego, wydzielono ok. 15 tys. żołnierzy – w tym 2 tys. piechoty oraz 5–6 tys. Tatarów – i dywizja Lubomirskiego ruszyła przeciw Chmielnickiemu pod Słobodyszczę. Przyjrzyjmy się bliżej tej decydującej bitwie cudnowskiej batalii.

7 października Lubomirski dotarł nad rzeczkę Hniłopat, otaczając ją bagnisty teren, zrujnowane miasteczko i obóz kozacki na wzgórzu. Nagłym przybyciem zaskoczył Kozaków. Z rozkazem do natarcia na bronioną przez 1,5 tys. Kozaków przeprawę poczekał jednak na przybycie artylerii. Po dwóch godzinach rozkaz wykonano dzięki ogniewi artylerii i atakujących dragonów oraz Tatarom, którzy pojawili się na „kozackim” brzegu, przechodząc bród na północ od Słobodyszczy. Padł tylko jeden zabity i sześciu rannych dragonów, podczas gdy Kozaków zginęło 40. Następnie po zdobytym moście przeszły trzy pułki polskiej jazdy (w tym pułk Jana Sobieskiego) i wyparły nieprzyjaciela z ruin miasteczka.

Wtedy hetman przeprowadził wszystkie swe siły i ustawił je następująco: w centrum stała piechota i dragonia, na prawym skrzydle pułki Aleksandra Lubomirskiego i Sokolnickiego oraz regiment rajtarii barona de Oedt, a na lewym – sprzyjającym rozwinięciu szturmowi – pułki polskiej jazdy Stanisława Lubomirskiego i Sobieskiego, za nimi zaś: sprzymierzeni z nami Kozacy Wyhowskiego i rajтары Zamoyskiego.



Rajtary moskiewski uzbrojeni w rapier i pistolet, w kirysie zamawianym za granicą

RYS. MAREKSZYSZKO

W odwodzie pozostał pułk Dymitra Wiśniowieckiego.

Tatarzy odcięli wojskom kozackim drogę odwrotu, ale ich atak na obóz kozacki został odparty. Bagnisty teren i wyniosłości uniemożliwiające szarżę skłoniły Sokolnickiego do obejścia pozycji kozackich. W centrum cztery kompanie dragonii wdarły się do obozu, a postępująca za nimi piechota zdobyła działa i obróciła je na będących w nieładzie Kozaków. Na lewym skrzydle pułki polskiej husarii rozerwały tabor. Jedna z nich dotarła aż pod namiot Chmielnickiego. Uciekający w panice Kozacy znaleźli się na skraju sromotnej klęski, ale – niestety! – polscy piechurzy zamiast kontynuować atak, rozpoczęli rabunek obozu. Wtedy Kozacy opamiętali się i tak wściekle kontratakowali, że nie pomogła nawet interwencja naszego odwodu. Polacy opuścili zdobyte pozycje i z dotkliwymi stratami wrócili do obozu.

Na prawym skrzydle Sokolnicki znalazł się w wąskim przesmyku między moczarami a obozem kozackim i w silnym ogniu z taboru zdecydował się na szarżę. Akurat wtedy, gdy centrum i lewe skrzydło polskie były już w odwrocie. Pomimo tego husaria wtargnęła do obozu, ale przewaga liczebna zdecydowanie do walki Kozaków była zbyt duża. Husarze zostali rozbici, a ich raniowy dowódca ledwo zdołał uciec przed bagnami. Rozwścieczony utraconym przez chciwość podkomendnych zwycięstwem hetman dwukrotnie porządkował szyki

i w zapadających ciemnościach rzucał swe wojska do szturmów. Bez powodzenia. Straty polskie wyniosły 150 zabitych oraz 400–500 rannych. Kozacy stracili 200 zabitych i 500–600 rannych. Tatarów padło 300 zabitych i 300 rannych. Mimo to Polacy zyskali tu zarówno taktyczną, jak i strategiczną przewagę.

Następnego dnia Lubomirski, wezwany przez hetmana wielkiego, zablokował wojska Chmielnickiego ordą i kilkoma chorągwiami jazdy, a z pozostałymi wrócił pod Cudnow, aby 14 października udaremnić próbę wyrwania się Moskwiczinów z potrzasku. A 15 października Chmielnicki – któremu spod Słobodyszczy uciekła już połowa Kozaków – poprosił o pokój. 18 października zaprzysiężono korzystny dla Rzeczypospolitej pokój: przywrócono układ

hadziacki, ale bez punktu mówiącego o utworzeniu Księstwa Ruskiego, a Kozacy wyrzekli się cara i uznali zwierzchnictwo Jana Kazimierza. Mieli też wesprzeć Polaków w walce z Moskwą.

Ponieważ Lubomirski rozwiązał nadzieje Moskwiczinów na odsiecz Chmielnickiego, odsiecz rosyjska Boriatyńskiego zawróciła do Kijowa, a chłód i głód dawały się we znaki jego zamkniętym w obozie żołnierzom, Szeremietiew skapitulował 4 listopada 1660 r. Żołnierze mieli oddać broń i sztandary oraz udać się do miejsc wskazanych przez polskich hetmanów, załogi rosyjskie miały opuścić Kijów, Perejasław, Niżne i Czernichów, a Moskwa – zapłacić 300 tys. talarów okupu. Nie był to koniec wojen z Rosją, ale z pewnością znaczący w nich moment, uświetniony wspianymi zwycięstwami staropolskiego oręża.

Lubomirski vs. Czarniecki

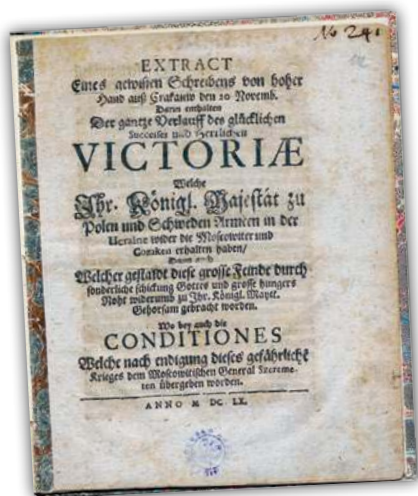
W rozmowie o mistrzach staropolskiej sztuki wojennej jej wyborny znawca prof. Mirosław Nagielski wymienił w XVII w. dwie pary: Jana Karola Chodkiewicza i Stanisława Żółkiewskiego (ze wskazaniem na pierwszego) oraz „dwóch przeciwnastawnych wodzów: Stefana Czarnieckiego i Jerzego Lubomirskiego. Pierwszy był wybitnym zagończykiem, dowódcą jazdy przede wszystkim. »Nasz czło-

wiek» – mówili Tatarzy o tym mistrzu podjazdów, wojny szarpanej i szarży. Lubomirski był bardziej wszechstronny, co udowodnił pod Toruniem (1658), a zwłaszcza pod Cudnowem (1660), gdzie pokonał wojska rosyjsko-kozackie...”

Cóż, ojciec Stefana mógł go wraz z braćmi wysłać po szkole do lisowczyków, gdzie nabierali wojennej wprawy godnej Kmicicowej kompanii. Natomiast dzięki majątnemu i ustosunkowanemu ojcu Jerzy Sebastian mógł zapoznać się na Zachodzie z arkanami polityki i najnowszymi osiągnięciami wojskowości europejskiej w zakresie strategii oraz taktyki, a także fortyfikacji i uzbrojenia. Z taką wiedzą i doświadczeniami ów syn jednego z najpotężniejszych polskich rodów mógł w swej ojczyźnie w pełni stosować się do nie tracących aktualności starorzemych wymagań dla tego, kto chce osiągnąć szczyty kariery publicznej. Powinien on być „pierwszy na Forum i w Senacie, pierwszy na wojnie”. Czyli być wziętym oratorem, skutecznym politykiem i zwycięskim wodzem.

J.S. Lubomirski prawie to wszystko osiągnął, stając się szlacheckim trybunem, wpływając na najważniejsze wydarzenia polityczne oraz wygrywając bitwy, a nawet całe kampanie. Okrutna, niczym nieusprawiedliwiona rzeź bezbronnych współbraci pod Mławami rzuciła na to wszystko upiorny cień. Chciałbym wierzyć, że potępienie tego czynu było w narodzie szlacheckim rzeczywiście powszechne, a śmierć 51-letniego Jerzego Sebastiana Lubomirskiego po niespełna półroczu wygnania była efektem głębokiego poczucia winy u tego tak wybitnego i utalentowanego wodza.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Niemiecki opis zwycięstwa polskiego nad armią Szeremietiewa

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Kijów, tramwaj i konik pony



Maciej Rosalak

Konikiem pony i lalkami Barbie bawiła się moja wnuczka, gdy miała kilka lat, a przypominały mi o tym relacje z wyprawy kijowskiej sprzed wieku. Do epizodów, które wspomina się z humorem, należy patrol polskiego wojska, który wjechał do zajętego przez bolszewików Kijowa miejskim tramwajem, porwał jeńców – czyli tzw. języka – i wrócił tą samą drogą. Spróbowałem ustalić szczegóły owej smakowitej historyjki wedle kanonu podstawowych dla dziennikarza i dla historyka pytań: „Kto?”, „Co?”, „Gdzie?”, „Kiedy?”, „Jak?”. Sprawdzając u kilku autorów, a relacja każdego z nich różniła się właśnie w szczegółach, wydawałoby się, nieistotnych, lecz w których, wedle przysłowia, tkwi... nie powiem kto.

Niemal nikt nie potrafił wymienić stopnia ani nazwiska oficera dowodzącego patrolami. Niektórzy nawet nie wspomnieli, że był taki dowódca. Czyj był patrol i co miał stwierdzić – też pozostawało w sferze domysłów. Ustalenie, skąd i dokąd żołnierze polscy zdążali, uznawano za niepotrzebne. Podawano przy tym cztery różne daty wydarzenia: 3 maja; 5 maja; 7 maja; 8 maja. Dobrze, że przynajmniej rok i miesiąc się zgadzały. O tramwaju każdy pisał. Jeden nawet dedukował, że skoro rzecz działa się w stolicy Ukrainy – a więc, w domyśle, ostoi zacofania – to musiał to być tramwaj konny. Tymczasem tramwaj elektryczny ruszył w Kijowie wiosną 1892 r. – jako pierwszy w całym imperium carskim! Dla porównania: tramwaje elektryczne zaczęły jeździć po Łodzi w 1898 r., a w Warszawie w 1908 r. (w Poznaniu – 1898, w Krakowie – 1901). Nad Dniepr sprowadzano wagony z Bostonu, Kolonii, Warszawy, Sankt Petersburga, Danii i Norymbergi; produkowano też własne. Elektryczne wagony wygrały, bo zabierały więcej pasażerów niż konne, więc były tańsze, a zarazem nie dymiły jak parowe.

Elektryczność trafiła na linię z podmiejskiej wypoczynkowej Puszczy Wodnej już 16 lat przed wyruszeniem stąd polskiego patrolu. Polacy nie „zapłacili za bilety”, jak chce jeden z autorów. W kronice 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego znajdujemy najbardziej treściwy opis wydarzenia: „5 maja por. Mirosław Olszewski zdobywa na przedmieściach Kijowa tramwaj, obsadza go karabinem maszynowym i kilkoma szwoleżerami i każe motorniczemu jechać do Kijowa. Tramwaj dociera do centrum miasta, biorąc zebranych z przystanków jeńców, i wraca nieniekoszony do miejsca, z którego wyruszone”. Generał Kutrzeba potwierdza, że – po zadaniu wykonanym przez ochotniczy patrol – 7 maja 1920 r. 1. Pułk Szwoleżerów z 7. Brygady Kawalerii jako pierwszy oddział Wojska Polskiego wkroczył do Kijowa, a 8 maja – inne oddziały. Porucznik Olszewski – dodajmy – znajduje się na liście szwoleżerów odznaczonych Virtuti Militari.

Kutrzeba zamieszcza też pyszny opis defilady 9 maja w centrum Kijowa – gdzie po 1. Dywizji Legionów Polskich austriackim krokiem paradnym „maszerowały pułki podhalańskie z wyśmienicie grającymi orkiestrami, a uwagę widzów przykuwał ozdobnie przepasany tambour-major oraz pony, mały konik, ciągnący na dwukółce duży bęben”. – A Barbie też mieli? – zapytała moja wnuczka. Chyba nie. Chyba... ©

PREVENT DISEASE



CARELESS
SPITTING, COUGHING, SNEEZING,
SPREAD INFLUENZA
and TUBERCULOSIS

KENNELAER COUNTY TUBERCULOSIS ASSOCIATION, 1902, N.Y.



Podczas pandemii grypy hiszpanki używano maseczek. Plakaty informowały o drogach przenoszenia się wirusa. FOT. LIBRARY OF CONGRESS, ARCHIWUM

Medycyna / Mycie rąk i mikrobiologia

Od „trupiego jadu” do wirusa



Tymoteusz Pawłowski

Jeszcze niedawno mało kto wierzył w zarazki, a mycie rąk czy dezynfekcję narzędzi chirurgicznych uważano za niepotrzebne

Medycyna ma zadziwiającą krótką historię, przynajmniej jako nauka. Dopiero pod koniec XIX w. przyjęto do wiadomości istnienie

zarazków i konieczność chronienia się przed nimi. Medycyna jest bowiem nauką, ale nauką empiryczną, korzystającą z doświadczeń. Lekarze opierają swoje badania na ścisłych zasadach naukowych, lecz osiągnane wyniki nie są w 100 proc. powtarzalne. Te same obserwacje poczynione przez medyków mogą przynieść odmienne diagnozy.

Przez tysiąclecia medycyna była sztuką, a puszczanie krwi albo podanie środków na przeczyszczenie było lekarstwem niemal na wszystko. Nieco bardziej rozwinięta była chirurgia pola walki – specjaliści w tej dziedzinie mieli bowiem dużo okazji do zdobywania doświadczeń. Przyboczny lekarz Napoleona baron Dominique-Jean Larrey osiągnął taką perfekcję, że amputacja nogi – jego pacjentem był m.in. gen. Józef Zajączek – zajmowała mu mniej niż dwie minuty.

Chirurdzy wykonujący zabiegi ratujące życie nie martwili się o znieczulenie pacjentów. Inne było podejście dentystów, mających bezpośredni kontakt z bólem i niezadowolonymi pacjentami. To stomatologom zawdzięczamy rozwój anestezjologii. Niedługo do zmniejszenia bólu używano alkoholu, marihuany,

opium czy mandragory, ale miały one ograniczone działanie. W latach 40. XIX w. zaczęto stosować nowe substancje znieczulające: podtlenek azotu, eter, chlo-

roform, a przede wszystkim – używaną do dziś – morfinę.

Dopiero jednak wynalezienie strzykawki – w 1853 r. – pozwoliło na pre-

cyzyjne dawkowanie znieczulenia. Nie tylko przyniosło to ulgę pacjentom, lecz także umożliwiło praktyczny rozwój medycyny. Lekarze nie musieli już ograniczać się do błyskawicznych zabiegów ratujących życie, mogli skupić się na rozwiązywaniu problemów, zdobywaniu doświadczenia i powiększaniu wiedzy medycznej.

Położnicy i mikrobiolodzy

Największy wkład w rozwój medycyny mieli jednak położnicy. Ich troski nie kończyły się w chwili ekstrakcji zęba czy amputacji nogi, ale trwały zarówno przed porodem, jak i po nim. Mieli okazję do obserwowania swoich pacjentów – matek oraz dzieci – oraz prawdziwą koniecznością dbania o ich zdrowie.

Jednym z nich był wiedeński lekarz Ignaz Semmelweis, który w 1848 r. przeprowadził badania statystyczne dotyczące umieralności kobiet na dwóch oddziałach położniczych. Na jednym – prowadzonym przez studentów – umieralność wynosiła 4 proc. Na drugim – prowadzonym przez lekarzy pracujących również w prosektorium – sięgała 20 proc. Nikt nie wiedział dlaczego. Doktor Semmelweis doszedł do wniosku, że zakażenia poporodowe muszą być powodowane przez „trupi jad” – niezidentyfikowany czynnik zakaźny przenoszony przez lekarzy. W maju kazał myć ręce po opuszczeniu prosektorium. W przeciągu dwóch miesięcy umieralność spadła z 18,3 proc. do 1,27 proc.

W kolejnych miesiącach umieralność znowu wzrosła pomimo mycia rąk. Ignaz Semmelweis uznał, że „trupi jad” znajduje się nie tylko na zwłokach, lecz także na ropiejących ranach żywych ludzi. Polecił wówczas lekarzom i pielęgniarkom myć ręce przed każdym indywidualnym badaniem. To jednak nie spodobało się personelowi szpitalnemu, który doprowadził do zwolnienia dr. Semmelweisa. On sam zresztą nie potrafił wyjaśnić, czym jest rzekomy „trupi jad”.

Innym położnikiem, którego nazwisko powinniśmy zachować we wdzięcznej pamięci, był pracujący w Londynie John Snow. W 1854 r. – podczas kolejnej fali przywleczonej z Chin epidemii cholery – badał rozkład geograficzny zacho-

Before eating—
When you come home from work—
Whenever you come in from the street—
—you must wash properly

Three times when washing your hands is of special importance

HAVE you ever wondered why it is that most handsomeness is lost after a day's work? Just washed them? It is because of the dirt, which is a perfect way, does not really clean the skin.

Your skin is very much like a sponge. It absorbs all sorts of "germs" and "bacteria" which are the cause of all sorts of diseases. These are three times when this is of special importance:—
1. When you come home from work—
2. Whenever you come in from the street—
3. Before you eat.

How the new virus of the Spanish Influenza has worked has been a way that would carry as evidence, right down, just the same? The Spanish Influenza virus is a very small, but it is very virulent. It is a very small, but it is very virulent. It is a very small, but it is very virulent.

SPANISH INFLUENZA
It is a very small, but it is very virulent. It is a very small, but it is very virulent. It is a very small, but it is very virulent.

Podczas pandemii hiszpanki apelowano o dokładne mycie rąk

FOT. ARCHIWUM

rowań i przypadków. W jego czasach uważano, że za choroby odpowiadają miazmaty, czyli morowe powietrze, na które niewiele można poradzić. Doktor Snow zauważył, że centrum londyńskiego ogniska zarazy jest pompa na jednym z miejskich skrzyżowań. Założył więc, że to nie powietrze, ale zanieczyszczona woda przenosi chorobę. Przekonał władze miejskie o tym, że pompę należy zamknąć. Epidemia zakończyła się po tygodniu.

Odkrycia Semmelweisa i Snowa były czysto instynktowne i nieoparte badaniami innymi niż statystyczne. Rozwijała się jednak nowa nauka – mikrobiologia – zajmująca się stworzeniami niewidocznymi dla oka. Jednym z jej pionierów był Louis Pasteur, który – zatrudniony przez winiarnię – zauważył, że podgrzanie wina zabija stworzenia, które je psują. W 1862 r. przeprowadził pierwszą pasteryzację – czyli eliminację zarazków podwyższoną temperaturą – a w kolejnych latach zaczął badać, co właściwie w ten sposób wyeliminował.

Podobne prace prowadził Robert Koch, który w 1876 r. odkrył zarazki wąglika, a w kolejnych latach również cholery i gruźlicy. Dopiero wówczas – w 1877 r. – zaczęto wprowadzać w szpitalach obowiązek mycia i dezynfekcji rąk oraz narzędzi chirurgicznych karbolem.

Wirus

U progu XX w. wydawało się, że ciało ludzkie jest już bardzo dokładnie poznane, znane są wszystkie czynniki chorobotwórcze, szczepionki (np. opatentowana już w końcu XVIII w. szczepionka na ospę prawdziwą) są coraz bardziej skuteczne, a znalezienie lekarstwa na wszystkie dolegliwości jest jedynie kwestią czasu.

W 1910 r. opracowano nawet lekarstwo na syfilis – salwarsan – jeden z pierwszych antybiotyków, czyli substancji zabijających zarazki zwane bakteriami (nazwa ta – oznaczająca pałeczkę – została użyta już w 1838 r.).

Szok nastąpił w 1918 r., gdy do Europy stojącej w ogniu pierwszej wojny światowej przywleczono grypę hiszpankę. Jej nazwa jest wyjaśniona: cenzura walczących państw nie pozwalała na informowanie o pandemii, więc cały świat fascynował się stanem zdrowia Alfonsa XIII, króla Hiszpanii. Pierwotne ogniska tej grypy lokalizowano w obozach wojskowych (w Ameryce lub we Francji) albo gdzieś w Chinach, skąd miała przybyć do Europy wraz ze 150 tys. robotników chińskich, mających pomagać w wysiłku wojennym.

Jeszcze bardziej tajemnicze były zarazki odpowiedzialne za rozprzestrzenianie się grypy, a najbardziej – sposób jej leczenia. Najpierw szukano bakterii grypy, ale bezskutecznie. Skoro nie można było lekarami zabić bakterii, powrócono do starych sprawdzonych kuracji: zalecano puszczanie krwi i lewatywy. Nie przynosiło to rezultatów.

Nic nie zmieniało również używanie maseczek mających powstrzymać zarazki. W związku z tym przeprowadzono kolejne doświadczenia: grupom ochotników podawano wydzielinę z zarazkami przez coraz dokładniejsze filtry antybakteryjne. Żaden z nich nie zadziałał. Było oczywiste, że grypy nie powodują bakterie, tylko coś o wiele od nich mniejszego. Uwaga naukowców zwróciła się w stronę wirusów.

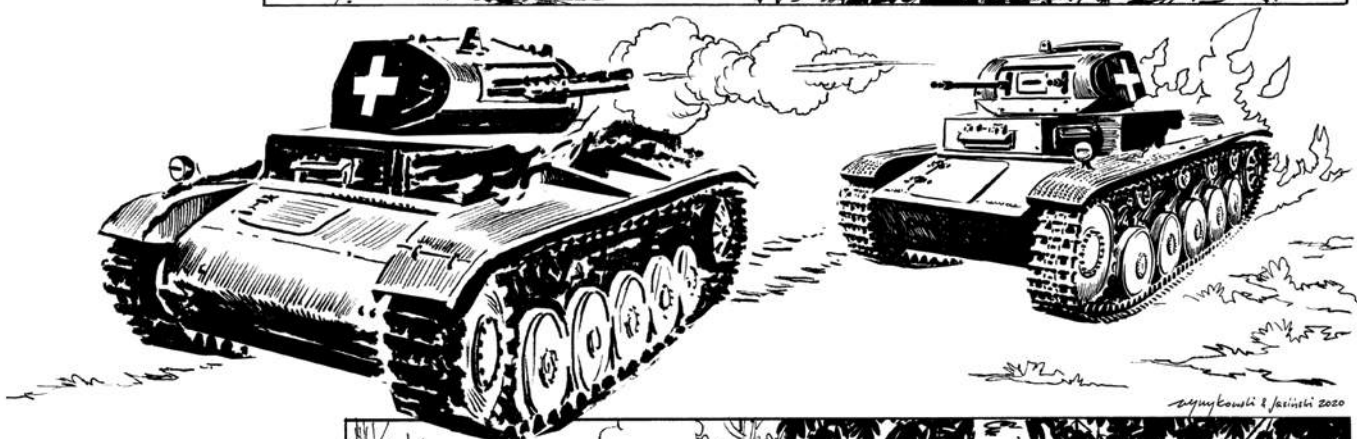
Istnienie wirusów – czyli „jadów” – zaczęto podejrzewać pod koniec XIX w. „Podejrzewać”, bo do 1939 r. nie udało się ich zaobserwować. Leczenie chorób wirusowych jest dużo trudniejsze niż tych wywołanych bakteriami. Wirusów nie da się zabić, są bowiem praktycznie martwe. Przenoszą jedynie informację genetyczną, którą umieszczają niejako wewnątrz zaatakowanej komórki i zmuszają ją do powielania.

Choroby wirusowe trudno jest leczyć, można się jednak na nie szczepić. Co jednak najważniejsze, epidemie przez nie wywołane kończą się zazwyczaj gwałtownie i szybko. Tak było również z gripą hiszpanką, której pandemia skończyła się wraz z rokiem 1919. Lekarze do dziś nie wiedzą dlaczego... © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

1 WRZEŚNIA 1939 ROKU, MOST W SOKOLE-KUŹNICY, KTÓREGO BRONILI ŻOŁNIERZE III BATALIONU 34 PP.

UTWORZONY 7 GRUDNIA 1918 ROKU 34 PUŁK PIECHOTY BRAŁ CZYNNY UDZIAŁ W WOJNIE POLSKO-BOLSZEWICKIEJ. W OKRESIE MIĘDZYOJENNYM STACJONOWAŁ W BIAŁEJ PODLASKIEJ. JEDNAK LATEM 1939 ROKU ZOSTAŁ SKIEROWANY NA TEREN POMORZA, ABY STRZEC GRANICY POLSKO-NIEMIECKIEJ.



34 PUŁK PIECHOTY PONIÓSŁ W PIERWSZYCH DWÓCH DNIACH WOJNY DUŻE STRATY. DLATEGO RANKIEM 3 WRZEŚNIA PUŁKOWNIK JÓZEF WEROBEJ WYDAŁ ROZKAZ, ABY PRZEDZIERAĆ SIĘ W KIERUNKU BYDGOSZCZY. JEDNAK PO STARCIE Z NIEMCAMI W OKOLICACH WSI BRANKA SFORMOWANE PRZEZ NIEGO DWA KOMPANIE ULEGŁY ROZPROSZENIU.



OSTATECZNIE WRAZ Z DOWÓDCĄ POZOSTAŁO OKOŁO 30 ŻOŁNIERZY. O ŚWIECIE 4 WRZEŚNIA ODDZIAŁ PRÓBOWAŁ PRZEKROCYĆ WIŚLĘ W OKOLICACH PRZECHOVA, JEDNAK MUSIAŁ SIĘ WYCOFAĆ W WYNIKU OSTRZAŁU NIEPRZYJACIELA. PUŁKOWNIK WEROBEJ POSTANOWIŁ WIĘC RUSZYĆ W KIERUNKU BRDY, GDZIE LICZYŁ NA SPOTKANIE INNYCH WYCOFUJĄCYCH SIĘ ODDZIAŁÓW. PORUSZANO SIĘ GŁÓWNIEM NOCĄ, PRÓBUJĄC UNIKAĆ KONTAKTU Z NIEMIECKIMI PATROLAMI.



11 WRZEŚNIA PUŁKOWNIK WEROBEJ WRAZ Z 3 OFICERAMI I 20 SZEREGOWYMI DOTARŁ W REJON KUTNA. JEJEGO ODDZIAŁ, W SKŁAD KTÓREGO WCHODZILI GŁÓWNIEM ŻOŁNIERZE 34 PUŁKU PIECHOTY DOŁĄCZYŁ DO ARMII „POMORZE” I WZIAŁ UDZIAŁ W BITWIE NAD BZURĄ.



80. rocznica zbrodni katyńskiej poza pamięcią o ofiarach każe także zwrócić uwagę na sowieckich oprawców. Zawsze kiedy myślę o Katyniu, przypomina mi się postać gen. mjr. Wasilija Michajłowicza Zarubina (1894–1972), który był jednym z architektów operacji katyńskiej.

Od 1918 r. Zarubin służył w Armii Czerwonej, a dwa lata później został czeskistą. W 1925 r. został oficerem wywiadu i – jako nielegal oraz szpieg – spędził za granicą w sumie 25 lat (m.in. w Chinach, Finlandii, Danii, Niemczech, we Francji i w Stanach Zjednoczonych). W 1937 r. powrócił do centrali w Moskwie i niebawem został oficerem operacyjnym 5. wydziału Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego NKWD (później 1. Zarządu Ludowego Komisariatu Bezpieczeństwa NKWD/NKGB/MGB).

Jesienią 1939 r. przyjechał do obozu dla polskich oficerów w Kozielsku (jego odpowiednikiem w Starobielsku był kpt. Jefimow) i jako szef brygady śledczo-operacyjnej rozpoczął selekcję i pozyskiwanie agentury spośród Polaków. W ich pamięci zapisał się jako oficer otwarty i inteligentny. Wiązano z nim nadzieję na zmianę stosunku Sowietów do osadzonych z uwagi na „uprzejme przesłuchania”. „[Zarubin] zdobył u polskich oficerów szacunek i pewien stopień zaufania. Widoczne było, że podlegają mu wszyscy. Nie uczestniczył w trwających przesłuchaniach i wyróżniał się wytwornymi manierami. Często składał prywatne wizyty oficerom i dyskutował z nimi o przeróżnych problemach społecznych, politycznych i filozoficznych. Był wszechstronnie wykształcony, mówił biegle po francusku i niemiecku, słabo po angielsku. Przywiózł do obozu około pięciuset książek i chętnie wypożyczał je jeńcom. Często stawał swoich gości dobrymi papierosami, herbatą, ciastami, a nawet pomarańczami, które były prawdziwym rarytasem, i sprawiał wrażenie osoby szanującej poglądy rozmówcy. W końcu Polacy uznali, że Zarubin, jako jedyny spośród oficerów NKWD, zasługuje na to, by mu salutować” – pisał Allen Paul w swojej książce o Katyniu.

Zarubin nie był komendantem obozu w Kozielsku, ale odgrywał tam rolę faktycznego nadzorca nie tylko z ra-

mienia NKWD, lecz także najwyższych czynników państwowych ze Stalinem na czele. Inwentaryzował osadzonych według kryteriów biograficznych (działalność w POW, Związku Osadników, partiach politycznych, praca i współpraca z Oddziałem II SG itd.), rozpoznawał nastroje, typował osadzonych do werbunków, budując sieć agenturalno-informacyjną.

Zgodnie z dyrektywami Berii z października 1939 r., w obozach jenieckich dla Polaków, organy NKWD miały stworzyć sieć agenturalno-informacyjną o dwojakim charakterze: perspektywicznym, która formalnie pozostanie na pozycjach walki o wolną Polskę, ale u boku

wersję o przeniesieniu ich w inne miejsce. Zarubin zniknął z Kozielska przed samym rozpoczęciem rozładowania obozu i pierwszych transportów do Lasu Katyńskiego (3 kwietnia–12 maja 1940 r.).

12 października 1941 r. Stalin przyjął Zarubina i polecił mu „stworzyć [w USA] taki system, aby za pośrednictwem przyjaciół Związku Sowieckiego był w stanie wpływać na wydarzenia”. Jako rezydent wydziału zagranicznego NKWD w USA (do października 1944 r.) Zarubin nie porzucił spraw polskich. Poznał bliżej grupę skupioną wokół Biura Polskiego przy Komitecie Centralnym KP USA. Najważniejszym kontaktem Zarubina

/ Felieton



Sławomir Cenckiewicz

Katyński kat

ZSRS, oraz doraźnym, służącym rozpoznaniu przeszłości i bieżących nastrojów wśród jeńców. W 1940 r. w Kozielsku Zarubin dysponował 20 konfidentami (śmierci uniknęło 395 oficerów).

Po podjęciu decyzji przez Biuro Polityczne KC WKP(b) z 5 marca 1940 r. o zgładeniu polskich oficerów Zarubin wyjechał do Moskwy, gdzie w centrali NKWD omówił zapewne szczegóły masakry katyńskiej. Tuż przed likwidacją obozu pojawił się w Kozielsku po raz ostatni. Zarządził m.in. szczepienie przeciw tyfusowi, co miało uspić czujność polskich więźniów i potwierdzić

był Bolesław Gebert „Bill” (agenturalny ps. Ataman). W 1943 r. mjr Zarubin użył komunistów działających w środowisku polskim w Ameryce w kampanii katyńskiej. 1 lipca 1943 r. Zarubin poinformował centralę w Moskwie, że zauważył wokół siebie wzmożone zainteresowanie amerykańskich służb specjalnych, które najpewniej zdobyły jakieś informacje o jego roli w 1940 r. w kozielskim obozie jenieckim dla Polaków.

Ostatecznie Zarubin został zdekonspirowany przez Wasilija Mironowa, który w sierpniu 1943 r. złożył na niego obszerny donos do FBI, twierdząc w nim, że Zarubin wyjawiał mu okoliczności mordu polskich oficerów w Katyniu. W Moskwie uznano, że jest spalony i ma wrócić do centrali. Po powrocie, w październiku 1944 r., Zarubin objął stanowisko zastępcy szefa wywiadu. W 1948 r. odszedł na emeryturę. ©

/ Jego nazwisko zdobi słowniki „rosyjskiej razwiedki” wydawane w Federacji Rosyjskiej



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VEDYCJA NAGRODY



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNER



PARTNER WSPIERAJĄCY:



PATRONI MEDIALNI:

